

KATIA WOLSKA

*Gdy miłość wkracza do gry,
życie i fikcja walczą ze sobą o lepsze.
Gdy awatary przejmują świat, prawda realu traci sens.*

GRACZE

lubią emocje

Wydawnictwo
ab
two

SERIA POD GRUSZĘ

Katia Wolska

GRACZE LUBIĄ EMOCJE

S E R I A P O D G R U S Z Ę



Redakcja: Krystyna Gajda
Korekta: Monika Buraczyńska/ Kropki Kreski
Projekt okładki: Roman Marek/Project
Zdjęcie na okładce: Dari Ya/ shutterstock, alice-photo/ shutterstock

Copyright © Katia Wolska, 2017
© Copyright for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, 2017
Wszelkie prawa zastrzeżone

Skład i łamanie: TYPO

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4561-3

Wydanie pierwsze
Warszawa 2017

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Berta z gamedevu](#)

[Michaił Aleksandrowicz Boryłow](#)

[Maciek Znikomski](#)

[Skarb Wenetów](#)

[Poza grą](#)

[Poszukiwania i tajemnice](#)

[Crunch pierwszy](#)

[Równonoc](#)

[Pomieszanie światów](#)

[Wielkanoc](#)

[Szeptucha](#)

[Niespodzianka](#)

[Powrót do gry](#)

[Nora van Morenz](#)

[Czarna seria](#)

[W zaciszu miasta](#)

[Masz dwa serca](#)

[Mowa SMS-ów](#)

[Crunch drugi](#)

[Światy równoległe](#)

[Game is finished](#)

[Cosplay](#)

[Okiem kamery](#)

[Kochasz, to walcz](#)

[Zakończenie](#)

[Przypisy](#)

*Dedykuję ludziom z gamedevu, z podziękowaniem za pomoc w odkrywaniu
fascynującego świata gier komputerowych.
Katia Wolska*

Berta z gamedevu

Zimowe, szare miasto nie nastrajało optymistycznie, nie kusilo ani wielkomięjskim klimatem, ani nerwową dynamiką, ani ubłoconą panoramą. Tego ranka nie mogło zauroczyć nikogo, a już na pewno nie miało nic do powiedzenia młodej kobiecie, która właśnie wróciła z białych gór. Patrzyła niechętnie na skulony na przystanku tłumek. Jeszcze czuła zapach miękkiej pościeli, ciepłe ręce swojego chłopaka na piersiach, smak wspólnych przebudzeń, śniadanie tylko we dwoje. To było tam, w małym górskim pensjonacie, gdzie spędzili kilka uroczych dni i sylwestra. A to jest tu: przystanek pełen zmarzniętych ludzi i ona pośród nich, po nos w kapturze. Nadjechał zatłoczony autobus. Wszędzie za dużo ludzi. Wcisnęła się jakoś za grubasem w uszatce. Stalowy most nad stalową wodą, krajobraz bez słońca – taki mniej więcej jak stan duszy Berty Kaliniani, graficzki, specjalistki od sztuki nowych mediów, jadącej autobusem czterysta dwa do pracy, po krótkiej przerwie na poświęteczne narty. Zanurzona w mgłach i mżawce, wspominała fajerwerki na górskim stoku, potem poranek w Nowy Rok w objęciach narzeczonego, zachłannego, zakochanego tak jak i ona. I nagle ten pełen brei i błota pejzaż miejski. Jedyne billboardy i ogromne reklamy zawieszane na ścianach budynków przedzierały się do mózgu krzykliwymi kolorami, kipiące erotyką, zbyt często tanie, kiczowate. Berta zwykle ćwiczyła na nich swoją kreatywność, więc i tym razem ożywiła się, ziewnęła: „witajcie w nowym roku” i złośliwie dorysowała uśmiechniętym idolom cienie pod oczami, symptomy totalnego kaca, kawałki czarnego kawioru na zębach. Berta miała dobry gust, sporą dozę złośliwości wobec komercyjnych plakatów i poczucie humoru, więc raz-dwa dokonywała korekt: okazały i wzniosły penis zamiast dezodorantu albo na przykład gołe pośladki wyglądające z kosza z owocami wzbogacały radośnie grzeczne billboardy. Wszystko w wyobraźni. Berta była zdolną graficzką, pracowała w branży zwanej gamedevem¹ i zdecydowanie wolała przebywać w scenerii baśniowych gier komputerowych, które współtworzyła w niewielkim zespole Game Starsów, niż w realnym zimowym mieście, nie mówiąc o zatłoczonym autobusie. Berta była przy tym osobą obdarzoną bezpruderyjnym podejściem do obrazu i słowa. Seks to seks, dupa

to dupa, a jak modelka ma piękne cycki, to niech je, u licha, pokaże. Takie odkryte trochę tu, trochę tam, działające na podświadomość odbiorcy, uważała Berta za bardziej nieprzyzwoite niż prawda o ludzkiej seksualności, wyrażona soczystym wulgaryzmem... Było to zresztą podejście szokujące już tylko dla pokolenia jej rodziców, bo w jej świecie, w graficznym teamie nikt się nie przejmował podobnymi stwierdzeniami ani sprośnymi żartami, jędrne słowa i gesty były na porządku dziennym. Berta lubiła pieprzne złośliwości kolegów. Любиła gry komputerowe, możliwości, jakie dają programy graficzne, a poza tym Berta była także artystką w sensie klasycznym. Na co dzień z pasją tworzyła postacie i przestrzenie gier, ale po godzinach oddawała się malowaniu i rysowaniu własnych prac. Dlatego podpisywała się zawsze i przedstawiała jako Berta Kalinianka, chociaż rodzice jej byli zwykłymi Kalinami i w dowodzie miała napisane po prostu: Beata Irena (z nich zrobiła Bertę) Kalina. Ale „Kalinianka” brzmiało bardziej artystycznie, jakby pseudonim, jak Skarżanka, Nastulanka, jak przedwojenna Ordonka i tak dalej. Berta Kalinianka wnikliwie obserwowała ludzi i niejednego pasażera prozaicznego autobusu czterysta dwa, jadącego z Pragi na Służewiec, nie przypuszczał nawet, że staje się swoistym łupem malarki, modelem, który wkrótce znajdzie się na kartonie lub płótnie. Zresztą i tak przenigdy by się na nim nie rozpoznał. Berta podpatrywała ludzi, by wychwytywać coś, co pobudzało jej wyobraźnię, i bawiła się potem ołówkiem lub węglem. Jej obrazy przedstawiały awatary osób żywych, tych z miasta, tak, ale... ze zmijowatymi szyciami, z olbrzymimi oczami, zabawnymi torebkami wrośniętymi w miejsca genitaliów, rybimi ustami, kończynami na kształt gałęzi. Jeśli zachwyciła się urodą pasażerki, jeśli zapragnęła utrwalić jej figurę i linię ciała, potrafiła nawet pojechać za nią i śledzić ją aż do zniknięcia w czeluści jakiejś klatki schodowej. Ale nie tym razem.

Tego zimowego dnia Berta nie miała wiele czasu na artystyczne obserwacje. Denerwowała się i przestępowała z nogi na nogę, zerkała nerwowo na komórkę. Wyszła trochę za późno, przez Macieja, który niepotrzebnie zatrzymywał ją w korytarzu, wciągał z powrotem do mieszkania, kusił swoimi sposobami, ale w końcu wysunęła się z jego objęć, obiecała, że wróci wcześniej, wybiegła z mieszkania na jednym z blokowisk na Goławiu. Nie mogła się spóźnić. W żadnym wypadku. Nie dzisiaj – pierwszego dnia pracy w nowym roku i w nowej siedzibie Game Stars, firmie o nazwie nieco na wyrost, bo chociaż rzeczywiście młody zespół produkował całkiem

popularne gry na zamówienie dużych developerów, to do najjaśniejszych gwiazd na tym rynku było im jeszcze daleko. Czemu szef Starsów, Kacper Brog, przeniósł siedzibę z centrum miasta na niemal obrzeża stolicy? To było jasne. Koszty, koszty, koszty. Ale czemu zwołał na dziś, pierwszy poniedziałek nowego roku, po urlopach, nartach, przedłużonych świętach, walne zebranie wszystkich członków zespołu – tego nie wiedział nikt. I było to bardzo ciekawe. Berta miała pewne podejrzenia. Od jesieni pracowali nad nową grą. Istniała wprawdzie dopiero w zarysie, ale pod koniec roku Kacper wysłał dokładny konspekt, kilka lokacji i kwadrans akcji do wydawcy, i pewnie miał pierwsze wyniki. Bertę te wyniki bardzo obchodziły, zawodowo i osobiście, bo czuła się matką pomysłu. Nie tylko dlatego, że jako artliderka odpowiadała za świat, który miał za chwilę narodzić się i zaistnieć na ekranach tysięcy komputerów, ale także dlatego, że to ona walczyła jak lwica, by odeszli od strzelanek w kierunku baśniowej przygody osadzonej w świecie słowiańskiej legendy. Coś specjalnie dla targetu żeńskiego. Wymyśliła temat i tytuł, gwarantowała, że spodoba się graczkom, miała narysować główną postać kobiecą – już ją stworzyła w swojej głowie. Oczyma wyobraźni widziała, jak miliony kobiet grają w jej *Skarb Wenetów*, odrywają się od garów i prasowania, jak wchodzą w słowiański świat i dają wciągnąć się w przygodę z legendy i baśni. Prawie czuła swąd przypalonego prasowania. Wiedziała też, że szef, Kacper, bardzo potrzebuje sukcesu, tak ideowego, jak komercyjnego, choćby dlatego, by ich firmę utrzymać. Po prostu – wynik testów, odpowiedź dużego wydawcy Grand Play, który kupiłby tę grę na rynek międzynarodowy, rosyjski i amerykański, to było ich być albo nie być. Oznaczało zamówienia i pracę na następnych kilka lat, pracę albo jej brak.

Dlatego Berta, coraz bardziej zła, że dała się wciągnąć swojemu chłopakowi w te pożegnalne igraszki w drzwiach, przestępowała w autobusie z nogi na nogę i wypatrywała zarysu biurowca. Jechała już pół godziny. Prawda, że Kacper, ich szef, wybrał wygwizdów. „Daleko w chuj! – Tak im oznajmił. – Ale za to bardzo nowoczesny biurowiec, w industrialnej dzielnicy miasta”. Kiedy Berta opowiadała to w domu, widziała potępienie i wstyd na twarzy matki, więc dodała: „Przepraszam za wulgaryzm. Ale taki jest Kacper Brog. A ja tylko cytuję”.

I gdzie był teraz ten biurowiec? Wyłaniał się z mgły wolniej niż wskazówka zegarka, nieuchronnie pokazująca, że jeszcze kwadrans, jeszcze dziesięć minut... Ups, czemu nie umiała rano uciec od razu przed Maćkiem, który pod

pozorem opiekuńczego zapinania jej kurtki, zaczął ją właśnie rozpinąć, nurkować rękami pod wełnianą spódnicę i łaskotać przez rajstopy, sam tylko w ręczniku, on bowiem miał jakiś trening tylko około południa. Uległa mu na chwilę i gdyby się nie opamiętała, z pewnością jeszcze czekałaby na autobus. Zarumieniła się nie tyle ze wstydu, co z gniewu, że dała się ponieść fali podniecenia, i gotowa była w tej kurtce, w korytarzu, zsunąć pospiesznie kolorowe rajstopy i uciąć z nim „poranny serwis w drzwiach”. Tak to nazywał, lubieżnik, a ona już opierała się o ścianę, czekała, że uniesie ją trochę, na wysokość swoich bioder, bo była sporo niższa, ale lekka, a on silny, jak to trenujący różne sporty facet. Przypomniała sobie jednak naradę, pocałowała go trochę drapieżnie i pozbyła się jego rąk obietnicą zmysłowego wieczoru. „Zrób coś pysznego, ja pewno będę miała co opowiadać” – szepnęła mu w ucho, pozwoliła sobie jeszcze popatrzeć z apetytem na jego gotowość do miłości, udowodnioną wyraźnie sterczącym ręcznikiem, na zmierzwioną czuprynę i rozczarowanie w oczach, i sama niedopieczona, jednak uciekła.

A teraz zostało już tylko pięć minut, biegła więc pędem przez obrotowe drzwi do biurowca, wyciągała w biegu identyfikator z kieszeni, przeszła zwycięsko przez dwie bramki i wskoczyła szybko do windy C, która akurat nadjechała i rozsunęła zapraszająco szklane drzwi. Berta chciała wcisnąć guziczek z cyfrą pięć, bo Game Starsi zajmowali całe piąte piętro. Ale oto nie było takiego guziczka. W ogóle nie było żadnych guziczków. To była pieprzona nowoczesna winda, która mogła cię zawieźć tylko tam, gdzie pozwalał identyfikator. Była tu ściana z lustrem, ekranik z cyfrą dwanaście, i tyle. Jakie dwanaście? Berta z przerażeniem zrozumiała, że jedzie właśnie z miłymi Azjatami na apartamentowe piętro dwunaste, bo nie zidentyfikowała się sama w czytniku na parterze, rejestrując swoje, piąte. Matrix, sieć poziomów ścian i szyb, te windy nigdy się nie mylą, a Azjaci zawsze się uśmiechają. Przymknęła oczy. W dodatku, jeśli wyjdzie z nimi na dwunastym, nie zjedzie, bo jej karta nie jest tam zaprogramowana... Poza tym cierpiała na niewielką klaustrofobię, generalnie nie znosiła wind i już zaczęła odczuwać lekkie duszności. „Chyba muszę poprosić tych miłych skośnych panów, żeby ktoś ze mną zjechał...” – pomyślała, szykując zdania w najlepszej angielszczyźnie, na jaką było ją stać. Ale zanim zdążyła otworzyć usta, błysnęło dwunaste i wszedł do windy przyjemny, przystojny, zamyślony facet po trzydziestce.

– Na które piętro pan jedzie, na Boga? – zapytała. Mężczyzna był

ciemnookim blondynem. „Jak moi Weneci” – pomyślała. Uśmiechnął się i pokazał elektroniczną cyfrę, która pojawiła się na ekranie. Berta zapragnęła go uściskać. Jechał, jak ona, na piętro piąte, i tym samym ratował ją z opresji, bo miała jeszcze szansę wpaść w drzwi sali konferencyjnej dokładnie z wybiciem godziny dziewiątej na zegarkach komórek i innych elektronicznych czasomierzy.

I tak się stało, dokładnie tak. Nie zauważyła nawet, gdzie podział się jej przypadkowy wybawca, sforsowała kartą drzwi, zdążyła rzucić sekretarce swoją kurtkę i czapkę, zarumieniona od stresu i gorąca padła na jedyne wolne jeszcze krzesło przy owalnym stole. Marcin, drugi grafik, a przy tym genialny designer, podał jej wodę. Spotkała karcące spojrzenie szefa Kacpra, ale w końcu się nie spóźniła, a on miał tym razem ważniejsze sprawy niż nawoływanie zespołu do punktualności, co zawsze czynił z satysfakcją.

– Spóźnialska. Widzę w oczach rozpustę – syknął poufale Marcin, ale Kacper uciszył ich gestem ręki. Berta puściła oko do Gosi, asystentki szefa. Lubiły się, a Gosia była bardzo dowcipną, ale też najbardziej sprośną i bezpruderyjną dziewczyną, jaką Berta знаła, a znała takich wyzwolonych wariatek niemało.

– Witajcie – powiedział Kacper. Starał się mówić spokojnym głosem, ale wszyscy natychmiast wyczuli, że ledwie się powstrzymuje, by nie eksplodować wiadomościami jak fontanna strumieniami wody. Musiały być dobre, bo uszy poczerwieniały mu z przejęcia. – Witajcie: wy po urlopach i wy, co pierwszy raz na nowych śmieciach. Mam dobre wieści. Bardzo dobre. Pierwsze testy okazały się pozytywne i... Granci zaakceptowali nasz projekt!

I co z tego? Spodziewali się, że pierwsze testy przeprowadzone wśród speców będą niezłe. Ale co dalej? Jaka skala? Jakie pieniądze pójdą za tymi ocenami?

Kacper nabrał powietrza, napuszył się jak kogut i wyrzucił to z siebie:

– Mamy kontrakt! Mamy ogromny budżet. Nasz stały wydawca Grand Play połączył się fuzją z dużym – nomen omen – graczem, z megawydawnictwem rosyjskim Wriemia Igry. Zdajecie sobie sprawę, jakie to daje możliwości. Jaki rynek zbytu, Rosjanki grać lubią... no i Wriemia już są megabogate. Szukali długo jakiegoś chwytu, nowego tematu, czegoś, co będzie inne niż cały świat. I tu... – Kacper popatrzył na Bertę. – Brawo, Berta! Podchwycili właśnie Wenetów, twój temat słowiańsko-magiczny. Nasz. Widzieli konspekt i fragment demo – trzeba właściwie wszystko zacząć od początku, ale tak. Mamy to.

Ruszamy.

– A ty chciałeś robić western – szepnęła złośliwie Berta do Marcina. – Pif-paf! W samo południe...

Czuła satysfakcję. Podniecenie ogarnęło cały team. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że to ogromna szansa. Jeśli się spodoba, jeśli ich gra stanie się kolekcjonerska, pójdzie w miliony, będą mogli spać spokojnie, bez strachu o pracę, kredyty i pensje, a te będą niemałe.

– Kto wie, co wołą moskwianki – odciął się. – Myślisz, że na pewno słowiańskiego rybaka w onucach, a nie superszeryfa, macho, co bez pudła strzela w dziesięciopensówkę?

– Oj, zaraz rybaka. – Berta ciekawa była, gdzie w wizji, od której Kacper tak pęczniał szczęściem, tkwi gorzkie żdźbło. Wiedziała, że gdzieś być musi, żyła na tym padole już prawie trzydzieści lat, a w świecie gamedevu osiem. Jako pochwalona autorka pomysłu, artliderka, miała odwagę zapytać głośno:

– A gdzie ta słabsza wiadomość?

Kacper westchnął. Wiedział, że jękną chóralnie, kiedy to powie. Ceną był czas. Sam nie miał z tym problemu, był singlem, poza pracą uprawiał myślenie o pracy, znał tylko ludzi z branży i marzył o sukcesie swoich gier. Wszyscy zresztą o tym wiedzieli, jak również o tym, że Kacprem nie kierowała żądza kasy dla samej kasy: wypasionych aut, willi z basenem i tak dalej. Jedyne luksusy, jakie kochał, to drogie zegarki, ale i je oddałby za wielki sukces gry i Game Starsów. Pożądał sukcesu, bo kochał gry. Były jego pasją, niwelowały poczucie samotności, dawały poczucie sprawczości. Chciał pieniędzy, pieniędzy w dużych ilościach, na następne projekty, na sprzęt, na ludzi, bo w myślach już rozbudowywał zespół, zgarniał nagrody, zajmował pierwsze miejsca w światowych rankingach. Sukces. Gra kolekcjonerska, która zachwyci świat. Akurat to ostatnie nagle okazało się możliwe...

– Ale? – nacisnęła Berta, czując milczące wsparcie kolegów.

– Ale musimy zrobić ją w siedem miesięcy.

Milczenie jakby zgęstniało. Długopisy zawisły nad kartkami, palce zastygły na komórkach. Ludzie wymienili spojrzenia, a Berta zawołała:

– Siedem? Na całą grę? Kiedy mamy zrobiony tylko kwadrans z kilku godzin?! I to do poprawy? Siedem miesięcy?

I wtedy nastąpił ów chóralny jęk, na który czekał Kacper. Na lipiec, czemu nie na maj? To jakby zbudować w tydzień piramidy. Jednej tylko galijskiej wiosce to się udało, w jednym tylko filmie, ale my nie mamy magicznego

napoju. Na lipiec? Może na jutro? Siedem miesięcy? Nawet ciąża trwa dłużej... Piętnaście minut demo robili trzy miesiące, nie było jeszcze dokładnego gameplayu, czyli tak potrzebnej siatki rozgrywki. Mieli zaledwie prototyp GDD, bazowy dokument, z opisem działań w grze, fabułą, przedmiotami, spisem animacji... I zaliczyli niezły crunch² przed oddaniem demo do testów, crunch, czyli czas intensywnej roboty nad ostatnim etapem, praca, praca dniami i nocami, bez wracania do domu na noce i na weekendy. Berta zamilkła porażona wizją tego, co przed nią: dziesiątki lokacji, minigierki, rekwizyty, postacie, wszystko trzeba narysować, sprawdzać spójność ilustracji innych, składać w całość. Silnik. Popatrzyła na programistę zwanego Liszką, potem na Wiesia od silników – nie wyglądali na zaskoczonych. Liszka zawsze mało gadał, a Wiesio, niepełnosprawny w nogach, ale genialny informatyk na wózku, i tak prawie stąd nie wyjeżdżał. Mimo wszystko powinni być bardziej poruszeni. Czyżby Kacper powiedział im wcześniej? Co szef im obiecał?

– No to chyba tu zamieszkamy – powiedziała głośno z ironią i rezygnacją.

– Jestem na to przygotowany – spokojnie oznajmił Kacper – nie dziś, nie jutro, ale jeśli będzie trzeba, zamieszkamy... to jest ta chwila: wszystkie ręce na pokład. Może zaistnieć taka sytuacja, że odetniemy się od życia i będziemy robić *Skarb Wenetów*. Kto nie da rady, proszę o decyzję teraz. To znaczy do końca tygodnia.

– Kacper – powiedziała niby łagodnie Edyta, zdolna graficzka, specjalistka od rysowania zwierząt, samotna matka bliźniąt – chyba kpisz?

– Spoko, Edzia. – Kacper widocznie przewidział ich pytania. – Masz czynną babcię, a jakby co weźmiesz swoich malców tutaj, zgadzam się. Myślę też o powiększeniu teamu. – Ubiegł pytanie Berty, która odpowiadała za organizację pracy grafików. – Ty, kochanie – zwrócił się do Gosi, której akurat najwyraźniej na chwilę zabrakło zwykłego poczucia humoru – ty, Goni, będziesz panią tego domu. Prowiant, kawka, pizze na koszt firmy, będziemy tu jeść i spać, grać w cudze gry dla rozrywki.

– Cha, cha, cha! – Gosia wykonała grymas nie do podrobienia. Lichy, jasny koczek na czubku głowy i okrągłe okulary zachybotwały razem z całą jej postacią. – Wszystko tu, szefie, będziemy robić, seksić się też będziemy tutaj, o tak? – Kciuk z palcem wskazującym zamknęła w kółko i długopisem wykonywała nieprzyzwoite ruchy w tym kółeczku. Wszyscy znali taką Gośkę, która głośno, że ruchanko a miłość to zupełnie co innego, nikt się nie przejął,

tylko Marcin parsknął śmiechem, a Kacper machnął na nią ręką. Chciał zmienić temat i miał na co.

– Kochani, Gośka w swoim żywiole, ale to nie koniec niespodzianek... Chcę wam kogoś przedstawić. – Pikał w komórkę.

– On chyba testuje siłę naszej psychiki jak w marines – szepnęła Edyta – i drogą eliminacji słabych wywali na bruk. Ja nie wiem, czy to przetrzymam.

– Cii, Edzia, czekaj, to ciekawe...

Michaił Aleksandrowicz Boryłow

Sekretarka wprowadziła gościa. Mężczyzna wysoki, cały jakoś jasny, bo jasnowłosy, o jasnej skórze, w jasnym garniturze, błękitnej koszuli, znakomicie ubrany, uśmiechnięty. Edyta pomyślała, że jak postać z włoskiego fresku, facet umie trzymać kontakt wzrokowy z wszystkimi naraz. Wiesio z zazdrością patrzył na mocne nogi i zgrabne ramiona gościa, facet musiał być wysportowany i zdrowy jak byk. Gosia zamrugła powiekami i pomyślała, że jasny, jasne, ale oczy skurczybyk ma ciemne, aż chwilami czarne, brwi i rzęsy ciemne, i przy tej ogólnej jasności robią niesamowite, szatańskie wrażenie. Już nie imitowała długopisem ruchania, wyprostowała się bezwiednie. A Berta? Berta wbiła w niego zdumiony wzrok, lekko otworzyła usta i zaniemówiła. Widziała go dziś drugi raz. To on zjeżdżał z nią z dwunastego piętra, przez chwilę był jej wybawcą, Berty zabłąkanej pośród kondygnacji. Więc dlatego wysiadł na piątym, tak jak ona... Czekał pewnie w gabinecie Kacpra. Czyżby mieszkał na dwunastym, gdzie znajdowały się apartamenty z zielonymi tarasami?

– To nasz nowy współwydawca, dyrektor generalny z Wriemia Igry, Michaił Aleksandrowicz Boryłow. Proszę wybaczyć akcent, proszę mnie poprawić, Michaile Aleksandrowiczu – zwrócił się do gościa kokieteryjnie – rosyjski nie jest moją najlepszą stroną. Oni wszyscy – mówiąc to, pokazał ręką na zespół – cudni ludzie, ale lepiej gadają po angielsku, niemiecku, po szwedzku nawet, ale nie po rosyjsku. Zapomniał o Bercie, znała dobrze rosyjski, pochodziła ze wschodu Polski. Nie miało to jednak znaczenia.

– Misza, po prostu Misza. – Mężczyzna nadal się uśmiechał, ale było to jakieś naturalne, mówił dobrą polszczyzną, z lekkim wschodnim akcentem. – Proszę mówić, jak państwo chcą, znam wszystkie te języki. Wriemia Igry mają już filie w całej Europie... – Wkradło mu się rosyjskie „w”. Berta pomyślała, że to na swój sposób urocze. Przystojny Rosjanin światowiec, z nutką tęsknoty za Starym Arbatem... ale co on tu robił?

– Misza chciał poznać zespół, zresztą zwiedza cały oddział polski Grand Playersów i ich firm córek, pączków, podwykonawców itede. Jest tu od miesiąca, jak mówiłem, dokonano fuzji developerów. Teraz Misza pragnie

zobaczyć pracę i ludzi najlepszych, czyli nas – Game Stars. I pomysł, stan prac. Team i timing – zażartował.

– Tak, jasno, ustalimy harmonogram i zniknę – obiecał Misza Boryłow – ja chętnie powiem o sobie i poznam team. Studiowałem w Wielkiej Brytanii i mieszkam obecnie w Moskwie, jako dyrektor generalny odpowiadam za pracę Wriemieni w Ewropie Środkowo-Wschodniej... – Mówił płynnie, ale z chęcią wychwytywali drobne rosyjskie akcenty.

– A żonaty? – zapytała Gosia bez ceregieli.

– Jeszcze niet. – Ukłonił się, nieurazony, w jej stronę. – Żona, dzieci to może przyszłość, jeszcze nie – poprawił się i dodał elegancko: – Ale w Warszawie, owszem, jest istotne zagrożenie. Najpiękniejsze kobiety żyją w Polsce, tak u nas mówią.

– „Dżentelmen” – zanotowały wszystkie babki na sali i poprawiły się odruchowo w krzesłach. Berta pomyślała z żalem, że przez tę poranną gonitwę nie stanowiła powalającego widoku, ani w windzie, ani teraz. Wilgotne od potu włosy skręciły się jeszcze mocniej, kolorowe, bo na części trzymała się jeszcze jasna farba, ale generalnie brązowe z miedzianym połyskiem, jak i oczy. W tej windzie przykryte były jeszcze czapką wykonaną na drutach przez ciocię Jadzię, a kurtka Berty z second handu była, owszem, ciepła i gruba, ale właśnie wydała się jej futerałem na mandolinę, a nie okryciem wierzchnim młodej kobiety z wielkiego miasta. Kraciasta spódnica i kolorowe rajstopy przedszkolaka na szczęście kryły się pod stołem, sweterek ostatecznie mógł być. Berta lubiła mocne kolory, ten akurat lśnił czerwienią jak malina, miał odważny dekolt i opinał dokładnie jej zgrabną kibić. Nie uznawała żadnych staników, nie były jej potrzebne, szybko wysunęła kształtny biust do przodu, spięła włosy biurowym spinaczem, odruchowo wyprostowała się w krzesło. Facet jej nie obchodził, miała swojego Maćka, ale zawsze przed dyrektorem warto wyglądać lepiej niż gorzej, pomyślała, poprawiając sweterek na piersiach, bo zaciekawiony wzrok Miszy spoczął właśnie na niej. Ciemne oczy spotkały się z jej brązowym spojrzeniem.

– A to Berta Kalinianka. – Kacper przedstawiał zespół. – Nasza artliderka i autorka słowiańskiego pomysłu. Graficzka, administratorka, moja prawa ręka. – Berta z radością usłyszała te słowa, nareszcie wypowiedziane wyraźnie i głośno. A więc szef doceniał jej zaangażowanie i zmysł organizacyjny...

– A tak, my się już widzieliśmy. – Misza uśmiechnął się jeszcze radośniej,

podszedł i wyciągnął do niej rękę. – Pani się zabłąkała w windzie. Lost, zagubiona princessa na etażach?

– Nie princessa, zwykła graficzka, ale tak, lost i panika – powiedziała z lekką goryczą – jak na pierwsze spotkanie sam profesjonalizm. – Oddała uścisk dłoni, a Misza Boryłow pochylił głowę i pocałował ją w rękę. Zmieszała się.

Co miał w sobie taki facet, że polski zwyczaj całowania kobiet w rękę nie wypadł staroświecko, a uśmiech trwał niezmiennie i nie był drwiący ani głupi? „Ma teraz czarne te oczy – pomyślała, a w nich jakieś porozumienie”. Misza powiedział jeszcze:

– Kalina? Kalinina? U nas w kulturze ludowej krasnaja kalina ma swoje miejsce w pieśniach.

I poszedł dalej. Kacper przedstawiał mu teraz Edytę, dyrektor pocałował także jej dłoń, zarumieniła się, kiedy szef wychwalał jej rysunki zwierząt, jej łabędzie i jednorożca z poprzedniej gry. Marcin designer usłyszał, że jest „wirtuoznym” twórcą fabuł. Coś faktycznie miał w sobie ten Misza, wszyscy wokół niego czuli się nagle ważni i wyjątkowi. Wiesio i Liszka usłyszeli, że gość ma wielki szacunek do programistów, bo sam to raczej tylko marketing, Gosia pocałowana w rękę zarumieniła się i nawet nie próbowała żartować z nim, jak na przykład z Kacprem. Ileż to razy podczas przemowy Kacpra do zespołu stała za szefem, przedrzeźniała go, gestykulując przy rozporku i wykonując nieprzystojne ruchy biodrami. Teraz stała spłoniona jak panienka, a Misza, patrząc na jej ognisty rumieniec, mówił, że kwiaty kwitną w tym biurowcu w zimie i że to właśnie Polska, Warszawa! Kacper przedstawiał następnych grafików, wspominał, że zespół za mały i zapraszał do obejrzenia całej siedziby. Misza pożegnał się ukłonem głowy i poszli oglądać biuro. Ludzie po spięciu wyluzowali, zaczęli gadać wszyscy naraz. Wiadomość była w zasadzie doskonała, ale czas?

– Hardkorowo! – powiedział Wiesio. – Wessie nas tutaj.

– E tam... – Gośka wracała do formy. – Cycki naprzód i do roboty.

– Ja nie mam – jęknął Liszka, wypinając pierś.

– Żałuj – odpysknęła Edyta. Jako skrzywdzona rozwódka była zła na wszystkich facetów na świecie. Za to Gosia ujęła w dłonie swój krągły biust i szła ku Liszce z lubieżnym zawołaniem: „Bierz moje, Lisiu, bierz moje”.

Berta zostawiła ich i odnalazła swoje biurko. Zamyśliła się. Wiedziała, że teraz czeka ich wiele zebrań bardziej konkretnych, roboczych. Byli naprawdę

u progu dzieła. Zatwierdzili dopiero główne postaci i zarys przestrzeni. Ile tego trzeba będzie zrobić w 3D? Wszystkie animacje? Wydawca chce zmian w fabule, będą musieli ją wymyślić niemal od nowa. A jednak... Już jej wyobraźnia biegła śladem bohaterki dziką ścieżką do jeziora, wśród tataraków i sitowia, drobne stopy słowiańskiej Wasylii, ubrane w rybackie saboty, poruszały się szybko po kamieniach (ileż to będzie animacji!). Zza krzaka wyglądał łobuzerski święty kwiat, a trzeba ich będzie zebrać dwanaście. Nie tylko wyobraźnia, ręka Bertę miękkiem ołówkiem biegła już po szkicowniku, kawa stygła, a nad głową pięknej Wasylii pojawiały się ciemne skrzydła demona. Bertę tak pochłonęło tworzenie twarzy prześladowcy dziewczicy, że nie słyszała komórki, nie zajrzała do poczty mejlowej, nie widziała nawet, że Misza przystanął za szklaną ścianą i przyglądał się jej dobrą chwilę, z ciekawością i rozbawieniem. Dobrze, że nie podszedł bliżej i nie zerknął przez ramię artystki na jej szkice, bo demon nad Wasylią miał niezwykle ciemne oczy o znajomym kształcie i jakąś tęsknotę w spojrzeniu. To były jego oczy, czarne, przenikliwe oczy Miszy Aleksandrowicza Boryłowa z Moskwy.

Z amoku pracy wyrwał ją dopiero dźwięk komunikatora. Masz wiadomość. Od Maćka. „Malutka – pisał jej chłopak – o której kolacja? Jaja na bekonie będą OK? Jak będzie topless, zrobię szparagi”. „Dziewiętnasta – odpisała szybko. – Nie dam rady wcześniej. Co tam topless, zdejmę z siebie wszystko, jeśli postawisz na stole szampana. Chcę prawdziwego szampitrona, mam megawieści”.

„Ja też. Będzie” – odpisał lakonicznie Maciek i nie wiedziała, czy też chce szampana, też ma wieści, czy też zdejmie z siebie wszystko. Pewnie miał na myśli wszystkie trzy opcje. Uśmiechnęła się. Oczekiwała jeszcze tylko rozmowy z szefem: o harmonogramie działań, współpracy z designerem Marcinem i o podwyżce. Dostanie, to pewne. Właściwie dobrze się zaczął ten nowy rok. I z pewnością miło się skończy ten pierwszy dzień. Ciekawe, co wymyśli Maciek, oby nie jakieś nowe seksowne smarowidło do zjadania z człowieka. Pod tym względem ciągle ją zaskakiwał, lubił kreatywność w seksie i w życiu. Zniszczyła demona jednym prostym „delete”.

Maciek Znikomski

Maciek rzeczywiście coś wymyślił, ale mimo że bardzo lubił urozmaicać ich intymne pożycie, znajdując nowatorskie zastosowania konfitur i olejków jadalnych, i czekał pełen apetytu na Bertę, tym razem chodziło o coś innego. Trochę się niepokoił, jak ona zareaguje, bo miewała dziwne reakcje, obrażała się o rzeczy nie do pojęcia, przynajmniej dla niego. Przypominała wtedy nastroszoną pstrokatą kurę i jego poczucie humoru zwykle ratowało sytuację i rozbrajało jej focha. Mieszkali razem od roku, a warunki mieszkaniowe mieli znakomite. Wszystko się po prostu świetnie złożyło, widocznie tak właśnie miało się złożyć. Od początku, czyli od momentu, kiedy dwa lata temu rodzice Berty kupili jej mieszkanie na ósmym piętrze tegoż bloku, w którym mieszkał Maciek. Po sąsiedzku, za ścianą, balkon w balkon. Mieszkanie Berty, trzydzieści osiem metrów, pokój, wnęka kuchenna, i tak był ogromnym wysiłkiem finansowym dla jej rodziców, którzy gospodarowali na podlaskiej wsi. Anna i Jerzy Kalinowie ciężko pracowali od świtu do nocy. Krowy, zboża, sad, a także krawiectwo matki dały pewne oszczędności, a Berta nie miała rodzeństwa, wciąż nie złapała męża, jak ze smutkiem mówili, pożegnali nadzieję, że złapie takowego na wsi, więc ze wzdychaniem postanowili kupić córce mieszkanie w Warszawie. Berta była szczęśliwa. Bardzo kochała swoich rodziców, wiedziała, że to mądrzy i porządni ludzie, chociaż szumu stolicy nienawidzili z całego serca. Pogodzili się z myślą, że ich Beatka nie wróci na wieś i na zięcia zainteresowanego gospodarką już nie liczyli. Byli jednak stosunkowo młodzi, dobiegali pięćdziesiątki, nadzieja, że Pan Bóg coś wymyśli, czyniła ich sympatycznymi optymistami. Kiedy Berta znalazła odpowiednie lokum, ojciec przyjechał, wyremontował, pomógł wnieść meble, w czym pomógł mu sympatyczny wysoki chłopak, mieszkający po sąsiedzku, niejaki Maciej Znikomski, co było zabawne, bo pomógł, przedstawił się i faktycznie zniknął. Jerzy Kalina ustawił córce meble, jak chciała, przytulił, poklepał w plecy, pocałował w czoło i z uczuciem niebywałej ulgi jak najszybciej uciekł z miasta. Jechał jak na skrzydłach do żony Ani i do swojego Krukowa, bardzo starej wioski o rodowodzie słowiańskim, obecnie całkiem nowoczesnej. Berta zastawiła sobie przestrzeń sztalugami, pędzlami, rzeźbami,

pracami jeszcze ze studiów. Początkowo nie miała głowy do niczego poza rysunkami, akurat zaczęła pracować w firmie produkującej gry komputerowe – Game Stars. Niemniej zauważyła niebawem, że ów Maciej Znikomski codziennie rano biega, wydaje się bardzo miłym szatynem, ma miękkie, niesforne włosy, ładne, szczerze oczy, mieszka obok i sam. Pierwszy raz rozmawiali na balkonach – w ciepły dzień akurat wyszli tam oboje. Od słowa do słowa: Maciej był sportowcem. Trenował sam, trenował innych, zajmował się triatlonami i boksem, i ku zaskoczeniu Berty był chłopakiem o licznych zainteresowaniach, obdarzonym poczuciem humoru. Zweryfikowała swój pogląd o sportowcach – dotąd uważała, że nadają się tylko do sportu i nie są w stanie skomponować dłuższej wypowiedzi własnej. Otóż nie. Maciek potrafił rozmawiać o wszystkim – od polityki po sztukę, grał w gry komputerowe, uwielbiał kino. Był po prostu inteligentny, zaradny, może trochę przemądrzały i z każdą kolejną rozmową na balkonie – coraz bardziej zakochany. Nie uszło to uwadze Berty, która nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Stawał się jej oczkiem w głowie, doskonale wychowany, do tego chyba sam gotował, bo z balkonu dochodziły kuszące, intensywne zapachyjadła. Wkrótce miała się przekonać, że Maciej był także oczkiem w głowie swojej mamy. Jolanta Znikomska, pracownik naukowy wydziału psychologii na UW, kochała syna ogromnie, zaraziła go miłością do kultury, wykształciła, zapatrzona była w niego jak w obraz, ale też nauczyła go kindersztuby. Urok Maćka i jego solidność, szacunek wobec kobiet były jej zasługą. Wychowała syna sama i nie mogła darować mu tylko jednego: tego sportu. Wybrał studia na AWF. Widziała w nim prawnika, może polityka, menedżera, lekarza – ale nie trenera... Ojciec Maćka może mógłby jej to wyjaśnić, ale nie żył od dwudziestu lat, więc docent Znikomska, najpierw zła na męża, że umarł jej tak wcześnie, po kilku latach wybaczyła mu i postanowiła pielęgnować jego wspomnienie w sercu, a wzorzec w synu. W końcu z zasobów spadkowych kupiła Maćkowi mieszkanie na ósmym piętrze, ciut większe, bo dwupokojowe, wprawdzie z kredytem, ale widać sport nie był takim złym pomysłem, bo Maciek miał dochody z licznych treningów w ośrodkach sportowych i na uczelni, spokojnie sam spłacał raty, a jeszcze starczało mu na wydatki, potrzebne do tego, by zdobywać piękną sąsiadkę Bertę. Musiało tak być, składało się tak, jakby scenariusz ułożył im los. Okazało się, że są rówieśnikami. Okazało się, że oboje mają urodziny we wrześniu. Kiedy rozmawiali, czas płynął za szybko. Pewnego razu Maciek zapytał ją, czy zje

z nim kolację. Wiedziała, czym ta kolacja może się skończyć. Chciała takiego zakończenia, bo byłoby początkiem ważnej sprawy w jej życiu. Podjęła świadomą decyzję, poprosiła, żeby zjedli u niej, wyciągnęła z szuflady komplet bielizny na rozbierane randki, który dostała od przyjaciółki. Nie miała okazji go użyć. Maciek przyniósł zniewalające danie tajskie i pieczołowicie wykonane przystawki, kanapeczki, pomidorki cherry i szaszłyki. Na pierwszą kolację przyniósł też szampana. Jedli na podłodze, a potem kochali się pierwszy raz, jakoś tak naturalnie, komplet właściwie się nie przydał, potem Berta pamiętała tylko dwie rzeczy: swój lęk przez chwilę i zaskoczenie chłopaka. „Jak ty się uchowaaś?” – szepnął. „Król Maciuś Pierwszy” – powiedziała z uśmiechem, targając mu upartą czuprynę, która wbrew właścicielowi żyła własnym życiem. Pocałowała go i zasnęła, a rano znów się kochali, mimo że Maciek chciał poczekać. Ona nie, bo właśnie poznała seks w praktyce i spodobała się jej ta znajomość. Okazało się, że pasują do siebie znakomicie również pod tym względem. Berta uczyła się nader chętnie, a Maciek umiał być zabawny. Uprawiali seks radosny, eksperymentowali i nie mieli siebie dosyć. Wszystko się po prostu tu tak złożyło, jak miało się złożyć, był tego pewien. Potem wykazał się operatywnością, uzyskał stosowne pozwolenia od administracji budynku i radośnie zburzyli ścianę. Teraz mieli jedno mieszkanie, komfortowe, z sypialnią, która im nie wystarczała do miłości, z kuchnią, która czasem stawała się sypialnią. Zabawnie mieszały się w nim przedmioty z dwóch światów: ciężarki i kettle, czyli ściskacze, Maćka, z farbami i pędzlami Berty, stepper towarzyszył sztalugom, a worek treningowy wisiał w towarzystwie jej największego obrazu, zwanego przez oboje *Bieżnia*. Berta poznała matkę Maćka, nie polubiły się ze zrozumiałą wzajemnością. Zabrała go do Krukowa i ucieszyła się, że zyskał przychyłość jej rodziców. O matkę się nie bała – Maciek zdobywał serca wszystkich kobiet w minutę, ojcowie są zwykle bardziej krytyczni, jeśli chodzi o chłopaka córki, zwłaszcza jedynaczki. Maciek był bardzo inteligentnym chłopcem – wykazał totalne zainteresowanie polem, sadem i gospodarstwem, podpowiadał hodowlę koni, znał się na tym, bo jeździectwo też trenował, i ojciec Berty Jerzy stał się szybko Jurkiem i odwiózł ich na stację, uspokojony i zadowolony. Nie kłócili się prawie wcale, poza tym, że kiedy Berta mocno wkręcała się w pracę, Maciek bywał zazdrosny o jej czas. Umiała go obłaskawić, opowiadała mu wszystko, znał tajemnice gamedevu, dziwactwa kolegów Berty, śmiał się z seksualnych wygłupów Gośki, kiedy Berta je

relacjonowała, a nawet odgrywała aktorsko przy kolacji. Sam pracował w różnych godzinach, miał nienormowany czas pracy, układał sam siatki treningów. Mieszkali razem już ponad rok, a kiedy wrócili z gór, plątały mu się po głowie nowe marzenia. Przed wyjazdem, jeszcze w starym roku pobiegł pewnego ranka sam, bo do joggingu nie mógł namówić Berty w żaden sposób. Biegł i biegł, chciał się zmęczyć, żeby nie myśleć, ale dobiegł nad Wisłę, zatrzymał się, poczuł chłód wiatru i zrozumiał, że wszystko jest nieważne. To, że ma zaledwie dwadzieścia osiem lat, co chłodno podkreślała jego matka. Berta też dwadzieścia osiem. Młodzi, nieprzyzwoicie młodzi, co z tego? Naprawdę ją pokochał. Poczul, że pragnie jej nawet w tej chwili. Przypomniał sobie, że jej rodzice na wsi wcale nie uważali, że jest taka młoda. „Najlepszy czas na dzieci” – powiedziała znacząco Ania Kalina, a on uśmiechnął się. A nawet jeśli – to co? Chciał z nią mieć dzieci, mimo że na słowa matki zareagowała prychnieniem, jak wkurzona fretka. Znad Wisły było widać ich blok, poczuł pewność, tęsknotę i silne pożądanie. Zawrócił, pobiegł jak szalony, wpadł do pokoju i zachłannie rzucił się ku Bercie, śpiącej jeszcze, gołej i ciepłej, obrażonej gwałtownymi objęciami, bo wyrywały ją z przyjemnego snu. „Wynoś się natychmiast – sapnęła zaspana, odganiając jego usta – idź najpierw pod prysznic, brudasie”. Maciek jednak nie zamierzał iść pod prysznic, pożądał jej gwałtownie, teraz, spocony i wyczerpany biegiem, mimo to zachłanny, wiedziony pragnieniem jak magnes. Ciało Berty zrozumiało pierwsze, dopiero potem obudził się umysł. Zapragnęła tego brudasia i też pochwyciła go gwałtownie w ramiona, zapominając o snach. Ominęli pieszczoty, tym razem przygnęła Maćka pierwotna miłość, która kazała im się natychmiast zespolic, z nutą przemocy, którą Berta przyjęła, wydając niezrozumiałe dźwięki. Kochali się tak intensywnie, że przestraszyła się, czy po tym poranku będzie mogła zwyczajnie żyć, czy w ogóle wyjdą z łóżka na świat. „Kocham cię – powiedział pochylony nad nią, uśmiechnięty figlarnie, jak chłopak, który właśnie coś zbroił – kocham cię”. Berta odpowiedziała pomrukiwaniem, które można było wziąć zarówno za: „i ja ciebie”, jak i: „idiota, zboczeniec”. To był ostatni poranek przed wspólnym wyjazdem na ferie. W górach uczył ją jeździć na nartach, otrzymali od losu kilka dni innego świata, kilka nocy, po których umykali przed karcącym wzrokiem sąsiadów zza ściany, bo Berta, kiedy oddawała się zmysłom, oddawała się im bez reszty i czasem lubiła być głośna. A teraz wrócili do miejskiego życia. Pierwszy dzień dalszej części ich wspólnego życia. Nie dała

się rano sprowokować, ale Maciek nie zrażał się tym i miał bardzo konkretne plany na wieczór, i szykował znakomitą kolację. Pieczeń z polędwiczek w winie i cebuli była gotowa dokładnie na dziewiętnastą, on sam nie w podkoszulku, lecz w najlepszej swojej koszuli i krawacie, zadbał o kwiaty i świece – było to banalne czy nie – Berta lubiła romantyzm. O dwudziestej wysłał SMS. „Jestem już blisko” – odpisała, ale kłamała, bo minęło jeszcze pół godziny, zanim stanęła w drzwiach, oprószona śniegiem, zziębnięta, popatrzyła na pokój, stół, zagniewanego już Maćka, który podgrzewał trzeci raz swoją pieczeń w cebuli i topił w sosie jakieś warzywa. Ogarnęła wzrokiem tę przestrzeń, kwiaty, zrozumiała go w mgnieniu oka, upuściła torebkę, zrzuciła kurtkę z ramion, czapkę z mokrych włosów i zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, krzyknęła: „Tak! Zgadzam się. Tak!”.

Nie zważał na to, że jest potargana i czerwona od mrozu, nie dziwił się, że nie poprzestaje na kurtce, tylko ściąga z siebie wszystko po kolei, kolorowe rajstopy, kraciastą spódnicę, skąpe majtki – wszystko leciało gdzie popadnie, na lampę, na fotel. Zatrzymał jej ręce, kiedy stała już tylko w czerwonym sweterku. Wyjął z kieszeni pierścioneł i włożył jej na serdeczny palec. Berta poczuła łzy na policzkach. Sweterek zdjął już Maciek, bo ona wpatrywała się w liliowy kamień na złotym krążku, który po chwili był jej jedyną ozdobą. Naga i szczęśliwa wskoczyła na Maćka jak żaba, a on zaniósł ją na najbliższy fotel. Powtarzała słowo „tak” raz po raz i do upojenia, z którego wyciągnął ich swąd spalenizny. Garnek się spalił, pieczeń na węgiel, warzywa na nic i musieli jeść suche kanapki, ale popijali je szampanem, więc i tak byli pyszne. Szampana starczyło jeszcze, by natrzeć się nim wzajemnie i spróbować, jak smakuje z zapachem skóry.

– Będziemy wspominać ten wieczór zawsze – powiedziała cicho Berta.

– I opowiemy o nim swoim wnukom – dodał Maciej z przekąsem. Siedzieli oparci o siebie pod kocem, ona opowiadała mu o kontrakcie, o Wriemiu Igry, Miszy Boryłowie. O tym, że spóźniła się na kolację, bo musiała czekać, aż Kacper wezwie ją na rozmowę i powie o podwyżce, wcale niemałej. Było to tylko trochę kłamstwem, bo musiała czekać do szóstej, a potem jeszcze pochłonęły ją rysunki i zapomniwała o czasie. Nie wspomniwała o kuriozalnych terminach i tym, że pewnie za kilka miesięcy będzie wracać do domu tylko na nocleg. Słuchał jej, komentował trochę złośliwie i jednocześnie pieścił ją pod kocem. W tej chwili kochała go nieprzytomnie, każdą cząstką ciała i całym sercem. Nie chciała tego psuć.

*

Mimo że bardzo szczęśliwa, Berta unikała wszelkiego pośpiechu w sprawach związanych ze ślubem. Wolała planować powoli, smakować to planowanie, stroje i przestrzeń, w głębi duszy myślała nawet, że zrobią imprezę ślubną dopiero po oddaniu gry. Zaprosi ludzi z teamu. Przyjaciół jeszcze z szkoły, z Krukowa, ze studiów... Z nimi tak rzadko się teraz widywała, a szkoda, urządzali kiedyś wspólne wernisaże i nocne dyskusje o sztuce. Mirka na przykład tak pięknie malowała akty i drzewa. Tylko to wariatka. Mogłaby zostać jej druhną, a wtedy ona, Berta, mogłaby brać ślub w jakiejś parkowej altanie... Sama zaprojektuje dekoracje. Powiadomi rodziców i przekona ich, że wcale nie chce brać ślubu w rodzinnym Krukowie. Maciek nie pospieszał, chociaż ilekroć wspominał ten dziki seks przed wyjazdem, to, jak opieprzyła go potem, niby zagniewana, że nie pomyślał o żadnym zabezpieczeniu, zerkał ukradkiem na jej brzuch. Miał nadzieje związane z tym porankiem, mógł mieć owocne konsekwencje, ale nic się nie działo. Miesiączka o czasie zniweczyła jego plany i argument na przyspieszenie ślubu. A od tego czasu Berta nie polegała na zwykłych środkach antykoncepcyjnych, tylko poszła do ginekologa i po powrocie oświadczyła mu, że już nie mają z tym problemu, wpadki nie będzie i bez gumek. Widziała, że jest trochę niepokieszony, ale pogłaskała go po twarzy i przypomniała, że dziecko musi być wyczekane, wytęsknione, o czasie w sam raz. Nie teraz. Teraz Berta coraz częściej przebywała w innym czasie i w innej przestrzeni. Popłątane ścieżki leśne, kładki przy ruczaju i świecące ślepia wilków wśród ciemnych krzewów stawały się bardziej realne niż popłątane miejskie chodniki, labirynt piętrowych biurowców czy lśniące oczy psów w parku. Dymy nad słowiańską wsią i ogniska rozpalane dla wici stawały się ważniejsze niż światła w oknach miejskich blokowisk. Oto gra *Skarb Wenetów* nabierała konkretnych kształtów, a praca rozpędu. Na kolejnych zebraniach zmieniali fabułę, dogadywali z Marcinem dalszy ciąg historii, powstawały setki szkiców, Berta wciąż tworzyła koncepty, jej postacie zaczynały nabywać indywidualnych cech i żyć własnym życiem. Prace i emocje nabierały tempa.

Skarb Wenetów

Wasylia, córka księcia Wenetów, jest najpiękniejszą dziewczyną z plemienia. Musi tak być – jest przecież księżniczką. Ma gibką postać, ładne ramiona i szyję, małe usta podobne do serca.

Berta obdarzyła ją miedzianymi włosami, długimi po pas, ubrała w zieloną sukienkę, mimo że Marcin kłócił się o to uparcie, bo dla niego księżniczka powinna być blondynką, powinna być ubrana w błękit, zwiewny i bardzo koronkowy. Berta wyśmiała go, że został wychowany na Disneyu, rycerzach w rajstopach, błękitnookich śpiących królewnach. Nie myślała ustąpić, jej Wasylia nie była śpiąca. Była łuczniczką, musiała mieć krótką kieckę, wygodną do dosiadanania szybkich, dzikich koni i jeleni, do przemykania się między pniami drzew. Musiała być to kiecka zielona, by księżniczka mogła wtopić się w tło lasu. Miała być miedzianowłosa, bo była odmienna od wszystkich jasnowłosych dziewczyn z wioski, była inna. Ukłonem w stronę Marcina był błękit oczu, ale kształt ich przypominał ogromne japońskie spojrzenia postaci z mangi. Berta lubiła je i nie słuchała argumentów, że to przecież Słowianka. „Kto wie, skąd książę Budryn ściągnął sobie żonę, kim była jej matka” – szeptała, rysując w zapamiętaniu prężną postać księżniczki, piersi wypukłe i wyraźnie widoczne pod zielenią sukna, zaokrąglone kolana połyskujące z rozcięć w spódnicy, cienką talię obwiązaną rzemieniami, kołczan na plecach. Wasylia była prawdziwa, waleczna, ruda i Berta najchętniej ścięłaby jej te włosy, by nie przeszkadzały w kolejnych zadaniach, ale zakazał jej tego sam Kacper. Namęczyła się zatem, rysując je do animacji, by falowały płynnie za właścicielką, poddawały wiatrowi i lśniły w słońcu – do takich efektów musiało powstać tysiące rysunków. Pracowała z zapalem. Marcin mścił się za te pomysły w sposób ostatecznie korzystny dla gry: wymyślał Wasylii mnóstwo perfidnych przeszkód do pokonania i trudnych zadań. Sam rysował bohaterów męskich. Berta patrzyła z aprobatą na rycerza Jaro, przybysza z obcego rodu, obcej dla Wenetów wiary, zdziwionych wieściami z dalekiego świata, choćby tym, że można złożyć odpowiedzialność za tak wiele spraw w ręce jednego tylko Boga. Udał się Marcinowi, który nadał mu trochę swoich cech, smagłego, smutnego bruneta, o ciężkich

powiekach i mocnych brwiach. Marcin dobrze rysował postaci mroczne, dlatego upierała się, aby to on stworzył Żertwę – kapłana strzegącego pogańskich kultów, prawą rękę starego księcia Budryna, szarą eminencję władzy w plemienu. Żertwa był ponury, mały, łysy, miał gorejące oczy w chudej kościstej twarzy. Marcin uparł się, by obdarzyć go imponującym przyrodzeniem. „Coś musi mieć w tym życiu – tłumaczył Bercie i Kacprowi. – Kult falliczny nie jest niczym nowym w sztuce. Ludzkość płci brzydszej chełpi się nim od rysunków w Lasceau, nie widzieliście Erectusa?”. Kacper przecząco kręcił głową, nie chciał elementów ani scen gorszących ze względów czysto prawnych, a co za tym idzie – komercyjnych.

– Jeśli wprowadzimy obsceny, fallusy i seks – przypomniał im na naradzie – to gra musi mieć ograniczenie wieku, dozwolona od szesnastu lat. A gimbaza? A rodzice? A pańcie mniej wyzwolone niż nasza Gosia? – zapytał. Gosia wzruszyła na to ramionami.

– No, no, no! – powiedziała – bez takich aluzji, proszę! Ja świństw nie oglądam i nie czytam. Nigdy nie zagrałabym w grę, w której rycerz posuwa panienki, a Żertwa straszy fallusem jak zakrzywionym pejczem. I co, pojawia się komunikat: żeby przedostać się przez mury do doliny, musisz dać popieprzyć łysemu Żertwie? Wybierz najlepszą pozycję. Stuk, puk, na pieska, otwiera się brama? Fuj! Z kim ja pracuję? Zboczki! – krzyknęła, patrząc na zadowolone z jej wizji, uśmiechnięte i potakujące gęby Marcina, Wiesia i Liszki.

Berta oczyma duszy widziała już tę rozsuwającą się kamienną bramę w kształcie monstrialnej waginy, czysty kult płodności w skale.

– A co ty taka nagle płocha jesteś, Gosiu? – Berta roześmiała się. – Jak w gadaniu, to pierwsza, cycki gotowa pokazać każdemu gościowi. A jak co do czego...

– Bo ja, Bertuniu, wolę robić, niż patrzeć... nie oglądam i nie czytam świństw – powtórzyła obrażona Gonia. Sprawa była zakończona. Ze względu na Goškę i małoletni target wszelkie sceny erotyczne musiały pozostać zamknięte w ich wyobraźni.

– A tak lubieżny mógłby być zagubiony pantofelek Wasylii – rzekła Berta z lubieżnym westchnieniem.

– To już było, sto razy. Kopciuszek, krwawa pięta siostry i tak dalej – zemścił się za Disneya Marcin. – Wymyśl coś bardziej odkrywczego.

– Jakbym miała mało roboty – jęknęła Berta, ale wyobraźnia zespołu nadal

pracowała w zakazanym kierunku.

– Wiem, co by mogło być – powiedziała nagle Edyta. – Rycerz wyzwała utopce. Utopce, dziewice utopione, zanim im się przytrafił facet. Mszcą się na ludziach z zazdrości, ciekawe, jak to jest z seksem, nie? No to, żeby utopce przestały zagrażać wiosce, rycerz je łowi i rozdziewicza z zapalem.

– Co też ty mówisz! – Berta złapała się za głowę. – Edzia, rycerz złożył śluby. Dopóki nie nawróci Wenetów, nie może nic z nikim, nawet z Wasylią.

– Ale my moglibyśmy narysować sobie kilka kadrów: „Rycerz z księżniczką”, dziesięć ulubionych pozycji, tak na własny użytek... – Marcin się rozmarzył.

– O nie! Ja rysuję tylko to, co w planie – odrzekła dumnie Berta, trochę żałując, bo już wymyśliła, jak kusząco obnażyłaby piersi Wasylii przed rycerzem, który ślubu złamać nie może. Tortura. On klęczy przed księżniczką, ona pochyła się nad nim i z rozdarć w porwanej o gałęzie sukni wysypują się dwie różowe kule Wasylii, ozdobione ciemnymi brodawkami. Złamałby się czy nie? Złamałby się. Jej Wasylia zawsze zwyciężała...

Czas jednak rozstrzygał ich spory najszybciej. Wkrótce każda minuta na obnażone cycki byłaby stracona, bo potrzebna na narysowanie liści, kwiatów, noży, lin, młyńskich kamieni i run. Przedmiotów niezbędnych, by przechodzić kolejne etapy i labirynty gry. Płomieni ognisk i pochodni. Mrocznej groty, którą gracza rozświetli lampionem, najpierw jednak musi go napełnić oliwą. Marcin chciał mieć koniecznie scenę z wybuchem sztucznych ogni i programista Wiesio prawie umarł z rozpaczy. Długo kłócili się, czyimi oczami graczka będzie oglądać świat Wenetów, musieli zmienić pierwotny plan z demo. Jako kto i po co ma pokonywać kolejne przeszkody, co w końcu zdobyć w nagrodę? Berta nie zgodziła się na użycie Wasylii do głównej narracji. Cała jej praca nad stworzeniem tej postaci poszłaby na marne, bo gracze przecież nie widzą siebie. A Wasylia musi być widziana, musi wciąż pojawiać się w lokacjach, trzeba będzie ją śledzić, ratować, pomagać jej, walczyć z nią, a nawet od czasu do czasu całować. Marcin proponował koopa, czyli cooperative, grę na dwie osoby, gracz patrzyłby oczami rycerza, a partnerka oczami Wasylii. Kacper nie wyraził zgody – podpisał umowę na single gameplay. – Dla jednej kobiety, trzydzieści plus, zamożnej, niezależnej, kto wie, pewnie singielki, rozwódki i tak dalej – przypomniał im – więc zapamiętajcie, u licha, o całowaniu i macaniu Wasylii.

– Czemu nie? – westchnęła Edyta. – Tak dawno z nikim się nie całowałam,

że mogłaby być i Wasylia. A ona jest taka trochę drapieżna, biseks, no nie?

– No nie – uciął sprawę szef. Był już trochę zaniepokojony. Gadali, kłócili się, a robota marnie posuwała się naprzód. Sam był informatykiem, wołał strzelanki niż przygodówki i baśnie, ale teraz miał w głowie jedno: dopełnić kontraktu, dać światu taką zajebistą wiochę Wenetów, jakiej nie widział rynek – ruski, amerykański czy nawet chiński. Tymczasem zespół zamiast genialnych pomysłów, serwował mu przepychanki z fabułą i tęsknoty za scenami erotycznymi. Cała ta kłótnia o wprowadzenie graczy w przestrzeń Wenetów spowodowała, że wyjął z szafki następną butelkę koniaku, pociągnął łyk, zaproponował pozostałym uczestnikom narady, ale nie chcieli. Siedzieli nad projektem w ścisłym gronie, w czwórce, rdzeń zespołu, ten sam co zawsze przy kluczowych decyzjach: Marcin, Berta, Gonia i on sam. Marcin chciał, by graczy weszła w świat Wenetów po zagubionego narzeczonego, który był archeologiem i zaginął podczas wykopalisk. Oczywiście wcześniej facet dokonałby odkrycia: znalazł ślad słowiańskiego skarbu, coś na kształt Graala, gra nosi w końcu tytuł *Skarb Wenetów*, no nie? A skarby zwykle mają niszczącą siłę – więc on odnalazł to i znikł. Ona kocha, więc rusza na poszukiwania. Game start.

– Ale nuda! – Gosia ziewnęła. Była nie tylko asystentką szefa, ale też jedyną osobą w teamie, która nie tworzyła gier, lecz w nie grała. Była ich pierwszą instancją oceniającą, głosem rynku i testerem. Jeśli Gonia mówiła „nuda”, to był wyrok. Szukanie narzeczonego odpadało.

– Ale czemu? – jęknął urażony Marcin.

– Bo to było nie sto, ale sto milionów razy – poinformowała go Gosia. – Był Graal, archeologów na pęczki, powiedzą, że ściągamy z Indiany. Spielberga nie przeskoczysz. A w ogóle, to czemu ona ma szukać faceta? Sama nie może szukać skarbu?

– Feministka jaka! – sapnął zdumiony Marcin.

– Ale racji trochę ma. – Kacper zamyślił się. Niech graczy sama z siebie będzie ważna.

– Więc tak. – Marcin uklonił się drwiąco w stronę Gosi. – Więc tak: ona sama jest archeologiem, profesorem od archaicznych chałup, nawet znawcą światowej sławy, jedzie na wykopaliska, bo odkryto szczątki wsi słowiańskiej. Jedzie, jedzie, po drodze wpada w dziurę. Leci w dół, w dół, w dół.

– Jak Alicja w Krainie Czarów – powiedziała twardo Gosia. – Odpada.

Też już było. Jeśli na koniec się obudzi, to ja cię zabiję, a graczeki rzygną.

– A potem Kacper cię zabije drugi raz – dodała Berta. – Ile masz żyć w tej grze? Bo w realu jedno, pamiętaj.

– To same wymyślcie! – Marcin się wściekł. – Kwoki jedne. „Gdak, gdak, gdak, było i było”. Łatwo się krytykuje. Co wy byście w ogóle chciały...

Najpierw cisza jak mrok wypełniła gabinet Kacpra, a potem Gosia podparła brodę dłońmi i rozmarzyła się na dobre.

– Ja to bym chciała grać w taką grę, gdzie ja mam władzę. I mam moc, żeby wysłać do diabła wszystkich skurwieli tego świata. Takich, co na przykład dręczą innych. Na przykład dzieci dręczą albo zwierzęta. I tak w grze: najeżdżam na takiego, celuję i pierdut, rozmienia się w sypki kolorowy proch, który pięknie narysuje Berta.

– A toś nowość wymyśliła – powiedział Marcin i zaczął ją przedrzeźniać: – O bogowie, o bogowie, chcę być dobrym szeryfem! Chcę posprzątać świat. Supernowości: pojedynek dobra ze złem. Po prostu hit sezonu, znany od kamienia łupanego.

– Ale – rozmarzyła się głośno Berta – idę tak przez miasto albo przez wioskę, no po prostu przez życie, i wiem, co robić, to jest najważniejsze, wiem: rozwalam demony, a na końcu znajduję co?

– Prawdziwą miłość! – Gosia wiedziała, jak to dokończyć.

– No nieee! – chóralny jęk Kacpra i Marcina przywołał je do porządku. No nie? No tak, demony, prawdziwa miłość, nic nowego.

– Demonów nie ma w realu – przypomniał im Marcin. – Ani prawdziwej miłości. Dlatego ludzie kupują gry.

Roześmiały się obie, ale wcale mu nie przytaknęły. Kacper westchnął i popukał w blat biurka. Intro wciąż do poprawki, nudne, statyczne, a graczeki? Skupili się na wymyślaniu scenariusza, aż Gosia jako tako zaakceptowała pomysły. Stało na tym, że graczeki jest mediewistką z Londynu, z Instytutu Kultur Słowiańskich, Mary Ronney. Interesująca Mary Ronney, badająca kulturę Wenetów w początkach chrześcijaństwa. Pisze pracę naukową na temat śladów słowiańskich na terenach wschodniej Polski, pragnie je ocalić od zapomnienia. Szuka po wsiach starych chałup, run, symboli na kamieniach granicznych. Wezwana jako ekspert jedzie do skansenu słowiańskiej osady, w której dokonano ciekawych znalezisk. Dojeżdża bez przeszkód (Gosia kiwnęła głową na tak, Marcin się skrzywił, bo chciał kraksy). Witają ją chętnie, młody zespół, studenci i kadra, siedem żądnych wiedzy i przygód

osób, ale bez demonicznie przystojnego szefa placówki. Tylko ekipa: siedmiu naukowców i studentów. (Marcin z humorem zgrzytnął zębami: jak siedmiu krasnoludków!). – Odkrycie! Niech chociaż odkrycie będzie mocne! – zażądał.

Berta mówiła jak w natchnieniu:

– Tak. Bardzo mocne. Odkryli coś, czego nienawidzą archeolodzy wszystkich czasów i uczelni: kościotrupy, dwa kobiece kościotrupy, pochowane w archaicznym kurhanie, najwyraźniej w starym obrządku Wenetów. Znaleziony szkielet oznacza nieszczęście, archeolodzy o wiele bardziej wolą śmietniki od nekropolii. Obawiają się ruszyć truchło, czekają na panią doktor, niech będzie Mary Ronney, ale już sami mają kilka hipotez. Ona początkowo stwierdza niewiele – kobieta musiała być młoda, bogata, córka, żona władcy może? Księżniczka. Sama może była władcą, pochowana z szacunkiem i niewolnicą u boku? Zmarła czy ją zabito?

Pani doktor Ronney, czyli graczka, pełna sprzecznych myśli, kładzie się spać w schronisku archeologów. Kiedy budzi się rano, wszyscy są martwi.

– O! I coo? Czemu? – zapytała Gosia.

– O widzisz, o to samo zapyta graczka. Wchodzimy z nią do sali, a tam zamarłe ciała, jakby wszyscy wypili trujący napój.

– Otóż to – zakpił Kacper – lepiej pić koniak. Gonia uciszyła go niecierpliwie. Wpatrywała się w natchnioną Bertę.

– Ona musi odkryć, co się stało i znaleźć antidotum. Coś mówi jej, że odpowiedzi są po drugiej stronie trumny, w świecie, w którym odnajdzie prawdę o zgonie kobiet. Prawdę... Graczka Mary wchodzi do sarkofagu. Porusza ruchomymi elementami gładów, by trafić na kod. Musi być łatwy – ale dla niej jako specjalistki. Jakaś data?

– Dziewięćset sześćdziesiąt sześć – podrzucił Marcin – ja znam tylko taką.

– Każdy zna. – Berta szukała czegoś lepszego. – Mam. osiemset osiemdziesiąt cztery. Rok Pański, w którym Metody ochrzcił władcę czeskiego Borzywoja. Tego nikt nie wie, jedna Mary, bo zna kombinacje paleograficzne, służące do odczytu takich danych. Tak. Trafione. Budzi się w słowiańskim świecie Wenetów, rozpoczyna poszukiwania wyjaśnień...

– Nie, nie – przerwał jej Marcin – szukać musi zaginionej osoby. Dziecka, ukochanego, brata, kotka miauczącego w lisiej norze...

– Ona szuka prawdy, idioto, to nie ważniejsze? – obruszyła się Gosia.

– Ona szuka władzy – powiedział cicho Kacper – najpotężniejszej, jaka istnieje, władzy nad życiem i śmiercią, nad czasem...

– Dobrze – ustąpiła mu Berta – szuka też swoich kolegów. Będą tam poukrywani jak siedmiu śpiących braci z baśni o łabędziach. Pamiętacie szycie koszulek z kwiatów? Ale było animowania! Mary ich wyzwoli, szukając swojej prawdy. Nigdy jednak nie będą już tacy sami.

– Mary wchodzi w pogański świat Wenetów, szuka zaginionych archeologów, dajmy na to zamienionych w kamienie, spotyka wrogię Żertwę. – Marcinowi zaczęło się podobać, podchwycił tok jej myślenia.

– Albo lepiej – odpowiedziała Berta – spotyka szeptuchę, która zna tajemnicę jej narodzin.

Gosia poklepała ją po ramieniu. Szeptucha była dobra. – OK, ale tu będzie jeszcze potrzebny misjonarz – powiedział Marcin. – Samotny wojownik z misją, beznadziejnie zakochany...

Kacpra przekonał ich zapal.

– Mamy to – powiedział, rozlewając koniak do filiżanek. – Spisuj, Marcin, i bierzcie się za rysowanie...

*

Misjonarza narysował nowy grafik, Gustaw. Szef przyjął go szybko, natychmiast po tym, jak Berta dostrzegła w portfolio chłopaka niewątpliwy talent. Miał ciekawą kreskę, rysował szybko i sprawnie. Gustaw – wszyscy uśmiechnęli się pod nosem, a Gosia zapytała: „Mama dała imię po Holoubku czy po Konradzie z *Dziadów*?”. Gustaw nie wiedział, kazał nazywać się Guciem, co do drobnej postury nawet pasowało. Rysował świetnie. Jego misjonarz, zakonnik w grafitowym habicie, dzielnie szedł przez pogańskie knieje chrystianizować Wenetów. Łączył w sobie niepozorność mnicha z odwagą i siłą, bo był to misjonarz wojownik, mistrz miecza, biegły w sztuce walki i wykształcony w irlandzkim klasztorze. Spod kaptura patrzyły na świat błyszczące gorączką oczy romantyka, a silne mięśnie poruszały młyńskie koło, by zlikwidować tamę i napoić napotkane stado kóz.

– Dobry jest. – Berta pochwaliła Gucia, podchodząc do niego w drodze od kawiarki. – Tak jak i twoje bożki, Swarozyc i Światowid, zajefajne. Naprawdę dopiero u nas zaczynasz?

Gucio zadowolony potwierdził, a Berta ze swoją kawą udała się do biurka, do rysowania Południcy. Chciała dać jej jasne włosy i białą suknię. Czytała

opis: „Południca, przepiękna kobieta, przy dotknięciu kochanka staje się obrzydliwą staruchą... Południca z sierpem...”. Sierp trzeba zrobić oddzielnie, ukryć. Instrukcja: „Południca zgubiła sierp”. Znajdzie się za snopem, ale bez rączki. Sprytna graczką jednak ma już taką rączkę w inwentarzu, uzbroi się, by przejść przez zagajnik dusz. Południca – panna, która zmarła przed ślubem lub zaraz po. Berta poczuła dreszcz. Sama była przecież panną przed ślubem. Południca – z makabrycznym workiem na dusze dzieci... nie wiadomo czemu, przeszył Bertę prawdziwy mróz. Worek na dusze dzieci zrobił na niej wrażenie.

– Może ty narysujesz Południcę? – poprosiła Edytę. Edzia jednak, pochłonięta upierzeniem ptaka ognistego, pomyślała o kolejce swoich bohaterów: o cielątku zagubionym na planie, które trzeba będzie doprowadzić do matki. O wołach, które czekają, by nimi orać skiby pełne monet... Tak naprawdę fruwały te woły gdzieś w niebycie do czasu, aż ona, Edzia, powoła je do istnienia w swoim Photoshopie i dostaną własne istnienie w wyobraźni milionów graczy. Odmówiła. Berta została sam na sam z Południcą. Spod ołówka wylaniała się piękna twarz, o spojrzeniu tak lodowatym, że sama zadrżała. Starła szybko usta, które wyszły jej zbyt duże, ponętne, ale wykrzywione gniewem. Dała Południcy inne usta, lekkie, wygięte w półśmiechu. Poprawiła oczy, wystarczyło dodać ciepłej barwy, parę kresek, małą zmarszczkę, jakby ścieżkę po łzach. Teraz Południca patrzyła na nią z lekką ironią, z poczuciem wyższości i dziwnym bólem.

– Matka boleściwa jakaś ci wyszła! – powiedziała Edyta, patrząc przez ramię Berty na jej rysunek.

Berta ze zdziwieniem spostrzegła, że ta Południca ma kilka cech jej własnej matki, Ani Kaliny z Krukowa. Zabrała jej szybko te cechy, dorzuciła szczyptę zła w oczach.

– A teraz jej nie lubię. Oddaj jej tamte oczy – rzekła Edzia, wzruszyła ramionami i poszła rysować małe zwierzątka, które miały być porozrzucane po całym świecie Wenetów, wyskakiwać nagle na trasie graczy i piskliwym głosem prosić ją o pokarm. Rysowali całe dni, z przerwami na lunch, wieczorami znikali do domów, wracali rano, a Kacper skąpił im każdej minuty przerwy. Mijały dni, pogrążał się w strachu, że nie zdążą, pierwszą godzinę chciał zaprezentować wydawcy już w marcu, a prace postępowały jego zdaniem zbyt wolno. Kiedy wszyscy wychodzili z biura, zamykał się w gabinecie i wyciągał z szuflady swoje antidotum na stres. Po pół szklanki

koniaku albo whisky uspokajał się – dostrzegając, że jednak pierwsza godzina gry wypełnia się soczystymi barwami słowiańskiego świata, naszpikowanego pułapkami, wskazówkami i przedziwnym bestiariuszem stworzeń. Gra powstawała i realniała w wirtualnym świecie. Wciągała – wszyscy zatapiali się w swoich segmentach, a te zaczynały układać się w logiczną całość, skomplikowaną konstrukcję kolejnych dróg i przestrzeni oczekujących na mediewistkę Mary Ronney.

*

Przed graczką Mary Ronney otwiera się baśniowy teren. Świerki i sosny wyglądają swojsko, ale gęszcz krzaków z pewnością kryje liczne niebezpieczeństwa. Przeszła już szczęśliwie przez kładkę, łątając jej dziury w specjalnej minigierce, podobnej do puzzli. Uniknęła ukąszenia żmijki, bo miała w inwentarzu mleko, przysmak jadownego gada. Gra proponuje jej teraz do wyboru dwie drogi – doktor Ronney może udać się na polanę lub wejść do pieczary. Wybiera się za strzałką na polanę. Misjonarz modli się tutaj przed prowizorycznym krzyżem. Żertwa za skałą wymierza w niego nóż. Od sprawności Mary zależy, by przechwycić nóż w locie, uratować misjonarza, zyskując od niego dar wdzięczności. Żertwa rozsypał się w proch – Mary wie, że tylko na chwilę, ale napis „zadanie wykonane” da jej to ulubione poczucie satysfakcji. Nadejdzie chwila, gdy przyda się jej wdzięczność misjonarza. Wraca do kładki i teraz kieruje się do pieczary. Tu jest trudniej – rycerz Jaro toczy nierówną walkę z wojownikami plemienia nasłanymi przez Żertwę. Sam przeciw gromadzie. Mary staje do boju obok rycerza i walczy z napastnikami, których Gucio upodobił raczej do zombi niż słowiańskich wojowników. To fragment typowo sprawnościowy, trzeba celnie trafiać z kuszy. Zagapiła się, porażka, przegrali. Zmienia się kadr, teraz rycerz przywiązany do pnia czeka na ogień i tortury. Zadanie: uwolnić go. Jednak żaden przedmiot z inwentarza nie nadaje się, by mu pomóc – ani topór, ani wiadro wody. „Potrzebuję innego narzędzia” – Mary ucieka się do wskazówki i otrzymuje informację: „Tylko Wasylia może wyzwolić rycerza, trzeba ją powiadomić”. Telefon

komórkowy? „Nie mogę zrobić tego w ten sposób” – mówi instrukcja. Telegram? „Zdziwiłabym się, gdyby tutaj to działało”. Gołębica z gałązką? Tak jest. Ptak znajduje księżniczkę nad źródłem. Wasylia biegnie do grotty, ostrym kozikiem przecina więzy rycerza Jaro. Teraz i ona zyskała dar wdzięczności. Gdziekolwiek się uda, gdziekolwiek znajdzie się na planie gry, rycerz, milcząc, podąży za nią. Mary zyskała kozik do swojego inwentarza.

– Jak to zrobiłeś? – Berta roześmiała się, patrząc na Liszkę. – Jesteś geniuszem! Jak to zaprogramowałeś? Gdzie ona, tam i on.

Zbliżał się koniec dnia, chcieli przejść ten etap i zniknąć do domów.

– To tylko w tym wariantcie gry – rzekł Liszka, łysawy chłopak, bardzo zadowolony z siebie – zobaczysz, co zrobiliśmy z Wiesiem w okolicy moczarów i bagien. Tam laska Wasia wpada po uszy i topi się, a Mary musi wybrać tego, kto ją uratuje. Rycerz czy misjonarz?

– Oczywiście, że rycerz. – Marcin objął Bertę ramieniem. – Zmęczona? – zapytał wyjątkowo przyjemnym głosem. – Znam sposób. Moja siostra ma świra na tle wschodnich praktyk. Nauczyła mnie supermasażu, zobacz.

Berta rzeczywiście była zmęczona. Bolał ją bark, zaczęła martwić się, jak dotrwa do końca rysunków. Marcin posadził ją na obrotowym krześle i palcami, lekko, przebiegł od skroni przez szyję i wzdłuż kręgosłupa. Wrócił do skroni, wykonywał miękkie okręgi za uszami, u nasady włosów naciskał mocniej, potem obdarzał uwagą dotyku kolejne mięśnie szyi i karku. Naprawdę poczuła ulgę. Kiedy zszedł do łopatek i pogłaskał jej ramiona, poczuła ciepły, podniecający prąd. Zatrzymała jego ręce, wymknęła się, dziękując, bo wprawdzie czuła się zmieszana, ale ożywiona i uporczywy cień z głowy zniknął. Szybko nakładała kurtkę, z niechęcią myśląc o chłodnej drodze do przystanku czterysta dwa.

– Ja też chcę! – Przed Marcinem wyrosła Gosia, usadowiła się na miejscu Berty i pochyliła głowę. – A znasz też może erotyczny?

– Trzymam na specjalne okazje. – Marcin roześmiał się, serwując Gosi bolesne uszczypnięcia w barki. Inni już ubierali się w szatni, Kacper podszedł do nich i na do widzenia podzielił się jeszcze uwagą dotyczącą gry: za duży backtracking, Mary za długo krąży po bocznych ścieżkach bez efektu, tyle lokacji wstecz... dziesięć minut gry i nie ma ani jednego śladu swoich ludzi.

– O nie! – Nawet Marcin umknął przed jego wzrokiem, pocałował Gosię w czubek głowy i chwycił kurtkę. W mgnieniu oka Kacper pozostał w pustym biurze zupełnie sam.

Tej nocy Berta śniła koszmary i obudziła się z krzykiem. Nie mogła wydobyć się z miękkiego błota, nie mogła złapać tchu i bała się potwornie, że pijawka, ale nie czarna, lecz nagle wielka i różowa jak ogołocoony krab, wpije się jej w stopę. Maciek potrząsał nią, aż zrozumiała, gdzie jest, przypomniała sobie, że po powrocie do domu nie chciała już nic jeść. Wypiła duszkiem szklankę wina i rzuciła się na łóżko nawet bez kąpieli. A jednak była teraz rozebrana do koszulki i majtek, okryta kołdrą, a Maciej pochylał się nad nią zaniepokojony.

– Miałam złe sny. – Przełknęła ślinę.

– Tak jest, jak się na głodnego idzie spać. – Przytulił ją w ciemnościach.

– Miałam bardzo złe sny – powtórzyła. Poszukała jego ręki, rozsunęła lekko nogi, poprowadziła jego dłoń po wilgotnej od potu skórze, pod miękki skrawek materiału, który należało usunąć, zniweczyć tak jak nocne strachy.

– Zaraz je przegonię. – Obiecał i dotrzymał słowa. Koszmary zniknęły, a nazajutrz Berta wzięła wolny dzień. Kacper się wściekał, wyzwał ją od nieodpowiedzialnych pind, ale nic nie mógł poradzić. Berta pragnęła pobyc w realnym świecie, musiała jeszcze kilka razy prosić narzeczonego, by przeganiał jej błotne koszmary, a Maciek radził sobie z nimi doskonale.

*

Mary Ronney – czy też graczka kierująca jej ruchami – może być pełna uznania dla siebie. Wykonała kilka pierwszych zadań w rekordowym tempie. Zebrała trzynaście kwiatów unikalnej szarotki. Nakarmiła pożywnym prosem cztery wzruszające zwierzątka produkcji Edyty. Wykorzystała także dar wdzięczności misjonarza, który zaprowadził ją do Doliny Rajskich Jabłek, gdzie nareszcie natrafiła na ślad poszukiwanych badaczy. Cienie dwóch z nich wrysowane w skałę nie były łatwe do rozpoznania. Musiała znaleźć rylec, potem narysować w skale brakujące elementy – to była taka mała zemsta grafików. Znaleźć rylec ukryty w worku misjonarza dało się dopiero po rozwiązaniu supła. Rylec zadziałał, dwóch archeologów z ekipy znalazło się na bezpiecznej tratwie. Dopiero dwóch z siedmiu. Wskazówka pokierowała Mary do wioski,

prosto na wielką radę wojowników plemienia.

Mary widzi ich radzących wokół ognia. Jasnowłosi, mocnej budowy, w białych płóciennych koszulach szytych przez żony lub siostry. Spokojni, bo gwałtowność natury nie jest cechą Wenetów. Rej wodzi mały kapłan Żertwa, o, ten jest porywczy, miota się po placu, wznosząc ręce ku niebu. Śpiewa magiczne pieśni, czyni czary, czym budzi szacunek zebranych wojów, bo nikt nie rozumie jego zaklęć. Żertwa łysy, mały, ale krzykliwy i ruchliwy, wzywa demony przeciw groźbie nowej wiary, tańczy wokół posągu Światowida o czterech twarzach, który doprawdy jest arcydziełem zrodzonym w komputerze Gucia. Mary szuka w tej przestrzeni przedmiotów do swojego inwentarza, wszystko może się przydać w dalszej podróży. Udaje się jej przejąć kostur Żertwy, klucz i podkowę.

„Żertwa żąda zamążpójścia Wasylii. Chce wydać ją za Taghora, władcę sąsiedniego plemienia. Chce połączyć siły Słowian przeciw chrześcijaństwu” – informuje instrukcja na wstędze, spływającej od czasu do czasu na ekran. – „Znajdź w dziupli przepowiednię wieszczka”. Łatwe zadanie. Dziupla widoczna z daleka. Wieszczek – mała, wysuszona gadająca główka. Wieszczy, że jeśli wydadzą Wasylię za Taghora, poleje się krew i wszyscy zginą. Jeśli poślubi rycerza i przyjmie nową wiarę, ocalą plemię. Wasylia musi jednak spełnić misję, odplątać coś, co zaplątało się przy narodzinach”.

– Jaką znowu misję? – zapytała zdumiona Berta, gdy doszli do przepowiedni wieszczka. – Wymyśliłaś coś nowego?

Minęły dwa tygodnie i powstał następny etap. Rycerz już zabił jaszczura, który atakował Wasylię, i nadal podążał za nią, milcząc. Księżniczka uparcie przedzierała się przez bory, po co?

– Tak – odparł Marcin – naszło mnie coś wczoraj, że przecież ona też kogoś szuka. Musi znaleźć, inaczej nie zazna spokoju, miłości ani nie uratuje wioski...

– A wie chociaż, kogo szuka? – zapytała niepewnie Berta. Zrodziło się w niej poczucie, że ta gra nigdy się nie skończy i że ta gra zaczyna nimi rządzić, nie oni grą.

– Ona wie – szepnęła Edyta – ale Mary musi to dopiero odgadnąć. Nie mam pojęcia jak.

– Cóż, za to znalazła dwójkę z ekipy, ha! – pocieszył ich Gucio. –

Zobaczcie, jak fajnie odradzają się z tej skały, coraz bardziej wyraźni, a teraz hop, hop, biegną do tratwy... Animacja w 3D, wczoraj zrobiłem.

Animacja była doskonała, ale Kacper wciąż niezadowolony. Luty dobiegał końca. Zaraz, już za kilka dni, należało wysłać do oceny pierwszą część gry. Nakazał odłożyć tajemnicę Wasylii do następnego etapu i zarządził crunch. W sobotę dwudziestego dziewiątego lutego, czyli w dniu, który jednego roku bywa w kalendarzu, a innego nie istnieje – zakończyli pierwszy etap.

Kacper zarezerwował salę w pobliskiej restauracji i zaprosił wszystkich na sobotnie after party, z partnerami, ukochanymi, narzeczonymi każdej płci, z kim chcą, jak powiedział. „Byle nie z dziećmi – rzucił w stronę Edyty. – Na galowo, jak skurczybyk” – dodał jeszcze.

Po party mieli dostać kilka wolnych dni.

Poza grą

– Co ostatnio porabiałeś, kochany? – zapytała Berta Maćka, bardzo miłym głosem, bo chciała, by poszedł z nią na tę firmową imprezę w sobotę. Game Starsi chcieli hucznie uczcić finał pierwszego etapu, wizja wolnych dni dodawała im skrzydeł, a Bercie najbardziej ze wszystkich. Przypomniała sobie, że nie jest Wasylią z Wenetów, lecz Bertą z Warszawy, że kocha świat, a w nim ciemnowłosego trenera, którego wprawdzie widuje codziennie, jada z nim wieczorne posiłki, ale jakoś mniej go ostatnio zauważa. Widuje a zauważa to dwie różne sprawy. Teraz go zauważyła. Leżał na tapczanie, daleko od niej i grał w grę. Na ekranie laptopa biegały jakieś figurki. Berta rozmyślała nad galową kreacją i nad tym, czy Maciek z nią pójdzie. Wiedziała, że jest zazdrosny o to, że cały swój czas oddała teraz grze i Starsom, a przecież wracała wieczorami do domu i nie wspomniała mu jeszcze o planie zamknięcia się w firmie na kilka tygodni. Maciek i tak chodził jakiś niezadowolony, chyba przestał wkładać serce w przygotowanie wspólnych kolacji. Ostatni raz było między nimi przyjemnie i cudownie po pamiętnej nocy z koszmarami.

– Co więc porabiałeś? – powtórzyła. – Trenowałeś, trenowałeś?

– Aha. – Maciek uśmiechnął się kwaśno, a ciemne kosmyki spadły mu na oczy. – Mam nowy zespół w Fitness Bazie i wyzywam się w sztukach walki. Żeński zespół. Całkiem fajne dziewczyny.

– Prymitywny samiec. – Zaśmiała się. – Myślisz, że się na to złapię... Chodź ze mną na after party. Skończyliśmy pierwszy etap. Góra rozpieszcza mnie pochwałami...

– Nie. – Maciek odpowiedział jej, zanim pomyślał, ale to „nie” było stanowcze i wydobyte z samych trzewi. – Nie chcę iść na żadne party. Ani afterki, ani biforki.

– Czemu? – Przeturlała się ku niemu po tapczanie i zajrzała w oczy. – Chodź. Poznasz lepiej mój świat. Ludzi z teamu. Pikantną Gosię...

– Właśnie nie chcę – odpowiedział smutno jakoś, zamknął laptop i wstał. – Idę na trening. – Odwrócił się. Patrzyła za nim z tapczanu, ale już rozmyślała o czym innym.

– Zmieniłaś się, odkąd robicie tych Wenetów – powiedział. Tym razem nie był z nikim umówiony, szedł sam dla siebie, poboksować worek treningowy, to pomagało mu zmniejszyć pętający się po głowie dziwny smutek i złość. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do matki. Doradziłyby mu, czy może jednak powinien towarzyszyć Bercie. Nie, nie chciał iść i tyle. Trzasnął drzwiami.

Nie zamierzała nalegać ani za nim biec. Pogрузzyła się w rozmyślaniach o stroju, pragnęła zaskoczyć wszystkich nieznanym wizerunkiem Berty Kalinianki: codziennie była ruchliwym barwnym ptakiem, zwariowanym, w jej strojach nic nie pasowało do niczego i wszystko pasowało do wszystkiego: kratki, kolory, różne długości. Nosila fioletowe rajstopy i żółte spódnice. Ale nie tym razem. Czerń i złoto, myślała, secesja, damą się bywa, ale ich zaskoczę! Udało się jej.

Kiedy Maciek wrócił z wieczornego treningu z Fitness Bazy, przez chwilę myślał, że mają gościa, potem dopiero rozpoznał Bertę. Stała przed lustrem prawie gotowa do afterka, po fryzjerze, w dokładnym, wieczorowym makijażu. Po raz pierwszy zobaczył ją taką: nie w jaskrawych kolorach, nie w wystrzępionych džinsach i sweterkach, nie radośnie naga, lecz smukłą, w wąskiej ciemnej sukni do kostek, na szpilkach. Romantyczny kok ujarzmił pierzaste włosy pod złotą siatką, pozostał tylko zalotny, skręcony kosmyk na policzku.

– No, no! – Nie umiał ukryć podziwu. – Brakuje ci tylko rękawiczek do łokci i lufki z papierosem.

– Rękawiczki takie mam i zaraz włożę – oznajmiła. – Mam też nowe futerko, sztuczne, ale piękne. Kacper sypnął wypłatą. Zapnij mi, proszę, łańcuszek.

Czuł się jak w filmie, kiedy pochylił się nad odsłoniętym ciepłym karkiem Berty. Pachniała nowym zapachem, nie znał tych perfum. Nie opanował się, pocałował miejsce przy złotym zapięciu. Objął ją od pleców, ręce zsunęły się same, poczuł, że pod miękką materią sukni nie ma żadnej bielizny.

– Nie, nie. – Odsunęła go przestraszona, zerknęła na zegarek. – Może jednak się skusisz i dojdiesz do nas?

– Nie, nie. – Maciek się zaciął i nachmurzył. – Nie mam smokingu. Jestem taki nieuczestany – zakpił. – A wiesz co, żeby ta kieca była biała, to mogłaby być ślubna. Pytają mnie dziewczyny, czy jestem wolny, uważaj!

– Ech, to cię gryzie. – Podeszła do niego. Wyższa na tych szpilkach, ale i tak

musiała stanąć na palcach, żeby sięgnąć umalowanymi ustami jego warg. Maciek stał nadal sztywny. Na treningu naprawdę pewna blondynka próbowała wy badać jego stan cywilny, powiedział jej, że jest zaręczony. Ciekawe, co na takie pytanie jakiegoś koleśia odpowiedziałaby Berta. Teraz pocałowała go, zostawiła na jego ustach smaczną, słodkawą, wiśniową szminkę.

– Przez tych kilka wolnych dni poświęcę się całkowicie planowaniu ślubu – obiecała. – A poza tym nie będziemy wychodzić z łóżka, co? Będziemy planować, kochać się jak świstaki, planować i kochać. Dobrze?

Omal nie pożałował, że z nią nie idzie. Patrzył przez szybę, jak wsiada do taksówki. „Jak właściwie kochają się świstaki?” – Roześmiał się sam do siebie, a potem włączył sobie nową grę.

*

Muzyka w pubie Circo sączyła się cicho, jakby ze ścian, drinki roznosił sam Kacper, szczęśliwy, bo gra odpaliła u wydawcy bez usterek i pierwsze opinie były bardzo pochlebne. No i Misza Boryłow przebywał obecnie w Warszawie.

– Obiecał, że wpadnie i sam wam to ogłosi – mówił Kacper, nie wiadomo czemu konspiracyjnym szeptem. Pozwalał sobie tego wieczoru na duże dawki whisky bez lodu, rozparty w krzesle oddawał się marzeniom o światowych rynkach i nie wspominał o swych planach dotyczących pracy zespołu od marca. Kondensacja na maksa. W zamknięciu od świata. Crunchyk totalny. Nikt jednak nie chciałby o tym teraz gadać, kręcili się w tańcu, dowcipkowali na temat strojów. Misza rzeczywiście zawitał do nich przed północą, kiedy humory były już doskonałe, tańczyli wszyscy razem poza Wiesiem, który upijał się na smutno w swoim wózku. Gosia w wężowych wygięciach, przystrojona w cekiny od stóp do głów, dwie nowe graficzki Pola i Justyna w sukniach jak motyle. Na ich widok Misza przypomniał sobie opowieści o wdzięku Polek. Edytę w czerwieni obtańcowywał jakiś kumpel Kacpra, Berta zauważyła, że Edzia ma bardzo zgrabne nogi i wyjątkowo dobrze się bawi. Rzeczywiście, tańczyła przytulona do przystojniaka, już umówiona z nim na ciąg dalszy, błogosławiąc w duszy, że ma matkę, a ta matka może czasem zabrać do siebie bliźniaki. Bertę akurat adorował w tańcu Gucio, nudząc ją niemiłosiernie opowieściami o swojej dość nudnej biografii. Misza pojawił się nagle, jasny,

czysty, trzeźwy w przydymionym lokalu, witał się i uśmiechał. Skierował się bezbłędnie do najważniejszego stolika – ku chwiejnemu już, ale niezwykle rozbawionemu Kacprowi. Zbiegli się wszyscy, graficzki otoczyły Miszę wianuszkami i zaczęły dopytywać o testy gry, na jak długo w Warszawie i jak mu się podoba w Polsce. Znow o stan cywilny, ukrytą z pewnością żonę, jakby nie mogły uwierzyć, że jest sam. Chciały znow usłyszeć, że najpiękniejsze kobiety to tutaj, w Warszawie. Misza łatwo wtopił się w atmosferę, najwyraźniej miał dar komunikacji z każdym środowiskiem. Edyta ni stąd, ni zowąd opowiedziała mu o swoim rozwodzie. Gosia o tęsknocie za męskim ideałem. Berta zauważyła, że wszyscy Starsi zaproszeni zostali z osobami towarzyszącymi i wszyscy przyszli samotnie. Nawet ona. Czy znaczyło to, że ludzie gamedevu nie umieją łączyć wirtualnego świata z tym realnym? Taka myśl powstała w jej głowie, gdy poczuła na sobie wzrok Miszy. Pozdrowił ją, uniósł kieliszek i podszedł.

– Piękna suknia – powiedział – piękna Polka.

– Dziękuję. – Berta nie czuła się przy nim swobodnie, chociaż komplement był szczery.

– Wyjaśnisz mi może, czemu wszyscy tu pytają o żonę? Dzieci, rodzinę?

– Zdradź mi swój stan cywilny, o panie – odrzekła tajemniczym szeptem, żartobliwie – a powiem ci, co mogę dla ciebie zrobić! Bo widzi pan... widzisz, u nas mnóstwo dumnych singli, a każdy tęskni za miłością. Każdy gada o samodzielności i pisze o miłości. Szuka jej. Nasze gry są o miłości. Filmy, książki...

– Pro lubow' – powiedział cicho po rosyjsku – wsio pro lubow'.

– Da, pro lubow'. Iskusstwo, żyzn', wsio. – Zdradziła wymową, prawidłowym akcentem, że zna język: – Pro lubow'. Izwinitie oszybki...

– Oczen' prawilno. – Uśmiechnął się, ale przeszedł na polski.

– A twój stan cywilny? – zapytał Bertę.

– Panna! – odrzekła, wciąż zgodnie z prawdą.

– Serce wolne? – dopytywał.

– Nie. – Roześmiała się dumna ze swojej lojalności wobec Maćka. – Zajęte. Mocno, mocno zajęte.

Uklonił się i odszedł do Kacpra dyskutującego żywo z Wiesiem. Wiesio na wstępie imprezy omal nie zawrócił zagniewany do domu, bo przy wejściu do pubu nie było podjazdu dla wózków. Upokorzony chciał zniknąć, ale Marcin, Liszka i szef dziarsko wnieśli wózek z Wiesiem, nie dając mu dojść do słowa.

Teraz klócił się o coś zawzięcie, kalectwo nie przeszkadzało mu w kłótniach i piciu, mawiał, że ma słabe nogi, ale mocną głowę. Liszka, małowówny informatyk, wystrojony jak Brytyjczyk z dobrego domu, obserwował świat znad szklanki dżinu. Widział, jak Marcin odłączył się od nich i poprosił Bertę do tańca. Marcin tego dnia też dobrze się prezentował. Wydobył z głębin szaf garnitur, zamienił sportowe mokasyny na wyjściowe lakierki i włożył błękitny krawat. Zaczesał, wykonany przez fryzjera, odsłonił inteligentne oczy. Berta z zaskoczeniem stwierdziła, że Marcin bardzo dobrze tańczy, ale nie powiedziała mu tego. Naśmiewała się ze „szczupaczego” krawatu – zbyt długi, zbyt błyszczący krawat w łuski. Nigdy w życiu takiego nie widziała.

– Jest moją inspiracją do rysowania mieczy – żartował Marcin. Poruszał się tak lekko i manewrował nią tak zgrabnie, że musiał zaliczyć kursy taneczne.

Nie zauważyli kilku par oczu śledzących ich taniec. Z zazdrością i bólem patrzył na parę w płasach Wiesio. Nie tylko nigdy nie miał tak zatańczyć, nigdy nie miał normalnie wejść na schody. Nocą bolały go już ramiona i lędźwie, choroba postępowała. Być może zabierze mu sprawność rąk, czyli możliwość pracy. Właśnie topił w alkoholu smutek po ostatniej, niedobrej diagnozie swojego lekarza. Zauważył samotną postać Gucia, który wpatrywał się w tańczącą parę, kojarzył taniec Wasylii z rycerzem i smutnego misjonarza odchodzącego ścieżką w nieznane strony. „Taki los zakonników, każdy zresztą ma swoją ścieżkę. Niektórzy pokonują ją na wózku – pomyślał z goryczą – a na imprezach patrzą na roztańczonych kompanów”.

Patrzył na Bertę w płasach także Misza Aleksandrowicz. Wypijał toasty z Kacprem, rozmawiał z nim, ale mimowolnie zerkał wciąż w stronę postaci w ciemnej sukni, owładniętej muzyką, wirującej po parkiecie, umykającej ramionom partnera i wracającej ku niemu. Miała coś w sobie ta zmienna Polka, raz dama, raz cyrkówka. Dostrzegł ją już pierwszego dnia: jej śmiałe, mocno osadzone, wypukłe piersi, niepotrzebujące fiszbinów ani biustonoszy, wyzywające, opięte czerwonym sweterkiem. Nie byłby mężczyzną, gdyby umknął mu tak piękny szczegół zespołu. To była buńczuczna, apetyczna dziewczyna. Teraz zobaczył co innego: młodą kobietę w tańcu, każdy jej ruch miał jakąś płynność, tak jak linie jej ciała. Przyjemnie było patrzeć. Ostrzegął go przyjaciel, że gdyby chciał kogoś spotkać, to Polki są interesujące. Co z tego – serce zajęte. Zresztą nie chciał, miał swoje zobowiązania. Mimo to postanowił poprosić ją do tańca, kiedy tony muzyki uspokoiły się i stały się bardziej liryczne.

Nie odmówiła, a Marcin niechętnie odstąpił partnerkę dyrektorowi z Moskwy. Berta pomyślała, że dawno się tak nie wytańczyła, i może dobrze, że Maciek z nią nie przyszedł. Mimo że sportowiec, nie lubił tańczyć i nie bardzo umiał, był kanciasty i traktował taniec jak sekwencję ćwiczeń albo jak wyzwanie na ringu. A Berta naturalnie oddawała się dźwiękom muzyki i lubiła tańczyć. Michaił Boryłow tańczył dobrze, dominując, zawładnął natychmiast partnerką, poczuli wspólny rytm muzyki. Berta byłaby pewnie onieśmielona, ale w jej żyłach też już płynęło sporo trunku dodającego animuszu. Pozwoliła sobie na swobodę, dobrze wiedziała, że taniec to flirt, że porusza biodrami kusząco, zarzuca Michaiłowi ręce na szyję, przegina się w jego rękach, a przytulona zostawia na nim jak pieczęć dotyk swoich piersi. Taniec jednak usprawiedliwiał wszystko, przytulenia i oddalenia, splątanie nóg i zespolenie bioder pod dyktando latynoskich rytmów. Przetanńczyli ze sobą kilka różnych kawałków, w spokojnych odpoczywała, zawieszona na piersi partnera, trochę spocona, z twarzą wtuloną w gors jego koszuli. Niby nie poczuła ukradkowego muśnięcia ustami jej skroni ani ręki na plecach, głaszczącej fragment pleców pod ramiączkiem sukni. To było bezwiedne, z pewnością, przypadkowe jak cały Misza Aleksandrowicz w ich życiu. Boryłow po ostatnim tańcu odprowadził ją do stolika, pocałował w rękę, podziękował. Wypił jeszcze z Kacprem, który wykazywał tytaniczne siły mocnej głowy, i zniknął po angielsku, żegnając Bertę skinieniem głowy. Gosia, która obserwowała ich czujnie, powiedziała tylko: „no, no”.

– Co, co? – fuknęła Berta i zawołała taksówkę. Była bardzo zmęczona, jakaś rozedrgana i zła na wszystkich: na Marcina, Kacpra, Miszę Boryłowa, a nawet na śpiącego w domu Maćka.

Złość nie minęła jej w taksówce, nie odpowiadała na flirty kierowcy, niegrzecznie trzasnęła drzwiami. Nie skorzystała z windy, nie ucieszyła się, że Maciek zostawił otwarte drzwi. Weszła cicho do sypialni. Nie usiłowała go obudzić. Zrzuciła suknię, niewygodne szpilki, usiadła bosa na parapecie okna i witała świt nad Warszawą, różowiejące niebo, szare ogródki działkowe, splątane ulice, ciche, bo to był niedzielny świt i Warszawa spała mocno, podobnie jak Maciej Znikomski.

Kilka wolnych dni minęło bardzo szybko. Berta oddała je całkowicie narzeczonemu i ślubnym planom. Ku jej zdumieniu, organizowanie zaślubin wcale nie było takie proste. Kierownik restauracji w Ogrodzie Saskim popatrzył na nich z politowaniem i uświadomił, że takie lokale to rezerwuje się z rocznym wyprzedzeniem. A oni chcieli na sierpień, wrzesień, żeby w nazwie miesiąca była litera „r” i zaraz, natychmiast po oddaniu gry. Bertę zaczęły bawić szczegóły przygotowań, myślała, jak to powie rodzicom, i że matka będzie chciała wesele w Krukowie. Obie matki załamią ręce na wieść, że młodzi nie planują ceremonii kościelnej. Szczegóły i wydatki mnożyły się nieopowiedzianie, ale bawiły ich i cieszyły. Udało im się zarezerwować salę, mały lokal na Saskiej Kępie i urząd stanu cywilnego na Pradze na początek września. Maciek ujrzał zapał w oczach Berty, poczuł się pewniejszy. Już nawet nie pytał o firmową imprezę. Wróciła przecież bardzo stęskniona, uległa i kochająca. Kiedy nad ranem przebudził się razem ze świtem, siedziała jeszcze na parapecie, obejmowała kolana, patrzyła za okno. Uniósł się zaspany, odwrócił z głupią myślą, że akurat wczoraj umył to okno, błysnął spod kołdry nagim pośladkiem. Berta wiedziona nagłym impulsem i tęsknotą, zeskoczyła z parapetu, przywarła do jego pleców, wpiła się ustami w kark, pierściami w plecy, a paznokciami w ów uroczy pośladek. Odwrócił się rozbudzony i zadowolony. Oddała się miłości jeszcze gwałtowniej niż zwykle, zachłannie, ale jakby bardziej nastawiona na jego doznania. Pomyślał, że słusznie uczynił i nie będzie chodził z nią na żadne imprezy, skoro wraca taka roznamiętniona. Potem zaczął się dzień, następne poranki i było tak, jak obiecała: miłość i plany, kłótnie o drobiazgi i pogodzenia z okrzykami rozkoszy. Malowała trochę, kiedy on pichcił wyrafinowane dania. Chciał, by tak było zawsze, ale wolne dni minęły i Kacper Brog, szef Starsów, zwoływał team, histeryzując na wszystkich możliwych komunikatorach, w sprawie terminów i stanu prac. Ekipa powróciła pospiesznie na piąte piętro biurowca ze szkła i stali, a w komputerach szybko zaczęły powstawać kolejne lokacje, pułapki czyhające nie tylko na Mary Ronney, ale także na Wasylię, która uciekła z wioski na rączej klaczy Toni, w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Rycerz w milczeniu podążał jej tropem.

Poszukiwania i tajemnice

Studnia z popsutym żurawiem skrzypi w porzuconej osadzie. Tu Wasylia odpoczywa chwilę, a Mary Ronney otrzymuje zadanie, by napić klacz Tonię. Żuraw porusza się monotonnie, tak jak zaprogramował go Liszka. Instrukcja każe go naprawić. Przyda się teraz Mary kostur i lina. Sposobem znanym tylko programiście żuraw po najechaniu liną na rączkę drewnianego cebrzyka zaskrzypi zwycięsko. Klacz zanurza pysk w cebrzyku, a potem wdzięcznie odwraca głowę o wielkich oczach, grzebie dwa razy kopytem i tubalnym głosem dziękuje Mary w języku angielskim.

Płakali ze śmiechu, testując tę scenę, bo klacz była w jakiś sposób podobna do swojej twórczyni Edyty, a dźwiękowiec, imitując rzenie, nagrał głos Gosi.

Mary Ronney znajduje teraz chustkę Wasylii i beret jednego ze poszukiwanych badaczy. Niewątpliwy ślad, że idzie w dobrym kierunku. „Musisz podążać za Wasylią – podpowiada wszechwiedząca instrukcja – „Szukaj w stogach”.

Siedem stogów ustawionych za osadą to już następna lokacja. Jeszcze niedokończona, niemal całkowicie ograbiła grafików z sił, każde źdźbło bowiem wymagało ogromnej pieczołowitości, zwłaszcza że miały się rozsypywać, za każdym razem, kiedy tylko Mary prawidłowo wykona swoje zadanie sierpem i widłami. Po co?

– W jednym ze stogów śpi Wasylia. Najadła się sennych jagód – objaśnił Marcin – obudzi się za sprawą Mary. Nie, nie żadne pocałunki ze *Śpiącej Królowny*. I nie masaże, Gosiu – powiedział z uśmiechem. – Raczej eliksir. A potem Wasylia pobiegnie dalej.

– Ale gdzie pobiegnie? Co musi znaleźć?

– Wszystko się wyjaśni w swoim czasie – lakonicznie odparł Marcin.

– Sam nie wiesz! – szydziła Berta. – Czemu znów zacząłeś zmieniać?

– Dla mnie za mało strzelania – stwierdził Wiesio, a Gucio go poparł.

– Będzie, będzie – rzekł Marcin uspokajająco – mam w planach taką militarną scenę w podgrodzium. Turniej. Zawody łucznicze. Walka na kije, dzidy i maczugi. Następna lokacja. Co wy na to?

Westchnienie oznaczało jedno: zabiło ich hasło „następna lokacja”. Edyta zapytała jeszcze o pojedynki konne, a Berta była pewna, że rycerz weźmie w tym turnieju udział z szarfą wybranej damy na ramieniu. I tu zapewne przyda się znaleziona w sianie chusta.

Turniej w miasteczku wymagał gapiów, wyskakiwali niedopracowani jeszcze: pachołcy, kobiety i dzieci wiejskie spod rąk nowych graficzek. Podgrodzie powstało szybko – kamienny placyk, chaty rzemieślników, w oddali zarys prymitywnego zamku, bardziej romańskiego niż gotyku.

– W końcu to początek średniowiecza – zauważyła Gosia, która jako jedyna dbała trochę o realia historyczne. Powstał jednak inny problem: przejście z osady do podgrodzia.

– Strzałeczką może, myk i jesteście? – zapytała chytrze Edyta.

Wszyscy wiedzieli jednak, że to musi być bardziej skomplikowane. Zaczął powstawać labirynt wąwozów, podjazdów i ślepych dróg. Teren objęty panowaniem demonów, czyli podopiecznych Gucia i – coś dla Berty – uroczysko strzygi.

– Demony pilnują zaginionych archeologów? – zapytała Berta.

– Tak – potwierdził Marcin – ale strzyga czyha tylko na Wasylię. Pragnie jej dziewiczej krwi, oczywiście...

Popatrzyli na siebie ze zrozumieniem, pokiwali głowami i rozeszli się do swoich zajęć – Edyta do koni, Gucio do demonów, a Berta rysować strzygę. Nie chciała uczynić jej ptako-nietoperzo-potworem o podwójnych zębach. Zagłębiła się w materiałach o dawnych podaniach, znalazła stary zapis, w którym niezrozumiałym śląskim dialektem nakreślono kilka zdań o strzygach. Nie do końca były upiorami. Nie zawsze czyniły zło. Bywały dziećmi, które społeczność odrzuciła, bo rodziły się inne. Zatopiła się w wyobrażeniach strzygi podążającej za Wasylią, z niepokojem zauważyła, że jej postać podobna jest do księżniczki, oczy wychodzą jej podobnie, inna, trochę niezgrabna figura, inny strój, inne włosy, ale podobieństwo istniało niewątpliwie. Zaczęła poprawiać rysunek, bezskutecznie – brzydsza, odpychająca, upiorna – ale była to druga wersja Wasylii. O tych samych oczach, tyle że głodnych – mordu, krwi czy uczuć, tego Berta nie była pewna. Kiedy się poddała, rysunek był mocno zaawansowany, ale zegarki pokazywały późny wieczór. Berta szybko pozamykała pliki i komputer, była już zupełnie sama w pustym biurze.

Zjechała windą do garaży, omyłkowo, bo powinna wysiąść na poziomie

zero, zagapiła się. Miejsce parkingowe miał tylko Kacper, a także Wiesio, bo on musiał wyruszać na miasto swoim wózkiem trasą dla samochodów, z podziemnego poziomu minus jeden. Z rozległego, opuszczonego o tej porze garażowiska, miejsca rodem z horroru. Poczwała się nieswojo. Późnym wieczorem stały tu już tylko auta mieszkańców z apartamentów dwunastego piętra. Strzałki na asfalcie przypominały grę, powinny prowadzić do wyjścia, dookoła ściany i mury, labirynt wyznaczonych pasów, ale nigdzie napisu „exit”. Cisza, kompletna cisza. Ani jeden samochód nie warczał silnikiem, piskiem opon, nic podobnego. Nie było ciemno, ale zimne światło jarzeniówek stwarzało nierzeczywistą przestrzeń trupiarni.

Przestraszyła się, poczuła klaustrofobiczną duszność. Oparła się o kolumnę, by spokojnie oddychać, racjonalnie obejrzyć teren. Musi wrócić do windy lub znaleźć bramkę wyjazdową. Usłyszała kroki, mocne, męskie, to nie był płochy stukot damskich obcasów, ale towarzyszyło mu jakieś szuranie. „Ktoś idzie do auta – pomyślała z ulgą – zapytam, wskaże mi wyjście”. Wychyliła się zza kolumny, podniosła rękę w geście powitania, lecz to, co ujrzała, kazało jej schować się z powrotem. Natychmiast. Mężczyzna szybkim krokiem zbliżał się do jednego z aut. Rozpoznała Marcina. Nie byłoby w tym nic dziwnego, bo nawet gdyby nie miał swojego miejsca na parkingu – mógł dogadać się z ochroną. Nawet to, że rozglądał się dookoła jakby w lęku, by nikt go nie dostrzegł, nie było takie dziwne. W końcu nie miał prawa tu parkować i pora była podejrzana. Bertę cofnęło za ścianę coś zupełnie innego: Marcin wyglądał przerażająco, był pobity, miał krew na podartej koszuli, rozbitą skroń i rozciętą wargę, pociągał nogą. Rany nie były chyba głębokie, ale w miejscach mocno ukrwionych i stąd obfite plamy, nawet na błyszczącej podłodze. Berta podglądała, do którego auta się uda, czy wyjmie pilot i jeden z równiutko postawionych samochodów odpowie błyskiem reflektorów, sygnałem... Nie stało się tak. Nagle spod ściany za windą ruszył cicho srebrny opel, podjechał do Marcina. Marcin pospiesznie wsiadł, zajął miejsce koło kierowcy, zatrzasnął drzwi, przytykając chustkę do twarzy. Drzwi zgrzytnęły płaczkliwie i odjechali. Musieli przejechać blisko Berty. Wcisnęła się w ścianę – znikła w niej zupełnie jak zaginione postacie z gry, wtopieni w skałę archeolodzy. Mężczyźni w opłu nie dostrzegli jej. Za to ona ze zdziwieniem rozpoznała kierowcę. Był to Guccio, w ciemnych okularach, trochę bez sensu, bo tu nie było słońca, ale Guccio, z pewnością on. Odetchnęła, gdy odjechali, pobiegła ku windzie z nadzieją, że jej karta zadziała. Proszę o identyfikację –

zabłyśło na ekraniku. Nie miała zaprogramowanego poziomu minus jeden. Mocowała się z czytnikiem coraz bardziej zrozpaczona, bo nie chciała dzwonić do recepcji, naciskała bezskutecznie wszystko, co się dało nacisnąć – gdy z windy wyszedł Misza Boryłow we własnej, zamysłonej osobie. Niósł kwiaty, bukiet z białych goździków i astrów, pięknie skomponowany, przystrojony chabrową wstążką. Zatrzymał się zdumiony na jej widok, zaskoczony, ale także pełen dyskrecji. Nie zapytał, czemu płacze się po odmętach garażu, szarpie z identyfikatorem, nie podarował jej bukietu. Powiedział po prostu: „Dobry wieczór, Berto”.

– Dobry wieczór – odpowiedziała kwaśno – tak, to znowu ja. I dalszy ciąg moich wojen z windami. Wjechałam tu przypadkiem i nie umiem wyjść.

Misza roześmiał się. Nadal o nic nie pytał, pomachał kluczykami do auta.

– W takim razie daj się wywieźć. Mogę wprawdzie ściągnąć ci windę, ale jadę w stronę centrum, więc może to będzie po drodze?

– Centrum zawsze jest po drodze. – Sama nie rozumiała, czemu jest zmieszana. Właściwie dobrze się złożyło, wcale nie pragnęła iść teraz w chłód nocy, przemierzać tramwajem drogi do Patelni, tam przesiadać się w autobus na Pragę. Misza miał wygodny, ładny i ciepły samochód, popielatego mercedesa, otworzył jej drzwi, gdy wsiadała, zamknął za nią, a bukiet umieścił na tylnym siedzeniu. Zdusiła ciekawość, dla kogo te kwiaty i gdzie on wybiera się o tej porze. Misza też o nic nie pytał, poza tym, przy jakiej ulicy mieszka i gdzie to jest. Podała adres, czemu nie. Mało mówił, na szczęście, bo myśli Berty ciągle krążyły wokół sceny wśród samochodów na poziomie minus jeden. Skąd wychodził Marcin? Czy był mocno ranny? Kto go pobił? Co z tym wszystkim miał wspólnego ten niemrawy, nudny Guccio? Co powiedzą, jeśli ich jutro zapyta, jak Marcin wytłumaczy poobijaną gębę, bo przez noc nie pomoże mu żaden aloes...

– Który to budynek? – Wyrwał ją z rozmyślań niski głos ze wschodnim akcentem.

– Ten wysoki, najwyższy. – Wskazała blok. – Ma z ósmego piętra ładny widok na warszawski wschód słońca. Dziękuję ci, Misza. Drugi raz jesteś moim wybawcą.

– W życiu są potrzebni, tak jak w grze – rzekł Misza z uśmiechem.

– A gdzie ty się wybrałeś? – Nie mogła się powstrzymać, zerknęła na kwiaty. – Przepraszam, nie moja rzecz.

– Ja do teatru – uśmiechnął się – późny seans, dla wybranych gości.

– Nie sam? – spytała cicho, mimo woli.
– Czyżby pani trochę zazdrosna?
– Nie, skąd. Niepotrzebnie ciekawska. Ale bardzo wdzięczna, naprawdę, jeszcze bym się wlokła busem.
– To może pocałunek w nagrodę?
Zawahała się. Lekko musnęła go w policzek, położyła palec na ustach Boryłowa, uśmiechniętych, intrygujących pod lekkim wąsem, i powiedziała:
– Nie mogę, Misza, cicho. Straciłabym jedno życie. Takie, które toczy się tam – powiedziała, pokazując na zapalone światło w oknie na ósmym piętrze, wśród setek innych światel – naprawdę, nie w grze.
– Szkoda – powiedział tylko – pamiętaj, Beata Irina Juriewna, ty niejedno masz życie.

Zaskoczona, skąd zna jej oba prawdziwe imiona i imię ojca, czemu użył otczestwa, roześmiała się i uciekła z ciepłego auta w praską noc. Nikt jej nie gonił, auto zawróciło i zniknęło, podążając w kierunku centrum. Spektakl był interesujący, ale Misza przez cały wieczór nie mógł się skupić. Siedział w teatrze u boku pięknej, eleganckiej Rosjanki z ambasady, Leny Swietłowej, z którą wybrał się na Czechowa, widział jej ładny profil, długą szyję, kolczyki i gładki, ciemny kok, ale cały czas słyszał tylko ten czysty, trochę niepewny dźwięk o złotawej barwie. Polski śmiech, zmiennej, niedużej, zmysłowej Berty Kalinianki.

*

– Słuchajcie mnie, bo teraz to powiem. Raz powiem i nie będę powtarzał. – Kacper rozparł się w krześle z miną straceńca. – Nadeszła ta chwila. Musimy zintensyfikować pracę. Mamy trzy miesiące do oddania gry. Tak! – Powstrzymał ręką wszelkie protesty. – Licząc czas na poprawki, testy, próby – trzy całe miesiące pracy. Potem to już tylko dogrywka. Tylko trzy. Poproszę was o to, chociaż zwlekałem. Zamkniemy się od świata. Popracujemy z pełnym oddaniem. Innymi słowy: przenieście się tutaj. Tylko na dwa, może trzy tygodnie.

Zapanowała cisza. Spodziewali się tego od jakiegoś czasu. Mogli odmówić... i nie mogli. Gra była już mocno zaawansowana. Stała się ich wspólnym dzieckiem. Każdy włożył w nią trochę siebie, część swoich emocji,

dużo starań. Odizolowanie się od świata, zamknięcie na piątym piętrze w biurowcu nie dla wszystkich oznaczało to samo. Berta popatrzyła ukradkiem na twarze kolegów: Liszka ziewał, wszystko mu jedno, gdzie śpi. Wiesio uśmiechał się kpiąco, został uprzedzony. Gosia przewracała oczami i znów zaczynała pokazywać nieprzyzwoite gesty, tym razem nie palcami, lecz figurkami solniczki i pieprzniczki. Edyta pobladła. Guccio szepnął z udanym przerażeniem: „O jeny. Matka mnie zabije”. Marcin. Jego przystojna twarz z sińcem i dwoma drobnymi bliznami wyrażała postawę: okej, szefie, możesz na mnie liczyć. Nie wyjaśnił w ogóle swojej przygody, nikt zresztą nie dopytywał, poharatany, to poharatany, jego sprawa. Ten to nawet chętnie do czasu wygojenia schowa głowę przed światem. Dwie nowe graficzki i wspomagający programista wydali jęśliwe okrzyki słabego protestu. Sama Berta siedziała cicho. Wiedziała, że to nastąpi, że jako artliderka nie ma wyjścia, nie może odmówić. Maciek nic jeszcze nie wiedział, no i nie będzie zachwycony. Westchnęła.

– Właściwie wszyscy poza Edzią jesteśmy dyspozycyjni – powiedziała głośno. – Daj jej fory, Kacper. My się tu rozłożymy biwakiem... niech Edzia wychodzi do dzieci.

Edyta akurat nawiązała bliższy kontakt z kolegą Kacpra, poznanym na after party handlowcem Dariuszem. Spotykała się z nim regularnie, nikt już nie musiał znosić jej narzekań o tym, jak dawno się nie całowała, nie mówiąc o czymś więcej. Było i coś więcej, całkiem udane coś więcej, rokujące i obustronnie zadowalające coś więcej. I właśnie teraz zamknięcie w biurowcu! Może bardziej bała się o to, czy Dariusz na nią poczeka, niż o dzieci.

– Nie ma mowy – powiedział Kacper – to próba dla nas wszystkich. Musicie zawiesić aktywność w innym życiu, skupić się tylko na grze. Wtedy wyjdzie nam genialna... Berta, ty to wiesz. Może w połowie zrobimy jakiś oddech, imprezę, coś, zobaczy się. Ale – dodał ze spokojem – zrozumieć, jeśli ktoś odmówi. Zwłaszcza Edyta. Słuchajcie, muszę to powiedzieć: jutro. Kto jutro przyjdzie do pracy, wchodzi w to i zostaje.

*

– Słuchaj, muszę to powiedzieć: idiotyzm. Absurd. – Maciek nie posiadał się

z oburzenia. Miotał się po pokoju, reagował jak mały chłopiec, taki, który liczył na komputer, PlayStation, karabiny, a dostał Encyklopedię Wiedzy Powszechnej w prezencie urodzinowym.

– Trzy tygodnie zamknięci w biurowcu? Sami ze sobą i figurkami z gry? A my? A ja?

– No właśnie – roześmiała się Berta złośliwie, trochę z drwiną. – Ty. Ty jesteś w tym najważniejszy.

– Dziwisz się? – zapytał z żalem. – Tyle mamy jeszcze do załatwienia ze ślubem... Cieszyłaś się. Mieliśmy jechać z nowiną do twoich rodziców. Nie wiedzą.

– Przeżyją jeszcze chwilę w niewiedzy. A twoja matka mówi, że za szybko, że jeszcze powinieneś pojechać za granicę na pół roku. Świat poznać. Może ma rację? Ja wytrzymam. To jedź właśnie teraz. Na trzy tygodnie.

– Nie wiem. – Maciek nerwowo założył włosy za uszy, gestem, który bardzo lubiła. Siedział na fotelu napęczniały goryczą jak siedem nieszczęść. – Mam jeszcze inne życia, jak to fachowo mówicie. Treningi, zespół walk, wkrótce maraton, nie tobą tylko żyję!

– No właśnie. Trochę postu nam nie zaszkodzi. – Wsunęła się mu na kolana i pieszczotliwie pocierała policzkiem jego nos. – Maciuniu, ludzie wyjeżdżają na zmywak na rok, dwa i wytrzymują... to tylko trzy tygodnie... dobrze zarobię, pojedziemy gdzieś razem... podróż życia, jak chcesz, poślubna. Czas próby, mój ty królu. – Oplotła go sobą, całowała ucho, potem oczy, usta, napierała na niego, ręce powędrowały w dół i głaskały podbrzusze. Maciek siedział nieruchomo, zły, odmawiał udziału w miłości. On odmawiał, ale ciało go zdradziło, a Berta знаła każdy centymetr tego ciała i wiedziała, jak je pieścić. Ogarnął ją ramionami, pozwolił się rozpiąć, dobrać do czułych miejsc i dominować nad sobą. Znajomy szept, głęboki oddech, pragnienie udzieliły się i jemu. Patrzył jej w oczy, kiedy unosiła się nad nim i opadała na tym fotelu, ręce powędrowały do piersi, widział, jak doznaje rozkoszy, zagryza swoim zwyczajem wargi, przyspiesza ruch biodrami, czuł, jak i w nim narasta fala pożądania, która zaraz zamieni się w tsunami. Ale czuł coś jeszcze. Bunt i czułość, ból i nadchodzącą tęsknotę. Poczł, jak bardzo ją kocha, że gotów jest w tej chwili pobić ją do krwi za to rozstanie, ale nie uczyni tego, może tylko posiąść ją, gwałtownie i bardziej brutalnie niż zwykle. Uczynił to. Ścisnął ją mocniej za pulchne pośladki, popchnął i przewrócił na dywan. Przejął dominację i przycisnął jej bezbronne ręce do podłogi. Berta nie

protestowała, przeciwnie, jęknęła z rozkoszy. Świat zawirował w jego oczach, pomyślał, że zaaprobuje każdą jej decyzję. Przepadło – zawsze, wszystko będzie aprobował.

Crunch pierwszy

Kacper stał w drzwiach, witał swój zespół Game Stars uroczyście, z butelką szampana, w ukłonach. Nieśli ze sobą torby, plecaki i termosy, Gosia wtaczała się ze zdumiewającą walizką na kółkach – zdumiewającą z powodu koloru lila, jak i z powodu wielkości. Guccio chciał być dowcipny i kupił paczkę pampersów. Liszka przydzwigał skrzynkę piwa. Przyszli wszyscy, nawet Edyta, trochę spóźniona, bo nie mogła się rozstać ze swoimi dziećmi i kochankiem, trzy razy wracała z windy do mieszkania.

– Dziećmi zajmie się mama – powiedziała cicho do Berty – ale kto Darkiem?

– Jeśli kocha, to poczeka – pocieszyła ją i siebie Berta starym powiedzeniem z Krukowa.

Kacper otworzył szampana i rzekł poważnie:

– Witam na pokładzie jednostki Game Stars. Jesteśmy jakby na statku kosmicznym. Wstęp ma tylko Boryłow i sprzątaczką. Reszta, ha! Porzućcie nadzieje, którzy tu wchodzicie.

Przyjęli te słowa oklaskami i śmiechem. Wkrótce rozmowy ścichły, tak jak szum aut za oknami biurowca. Zaczęli ostrą pracę nad *Skarbem Wenetów*, zaczęli istnieć w świecie Wenetów, sami poczuli się trochę Wenetami.

*

Turniej w podgrodziu ściągnął tłumy z okolicy...

Podobni do Pinokia chłopcy, konie z głupkowatymi minami, ich korpusy w kształcie pudełek z ogonami i uszami, przekupki grube jak pierzyny – to wszystko kazała Berta poprawiać i poprawiać. Warto było, bo wyłaniała się z tych poprawek lokacja jak z bajki. Niemal słyhać było gwar średniowiecznego miasteczka, odgłosy targowiska. Plac turnieju gromadził gapiów. Tarcze strzelnicze, kusze, postacie stojących do walki Wenetów wyglądały świetnie, bo zajmowali się nimi Marcin i Guccio. Marcin dręczył Wiesia pomysłami do minigierek: Mary musiała odtworzyć na krosnach wzór

tkaniny, pozbierać rozproszone gęsi na stawie, odnaleźć przedmioty, które mniej lub bardziej przybliżyły ją do celu: odkrycia tajemnicy Wasylii, a tym samym odczarowania ekipy archeologów. Jedno bez drugiego nie mogło zaistnieć. Mnożyły się pytania: czyje kości grzechotały w kurhanie? Jaką misję musi wypełnić księżniczka i czy rycerz zdobędzie jej serce?

Tak jak Berta pokochała swoją Wasylię i ciągle poprawiała jej postać, tak Marcin wkładał serce i niewątpliwy talent w osobę rycerza Jaro. Berta ustąpiła swojej wyobraźni i przestała zmieniać strzygę, która krążyła nad Wasylią, podobna do niej jak siostra, jak niedobre alter ego, podrzucające kolejne przeszkody. Marcin dodał rycerzowi bliznę nad okiem, czym ocalił od zapomnienia własną, prawdziwą, bo goiła się jak na psie i przystojniał w oczach. Przysunął swoje biurko do stanowiska Berty, by łatwiej im było pracować nad wspólnymi scenami. Guccio cichutko pracował w swoim kącie i przygotowywał na specjalne zamówienie szefa jeszcze jedną figurę – pyszałkowego księcia Taghora. Graficzki Justyna i Pola sprawnie pomagały w wykonywaniu barwnych przestrzeni i przedmiotów, a Starsi wciąż mylili imiona nowych koleżanek. W pierwszym tygodniu działali podnieceni nową sytuacją, wzmacniani pochwałami Kacpra. Nie było tak źle, komórki zdeponowane u Gosi od czasu do czasu pobrzękiwały żałością, ale tylko Edyta miała prawo sprawdzać, co się dzieje na świecie za murem przed zakończeniem pracy. Gdyby wybuchła wojna, zmienił się klimat albo rząd, Game Starsi nie zauważyliby tego. Nawet słońce oglądali w przeglądarce googla, a nie przez okno... z tęsknoty za niebem wpatrywali się w ekran, ale nie biadali nad tym specjalnie. Dużo ważniejszą sprawą było głosowanie starszyny w wiosce Wenetów. Graczka Mary zlekceważyła je, biegnąc za Wasylią, budząc ją w stogu eliksirem znalezionym w studni. Pomięta żmudną grę z zębatkami, dała się wciągnąć w kolejne lokacje, zapominając, przed czym ucieka słowiańska księżniczka. Wasylia znikła wśród drzew. Wszystko nagle się zatrzymało, także Mary na rozstaju dróg. Sięgnęła po wskazówkę.

„Powrót do wioski” – odczytała. Gdyby w życiu tak łatwo można było uzyskiwać wskazówki i drogowskazy! Tak będzie musiała w tym momencie westchnąć każda gracza.

Mary posłusznie cofa się aż do wioski Wenetów. Członkowie starszyny monotonicznie kiwają się wokół ogniska. Żertwa na środku placu wymachuje rękami i za każdym wymachem wznieca snop iskiei. Ogień zaczyna węzowymi płomieniami ogarniać pierwszą chatę.

Zanim Mary dowie się, co uradzili Wenetowie, musi ugasić pożar. Mary z przerażeniem widzi, jak płomienie rozrastają się i oblizują już chatę wodza. Ma dwa wyjścia: skorzystać z konewki, ma ją od dawna w swoim inwentarzu, albo poprosić o pomoc oswojonego Jeziornego Jaszczura. Konewka jest do niczego przy takim ogniu. Jaszczur łatwo zaczerpnie wody do kostropatej gardzieli i fontanną zagasi pożar. Mary decyduje się na potwora, chociaż musi mu oddać cenny rekwizyt – miętowe cukierki, od których staje się niewidoczna. Mary zgadza się i wioska wraca do poprzedniej postaci – uspokojone żurawie, starcy znów kiwają się wokół ogniska, a Żertwa oblicza głosy starszyny. Wszystkie kule, prócz jednej, są czarne. Mary ustawia je rączką jeszcze raz. Wszystkie prócz jednej. Wasylia decyzją rady musi związać się z księciem sąsiedniego plemienia – Taghorem. Słowianie nie chcą nowej wiary, muszą się zjednoczyć przeciw orędownikom nadchodzącej obcej cywilizacji.

„Przecież przegram – szepcze Mary, czyli Gosia, która jak zawsze testuje grę – przecież ona go nie chce”. Wasylia chce oddać cnotę tylko rycerzowi, jeśli w ogóle wie, czego chce.

Ale bezduszna wskazówka nie odpowiada, kieruje ją w stronę jezior.

Zadanie nr 15: pomóż Wasylii przejść przez rozlewisko.

Wasylia usiłuje przedrzeć się przez grzęzawisko. Aby jej pomóc, trzeba odnaleźć kamienie, po których przejdzie. Jeśli księżniczka źle stąpnie, czyhają na nią porońce, dużo bardziej niebezpieczne niż rodzime żmije, które umie upolować z kuszy. Porońca nic nie pokona, taki zrobi wszystko, by wydobyć się z bagna i przyczepić do istoty żyjącej, wkręcić się przez stopę i dotrzeć aż do serca, powoli zabijając tkankę po tkance i uczucie po uczuciu... Mary strzela do żmij i cieszy się, gdy śliskie, połyskliwe dzieła Edyty rozsypują się w nicość. Przed porońcami nieoczekiwanie chroni Wasylię strzyga, boją się jej cienia i znikają, gdy nadlatuje. Już u kresu zadania Wasylia ma stąpnąć na twardey grunt, lecz kamień porusza się pod jej stopą. Jeśli Wasylia spadnie w odmęty... Wodny stwór żywcem ściągnięty z Piekła Boscha, otwiera dziób uzbrojony w ostre trójkątne zęby... czerwone światełko zaczyna ostrzegać. Mary może stracić wszystkie dotychczasowe zdobycze, a Wasylia życie. Mary popada w popłoch, ale po prawej stronie krajobrazu pojawia się ikonka z pomocą. Rycerz odpoczywa

oparty o skałę. Wystarczy, by dowiedział się o zagrożeniu, by zobaczyć Wasylię, którą przysłania gęsta, potężna wierzba. Mary nie waha się, wie teraz, po co warto było zabrać ze sobą bobry, uwalnia je teraz z klatki, te błyskawicznie ścinają drzewo i rycerzowi odsłania się widok ukochanej w niebezpieczeństwie. Jedną strzałą, kierowaną przez Mary, trafia wodnego stwora, celnie, więc otrzymuje nagrodę. Wasylia płynnym skokiem dosięga brzegu i znajduje się w ramionach rycerza. Zespalają się w piękny posąg zakochanej pary. Etap kończy się pocałunkiem. Zadanie ukończone. Mary w nagrodę dostaje następnego archeologa, odczarowanego z wierzby. Razem z ukrytym w stogu, ma już na tratwie czterech... Triumfalny snop zielonego światła kończy ten etap gry.

Kacper pierwszy zaczął bić brawo. Zespół wpatrzony w ekran odetchnął z ulgą. Przeszli razem test kilku kolejnych lokacji, wszystko gra.

– I tutaj właśnie – sapnął Marcin – gdybyście mi pozwolili, włożylibyśmy taką seks scenę, że wszyscy gracze świata jęknęliby z rozkoszy. Popatrzyliby tylko na to, jak rycerz pieści się z Wasylią, mieszają się kultury Wschodu i Zachodu, moglibyśmy rzucić zieloną spódnicę Wasylii, ona błyska tym, co tam ma...

– A ona ma w ogóle jakieś majtki? – zapytała Gosia. – Wtedy nosiły?

– Gieźła tylko nosiły – wtrąciła się Pola lub Justyna – takie lniane koszule, żadnej bielizny.

– Bosko! – zachwycił się Marcin. – No to widzimy skarb Wasylii bez majtek.

– Przestań, Marcin, przestańcie. – Edyta zatrzymała dywagacje o majtkach. – Jakiś napalony jesteś przez to odosobnienie czy co? Jest dobrze, pocałunek wystarczy. A ja muszę poprawić bobra, jeden nie ma ucha.

– Nie ma ucha? Który?

– Nie zauważyliście – uśmiechnęła się z wyższością – ten z żółtą łata. Nie wiem, gdzie zgubiłam ucho.

– Pokażcie to jeszcze raz!

– O nie! – Jęk przebiegł przez cały zespół solidarnie. Gosia, która kierowała grą, zamknęła szybko wszystko: pliki, program, komputer. Marcin objął Bertę ramieniem.

– Ale fajnie uratowałem Wasylię, co? Przyznaj. Jeszcze nieraz wyciągnę cię z wody, z płomieni i szponów potwora.

Odsunął się nagle, poszukał wzrokiem Kacpra i pstryknął głośno palcami.

– Należy nam się dziś bardziej zakrapiana kolacja, szefie! Kacper kiwnął głową. – Jestem przygotowany – powiedział. – Gonia chłodzi walory w lodówce. I ciepły catering już przyjechał.

Zwykle jadali w sali socjalnej, specjalnie ku temu przeznaczonych: stoliki, krzesła, lodówka i czajniki. Ale tym razem nie chcieli szukać cywilizacji. Zsunęli swoje materace, urządzili ucztę na podłodze, Gosia musiała przynieść jadło i napoje, w czym gorliwie pomagał jej Guccio.

– Rzymska uczta prawie – westchnął Marcin, kładąc głowę na kolanach Berty. Nie miała sił go spychać, zresztą zrobił to wyłącznie ze względów koleżeńskich. Jakie czarne miał włosy. W oczach krążyły jej ciągle skrzydła strzygi.

– Jestem zmęczona – szepnęła, opierając się o ścianę – zmęczona jak moja strzyga i jej skrzydła, jak twoje pióra – pociągnęła Marcina za kosmyk. – I jak ona nie wiem, czego szukam. A ty, Marcin?

– W tym cała przyjemność – odpowiedział – i w życiu, i w grze... Kto z was wie, czego tak naprawdę szuka?

– Filozof – wtrąciła się Edyta. – Szefie, za te skrzydełka w sosie barbecue wybaczę ci wszystko... są niebiańskie. Pewnie przez nie myślisz o skrzydłach, Berta.

– Może, może. – Berta nie bardzo mogła jeść. Nie umiała tu spokojnie spać, myśleć o czymkolwiek poza grą. Marcin podał jej kieliszek zimnej wódki, wznosił toast – za rycerza oczywiście. I za tych, co lubią gry.

– Właściwie czemu? – zapytała cicho Berta. – Jak myślicie, właściwie czemu ludzie lubią gry?

– Ja to je lubię za to. – Marcin zgrabnie przewrócił się na bok, oparł na ramieniu, tym samym uwolnił Bertę. – Ja to je lubię za to, że jestem w nich bogiem, mogę kierować losem takiej Wasylii. – Mrugnął okiem do Gosi. – Gdybym mógł, dodałbym tam mord, gwałt i przemoc.

– Czemu? – zachichotała młoda graficzka, której imienia nie mogli zapamiętać. Pola lub Justyna.

– Bo taka jest natura ludzka, panienko – odpowiedział jej Wiesio. Kiedy Starsi leżeli na ziemi, on z wysokości wózka chociaż raz nad nimi górował. A gry to taka... minimalka życia. Minimalka, miniatura, jeśli chcesz.

– Ee tam. E tam. – Szef Kacper jadł z nimi i pił bardzo chętnie. – W życiu każdy ma jakiś cel, a tu co? Tylko Marcin wie, co ona znajdzie u końca drogi,

ta nasza Wasylia.

– Co: co znajdzie? Co znajdzie? Jak wszyscy: miłość i śmierć.

– No śmierć, to się zgodzę, że wszyscy, ale to drugie...

Wypili już sporo, zmęczeni do granic pracą, wszystkich więc ogarnął histeryczny śmiech. Tej nocy nie korzystali z prysznic, nie podnosili się już z ziemi. Pospali się tak, jak siedzieli. Dwie osoby tylko nie mogły spać: Wiesio, któremu doskwierał tępy ból ramion zwiastujący postęp choroby, i Berta, której nogi przygniatał pochrapujący Marcin. W ogóle bardzo źle spała w każdym miejscu poza swoim tapczanem. Brakowało jej Maćka, poczuła to pod sercem, nagłym szarpnięciem tęsknoty. Czy on też przewracał się niespokojnie kilka przecznic dalej, za Wisłą, za rondem i skrzyżowaniem ze światłami? Dochodziła druga, chyba w nocy, bo światło w biurowcu i tak było prawie takie samo – dwunasta w południe czy północ.

*

Dochodziła druga w nocy. Maciej spał, a że zasnął przy filmie, telewizor wciąż jeszcze świecił ekranem, nadając nocne programy. Być może myśli Berty przebudziły go. Przetarł oczy, chciał zgasić, ale jego uwagę przykuły sceny filmu, zdecydowanie dla dorosłych, co potwierdzało późną, nocną porę. Para na filmie sapała jak dwie lokomotywy, nagość kobiety podobała się chyba kamerzyście, bo oko kamery zdecydowanie faworyzowało jej ciało. Mężczyznę było tylko słyszeć, pojawiały się jego plecy, na chwilę, by zaraz odsłonić jej rozciągniętą na jakimś materacu postać, rozbrojoną, z rozrzuconymi rękami, nienaturalnie wzniesionymi ku górze dużymi dyniami piersi, wygolonym wąskim paskiem włosów na łonie, ginącym między udami, w trójkącie, który co chwila zasłaniała głowa partnera. Falujące rytmicznie piersi znów wypełniły ekran, ich ruch i jęki damy dowodziły, że mężczyzna skutecznie działa w intymnych rejonach aktorki porno. Maciej poczuł silne podniecenie, zrozumiał ten manewr. Mężczyznę było widać mniej, bo reżyser chciał, by widz wszedł w jego rolę, żeby wyciągał ręce do tych rozlatanych cycków i sam niemal wchodził w tę otwartą, gotową do wzięcia jak danie na talerzu kobietę.

„Jak w grze – pomyślał Maciek. Czy Berta robi takie sceny w grach?”. Podniecenie wzmoгло się jeszcze i teraz bardzo mu brakowało śpiącej obok

Berty, którą mógłby przebudzić. Kamera niedyskretnie oddaliła się, porno aktorka rozchyliła nogi, w które opadł atletyczny aktor, błyskając rytmicznie gołymi pośladkami. Maciej wbrew sobie zapragnął tej nieznannej kobiety na ekranie, chciał ją posiadać, jak ów facet. Mógł to zrobić razem z nim, ale nie chciał. Sięgnął ręką... po pilot, zgasił telewizor, postanowił mimo wszystko usnąć. „Wszystko to gra – pomyślał. Trzeba przespać grę”.

Ale wciąż jeszcze i jeszcze słyszał w głowie jęki aktorki, budziły w nim tęsknotę za pospiesznym posapywaniem Berty między pocałunkami, jej ciężkim oddechem narastającego oczekiwania, wreszcie przeciągłym westchnieniem, które lubił najbardziej, bo było wyrazem spełnienia. Męczył się w pościeli bez snu, a kiedy tylko zaświtało, poszedł biegać nad Wisłą. Kiedy wracał, spocony, ale odprężony, lżejszy o kilka smutków, usłyszał dźwięk SMS-a. Wyciągnął z kieszeni komórkę, ale rozczarował się: to nie był sygnał od Berty, lecz od matki. Miłosny, matczyny nakaz wspólnego obiadu, bezwzględny, obecność obowiązkowa. Uświadomił sobie, że jest sobota, a w soboty często jadał u matki, kiedyś, zanim zamieszkał na dobre z Bertą. O, zabrał ją kilka razy na specjalne zaproszenie i popisowe danie kulinarne mamy: mięsne gniazda z borówkami i cebulą. Uśmiechnął się na to wspomnienie pamiętnej pierwszej wizyty.

Panie jego życia niezbyt się polubiły. Dwa słońca na jednym niebie to o jedno za dużo. Berta starała się być miła, ale w eleganckim, obszernym mieszkaniu pani docent z uniwersytetu ugryzła ją nagle myśl, że sama pochodzi z Krukowa, gdzie jej rodzice mają wprawdzie piętrowy dom, ale hodują bydło i kury. Myśl uporczywie nie odchodziła. Jolanta Znikomska prawdopodobnie wyczuła to doskonale, bo dopytywała Bertę o rodzinę i dzieciństwo, etapy kształcenia, niemal o wyznanie i światopogląd. Słuchając o wiejskiej szkole w Krukowie, a potem internacie w powiatowym miasteczku, o kościółku, od którego zresztą Berta daleko odeszła, kiwała ze zrozumieniem głową. Berta odczuła to jako wyraz politowania i wyższości. Zapytała o to samo, rodzina i studia. Pani Jola jakby tylko na to czekała. Miała o czym opowiadać, rodzina męża: warszawiacy od pokoleń, jej rodzina – inteligencja od zawsze, utracone majątki i tradycje powstańcze. Berta nie zauważyła lub nie chciała zauważyć, że dla matki Maćka były to rzeczy naprawdę ważne i naprawdę wzruszające wspomnienia. Odczuła wszystko jako pokaz siły. Mąż, Bogdan Znikomski, ojciec Maćka, który zmarł niestety tak młodo, zostawił żonie imponujący księgozbiór, sieć znajomości w kraju i za granicą, a także mit ideału

mężczyzny, z którym żyła kilka lat.

„Bajdy o tej jego doskonałości pewnie rekompensują jej fakt, że nie można się z nim pokłócić ani pokochać, choćby najbardziej tradycyjnie” – wyzłośliwiała się w duchu Berta, uśmiechając się współczująco nad fotografią zmarłego.

„Maciek bardzo do niego podobny” westchnęła z żalu docent Znikomska, mimo prawie pięćdziesięciu lat z warkoczem, w plisowanej spódnicy, bluzce zapiętej pod szyję, w pierścionkach na szczyptych palcach. Wciąż ładna, ale jakby z żurnalu mody lat osiemdziesiątych. Maciek nudził się potwornie. Obiad był doskonały, matka umiała ugotować, w dodatku odwieczna pani Lucia pomagała jej w kuchni, stół więc ledwie mieścił wszystkie potrawy. Ale zjadł już wszelkie nadziewaki, jak Lucia nazywa pierogi, swoje ulubione gniazda, które były fajne, bo dostawał na talerz mięsną kulę w sosie, która po przekrojeniu wyglądała zaiste jak ptasie gniazdo – w środku miała zapieczone jajo na twardo. Zjadł kulę i kluseczki, i deser także, i nawet nie wiedział, że Berta myśli sobie, iż pewnie od matki nauczył się tak doskonale gotować. Czy matka zawsze musi wyciągać te stare albumy? Zaraz sięgnie po rocznik osiemdziesiąt siedem, osiem – Maciek w rybaczkach, Maciek z tatą (łza otarta chusteczką), Maciek na koniku, Maciek z gołą pupą nad morzem. Dobrze, że nie z orzeszkiem! Jeśli wyciągnie „Maciusia z gołym orzeszkiem” na wakacjach w Augustowie, to ją zabije. Powstrzymała się jednak.

– Zanudzasz mi Bertę, mamó – powiedział i objął czule swoją dziewczynę.
– Kto chce oglądać te stare zdjęcia? Zaraz będzie pielucha Maćka...

Berta się nie nudziła, raczej szykowała się do boju. Irytowała ją ta paniusia z pomocą Lucią, zadbana, zazdrośnie zapatrzona w synka. Kot Woland, bezczel, układał się na stylowych kanapach. Kot Woland, syn Maciek, dziwne poczucie humoru czy co? Czytała niejedno na temat zaborczych mamusiek, oho, zaraz wygoni z tej zakłamanie, obnaży wszelką pruderię, stanie do krótkiego boju i zwycięży babę raz dwa.

– A pani tak żyje ciągle przeszłością? I tyle lat bez mężczyzny? – zapytała nagle, niby ze współczuciem, lecz dość bezwstydnie omiatając wzrokiem figurę pani docent. – Żadnego kochanka, tyle lat? Życie bez seksu niezdrowe dla kobiety...

Najpierw nastąpiła cisza, potem charkotanie, bo Maciek się zakrztusił kompotem, wreszcie jego matka, Jolanta, odezwała się spokojnym głosem, w którym pod łagodnością, cieniutką niteczką dźwięczał powstrzymany

śmiech, bo wcale nie była pozbawiona poczucia humoru. Berta jednak odebrała tę nutkę jako skrywany gniew i oburzenie.

– A to kochanie, moja sprawa – odpowiedziała zwyczajnie – a pytanie jest zbyt intymne. Jeśli będziemy w bliższej relacji, to może ci opowiem.

I zwyczajem kobiet dobrze wychowanych zmieniła temat. Znów interesowały ją rejony Krukowa, ciekawiło ją, że Berta ze wsi, a nie ma rodzeństwa i czy nie myśli jednak o prawdziwej sztuce, bo gry, no to wiadomo, kolejny wytwór wirtualnych czasów...

– Widzi pani coś złego w wirtualnym świecie? – zapytała Berta zaczepnie.

– Nie, och nie – odpowiedziała Jola Znikomska – tylko widzisz, sama jestem z epoki analogowej. Jestem psychologiem i zastanawiam się, jak to życie w dwóch równoległych światach wpłynie na mentalność ludzi. Jak wpływa na przykład na tych, co tworzą nowe światy, w pracy żyją w jednym, a domu w drugim..

– Oj, mammo, mammo, nie uważasz, że zawsze tak było? Baśnie, powieści i tak dalej – przytomnie wtrącił się Maciek, który nie chciał pozwolić matce na dywagacje psychologiczno-filozoficzne, tego by już nie zniósł. Żałował, że się nie polubiły, kochał matkę bardzo, ale w tym czasie wszystko: zmysły, uczucia, spojrzenia – nakierowane miał przede wszystkim na Bertę. Zabrał swoją dziewczynę czym prędzej ze szponów starej królowej. Zabawne to było, bo matce powiedział z wyrzutem, w kuchni:

– Musiałaś się tak wymądrzać? Taka pańcia z miasta, aż mi wstyd było. A to ważna dla mnie dziewczyna... – Matka puściła do niego oko znad talerzy, potargała mu czuprynę.

– Nie ma lekko – powiedziała – młode kobiety muszą powalczyć, stare matki też mają swój honor...

A na schodach Maciek powiedział do Berty z lekkim żalem:

– Ona nie jest taka zła, tylko mniej wyluzowana niż my, Bertul, nie dręcz jej, proszę. Starła się. I złamałaś jej monopol na synka...

Berta zatrzymała się przy poręczy, potargała mu czuprynę, a potem puściła do niego oko.

– Nie ma lekko – powiedziała – dojrzałe kobiety to niezłe tygrysyce, a młode muszą zaznaczyć teren. Mam cię i już cię nie oddam...

I nie bacząc na ewentualne sąsiadki pani Joli, zaczęła całować go namiętnie, na półpiętrze, całkiem głośno zapewniając, że go kocha.

Gdzie były te czasy? Jak te słowa miały się do chwili obecnej, kiedy Berta

zamknęła się w biurówcu, a on tak bardzo odczuwał samotność? Pomyślał, że pójdzie dziś do matki na ten sobotni obiad. W końcu czemu nie? Z pewnością będzie pyszny, a samemu nie chciało mu się pitrasić i ostatnio trochę głodował. Matka niewątpliwie domyśliła się tego. Westchnął jeszcze raz do miłego wspomnienia i pomyślał, że te dwie kobiety, które kochał, są takie różne... Takie różne w słowach, w zachowaniu, w wyglądzie. Ta ułożona i gładka, ta zwariowana, w ciągłym ruchu. Nawet to, że matka woli koty i hołubi tego tłuszciocha Wolanda, a Berta zawsze psy i psy. I nie przyszło mu do głowy, że mimo to – one są bardzo do siebie podobne.

*

Sobotni obiad w biurówcu był wyjątkowo niesmaczny, zebrani w kuchni Starsi narzekali na bezpłciową papę i coś w typie „daleki coleslaw”. Powyrzucali plastikowe talerzyki do kubłów i wracali do pracy. Berta jadła szarą kaszę z sosem nad klawiaturą, myśląc, że Słowianie jadali kaszę z konopi, która z pewnością była lepsza od owej brei zakupionej przez Gosię. Brei w typie wymiocin. Nie było jednak czasu na grymasy, Gośka przeprosiła, obiecała sprawdzić ofertę kantyny z parteru, a załoga w ciszy zatonała w swoich plikach. Skupiali się teraz na dopracowywaniu postaci nierealnych, rodem z mitologii i demonologii słowiańskiej, ale też z wierzeń pierwszych chrześcijan. Dwie lokacje spędzały sen z oczu Berty: tryzna, czyli pochówek, i związane z nim igrzyska. I, co naturalnie za tym idzie: Nawia – kraina zmarłych, gdzieś za wielką wodą, z pomostem, na którym należy umieścić ślad stopy ludzkiej. Takie były obrzędy Słowian, w kurhanach obok kości spalonego nieboszczyka archeolodzy zwykle znajdowali pomost ze znakiem stopy. Cóż, Nawia według wierzeń rozciągała się nad wielką wodą, jakoś trzeba się przedostać do krainy wieczności.

Tryzna wynikała stąd, że Marcin postanowił uśmiercić ojca Wasylii, księcia Wenetów, na polowaniu, w godnej walce człowieka z wilkiem. Oznaczało to następne rysunki i animacje, płonący ogromny stos, igrzyska ku czci wodza, wielkie żarcie na pożegnanie i właśnie ów pomościk do przejścia.

– Wasylia musi wrócić na uroczystość pogrzebową – zawyrokował Marcin – i cieszcie się, kobiety – dodał z satysfakcją – że księżę nasz był już wdowcem, inaczej musielibyśmy posłać z nim na stos żywą żonę...

– Barbarzyństwo – mruknęła Edyta. – Ale to, że ucztowali śmierć na wesoło, nawet mi się podoba. Te nasze ponure pogrzeby mają w sobie coś strasznego... Marcin, wilka żółtookiego machnę ci raz-dwa, ale powiedzcie mi, jak wyrysować tę kocicę...

Miała na myśli postać Kołowierszy – bogini w postaci kota, czczonej w domostwach słowiańskich, odpowiedzialnej za dobrobyt domu. Wasylia w następnym etapie gry trafia do kocicy Kołowierszy, córki Boruty, a ta wyznaczy jej następne zadanie.

– Mogłabym ci dać podpatrzony wzorzec kocura – powiedziała Berta, myśląc o Wolandzie. Nie wiedziała, że dostojny kot matki Maćka właśnie w tej chwili sadowi się na jego kolanach, a w przeciwieństwie do ekipy Starsów, rodzina Znikomskich spożywa znakomity obiad z trzech dań z przystawkami. Rodzina, bo pani docent zaprosiła kilka osób, przypominając synowi, że właśnie przypadają jej urodziny. Nikt nie śmiał zapytać które. Maciek zastanawiał się, czy matka specjalnie ściągnęła go ze względu na Gabryskę, daleką kuzynkę, która w tym roku zaczęła studia w Warszawie. Czy odwrotnie: Gabrysię, którą widywał od wielkiego dzwonu, na rodzinnych spotkaniach, sprowadziła specjalnie dla niego. Śmiał się z matczynych intryg, przez cały czas jak na złość opowiadał o Bercie, jej pracy w świecie gamedevu, wzbudzając ciekawość rodzinki, Gabryśki także. Na wieść, że zamknięci pracują w pocie czoła, pewnie aż do Wielkanocy, ciemne oczy kuzynki stały się ogromne.

– Ja bym tak nie mogła – oznajmiła Gabrysia, a Jola Znikomska westchnęła i spytała, czy Maciek jakoś komunikuje się z narzeczoną.

– Tak – odpowiedział niechętnie – codziennie wysyłamy sobie SMS. Niby nie zauważył badawczego spojrzenia matki, jej zerknięcia na kalendarz ścienny, ale zrobił jej tę przyjemność, że odprowadził Gabrysię do akademika. Była bardzo zaciekawiona zajęciami w Fitness Bazie, chciała zająć się jakimś sportem, więc zaprosił ją na próbny trening. Wracając, odsunął nieprzyjemną myśl, że dzisiaj jeszcze tego SMS-a nie było, i akurat w chwili rozgoryczenia go dostał.

Berta, myśląc o kocie, przypomniała sobie o Maćku, poszła do magazynu komórek, pilnie strzeżonego przez Kacpra, wygrzebała swój telefon i wysłała narzeczonemu zdjęcie swoich ust złożonych do pocałunku z podpisem „dobranoc”. Game Starsi o śnie w ten weekend nie myśleli wcale. Urządzili burzę mózgów, by ustalić, jak mogły wyglądać nawie, dusze nienarodzonych

dzieci, panien i kobiet w połogu, stwory, które nienawidziły ludzi. Marcin wprowadził je do gry, bo popadł w nastrój żałobny po nagłej śmierci wodza Wenetów.

– Czy Wasylia nie powinna po prostu odziedziczyć władzy? – spytała Berta.
– Coś ty nawyrabiał tej dziewczynie w życiu? Litości nad nią nie masz! Pogrzeb ojca, nakaz ślubu z niekochanym księciem, miłość do rycerza obcej wiary... i teraz te nawie. Czemu ją atakują?

– Naprawdę nie wiesz? Zazdroszczą jej życia – odpowiedział Marcin gniewnie. Dziwnie teraz wyglądał. Nie golił się od kilku dni, chodził coraz bardziej zatopiony w fabule, którą tworzył, szukał przygód, każdy przedmiot, kłamka czy kubek inspirowały świat jego gry. Nie chciał jeść, zaczął żywić się piwem i ostrymi nachosami. Teraz wpatrywał się w okno. Za matową szybą snuły się jakieś samochody, szara deszczowa przestrzeń mogła uchodzić za wielką wodę odgradzającą żywych od Nawii. Berta stanęła przy nim, też się zapatrzyła.

– Zrobię ci te małe nawie jak laleczki – powiedziała – chcesz? Wyczytałam gdzieś, że to słowo oznacza też lalki. Lalki, laleczki ze słomy i z konopi, podobne do malajskich voodoo. Nasze będą umierać pod dotknięciem strzałki, a Mary będzie musiała pochować każdą z nich, z osobnym szacunkiem i oplakaniem. Okej?

Marcin skinął głową. Wciąż patrzył w szarą przestrzeń, nieobecny wzrokiem, ale objął ramieniem Bertę.

– Zobacz – mówił monotonie – widzisz w chmurach nad wieżowcami zarys grzbietu zwierzęcia? Uszy pradawnego stwora, są po prawej... Zawsze, jak patrzyłem w niebo, moja wyobraźnia rysowała dziwaczne figury. Jeszcze jak byłem chłopakiem w szkole. Teraz też je widzę. Mam już pomysł na kształt Welesa, Berta.

– Boga o trzech głowach, boga podziemia i martwych dusz – powiedziała ponuro – mam czasem wrażenie, że te postacie wciągają cię w swoją krainę, wysysają siły. Boję się.

Marcin przycisnął ją mocniej do swojego boku. Przysunął policzek do jej twarzy.

– Ale widzisz to co ja? – Poczula od niego zapach alkoholu. Marcin drugą ręką dotknął szyby. – Berto, sami jesteśmy trochę jak bogowie, co? Tworzymy własną przestrzeń, pogardzamy tamtą, nie? A czego ty płaczesz?

Berta nie umiała odpowiedzieć. Łzy popłynęły jej nagle po twarzy, same,

wysunęła się spod ramienia Marcina, który nieco oprzytomniał i patrzył na nią zdziwiony.

– Przez tego Welesa? Przestań, przecież to fikcja. Zobaczysz, jak go wyrysuję – powiedział – a był on, powiem ci, nie tylko dyrektorem umarłaków, był też i opiekunem bydła!

– Jakże pocieszające! Powiem to rodzicom na wsi – odrzekła zła na siebie za głupie łzy. – Ty, z tobą się coś dzieje i to wpływa na mnie. Nie sądzisz, że powinniśmy jednak na chwilę stąd wyjść? Zupełnie przestałam malować obrazy, tęsknię za swoim chłopakiem.

Marcin popatrzył na nią uważnie, jakby chciał coś powiedzieć. Ale nie powiedział, pokazał tylko na kalendarz. Wielkanoc w tym roku wypadła wcześniej, na początku kwietnia.

– Już niedługo wyjdiesz, jeśli ten świat tak cię ciągnie – powiedział smutno. – Mnie nie. Nasz biurowiec jak mikrokosmos zapewnia mi wszystko. Prawie wszystko. Mógłbym nigdy stąd nie wychodzić i miałbym wszystko. Mogłabyś zostać tutejszą boginką, nie chcesz?

– Ale... Wielkanoc? Masz gdzie spędzić, jak wyjdiesz? – zapytała. Brzmiało to jak: wyjdiesz na przepustkę.

– Tak, jasne, mam i wyjdę, wyjdę. Mam nawet zaplanowaną rodzinną imprezę.

– O, najpierw będziemy mieć tu własną, małą słowiańską uroczystość – wszedł mu w słowo Kacper, który wyrósł nagle obok nich. Dwudziesty trzeci marca! Równonoc, moi Weneci, powitanie życia, wiosny, pożegnanie zimy. Którą to Marzannę podtopimy? – zażartował, patrząc z dziwnym wyrazem oczu na Marcina.

– Pewnie mnie – westchnęła Berta – jestem ze wsi, a nie umiem pływać.

– Dobrze – powiedział Kacper. Mimo że to był żart, Berta poczuła się niepewnie, znów opanował ją strach i z chęcią uciekła do świata Wasylii. Jej Wasylia nie bała się nikogo.

Wasylia idzie granią nad stromym urwiskiem, Mary Ronney śledzi pilnie jej trasę, bo na skałach może skrywać się wykuty zarys kolejnego zaginionego archeologa. Panorama spokojnej doliny widoczna ze skalnej ścieżki budzi tęsknotę za domem. Jest światem z baśni: chaty i stogi, płoty i drzewa, na nich gniazda, pełno tu słońca

i zieleni. Na taki widok zaczyna się tęsknota: do stworzenia rodzinnego domu może zatęsknić mediewistka Mary, z nią graczka. O powrocie do swojego świata marzy grupa zaginionych, tak jak, być może, Starsi. Być może Wasylia pragnie powrotu do swojego plemienia, ale instrukcja jest nieubłagana i Mary musi wypełnić misję. Ma do zdobycia skarb największy z możliwych, bo jest nim wiedza. Nie podróżuje sama. W zależności od tego, jaką drogę wybierze Mary – czy w głąb pieczary, czy nad źródło, Wasylia napotka zakonnik lub rycerza. Wskazówka podpowiada pieczarę. Mary słucha jej, ale po chwili żałuje tego, zirytowana zmianą lokacji. Nagle zapada mrok, słychać gruchot kamieni spadających z gór i Wasylia wpada w pułapkę: kamienny blok skalny zasłania jej wyjście z pieczary. Mary ma w inwentarzu kilof, ale nie może użyć go własnymi rękami, jest za słaba. Obok skały pojawia się rycerz. On ma wystarczająco dużo siły, żeby rozwalić usypisko kilofem. Mary musi jednak najpierw ułożyć z kamiennych puzzli znaki runiczne, rozsypane po katastrofie. Udaje się jej gładko i rycerz ujmuje kilof w dłonie. Kamienny zsypanie znika, a jeden z kamieni zamienia się nieoczekiwanie w zagubionego archeologa. Zostaje jeszcze dwóch. Rycerz towarzyszy Wasylii. Schodzą ku dolinie, by razem wyruszyć do wioski. Jeśli rycerz pokona w igrzyskach księcia Wenetów, będzie mógł ubiegać się o księżniczkę. Jeśli plemię przyjmie wraz z nim nową wiarę, ocali się przed zagładą, bo od zachodu nadchodzi wielka krucjata z misją nawrócenia Wenetów... Znów rozciąga się przed nimi panorama bajkowej osady, dymy z kominów płyną równo ku niebu, pojawiają się światełka ognisk, bo w tej lokacji też zapada zmrok... Jak w Warszawie.

– Jaki to ładny świat – szepnęła Berta, zapatrzona w ostatnią lokację. Stali całą grupą przed ekranem do testów. Marcin pochylił się nad klawiaturą i przesunął strzałkę w stronę źródła.

– A gdybyś poszła tutaj – powiedział do Gosi, bo ona jak zwykle wcielała się właśnie w graczkę – musiałby ci pomóc zakonnik. Zobaczcie, jaką superanimację zrobił Gucio!

Rzeczywiście, Zakonnik akurat ćwiczył fechtunek mieczem, wykonywał wypady i wyskoki nogami w przód i tył, a potem obroty wokół tułowia. Trochę było to zabawne, a kiedy powtórzyli animację po raz dziesiąty, płakali ze śmiechu.

– Musiałyby tym mieczem przeciąć liany i gałęzie kolczastych krzewów, w które wpadła Wasylia, o tak. – Marcin prowadził strzałką miecz, gałęzie spadały, otwierając przejście. – Ładnie to z Gutkiem wymyśliliśmy, bo każde uderzenie kolczastego krzewu zamienia kolec w różę... A tu niespodzianka – w klatce z kolczastych gałęzi następny archeolog... Bingo. Został ci już tylko jeden.

– No, no, no! – Gosi podobały się te róże, zaczęła bawić się w minigierkę z układaniem bukietu.

– Znow cię uratowałem, księżniczko – szepnął Marcin wprost do ucha Berty.

– Właśnie – powiedziała gniewnie – co to za chłopski szowinizm? Czemu ciągle ktoś ją ratuje, a to rycerz, a to Zakonnik? W końcu sama umie doskonale walczyć. Życzę sobie, Marcin, żeby Wasylia stanęła do walki... albo sama wreszcie kogoś uratowała.

– Kamiennego Chłopca! – Głos żartującego Wiesia wydał im się smutniejszy niż zwykle. – Może zrobicie tam posąg Kamiennego Chłopca z moją twarzą? Kawałek po kawałku można go będzie ożywić: najpierw ręce, potem plecy, nogi? W życiu się nie da, ale przynajmniej w wirtualu... będę wam wdzięczny. – Rozcierał dłonie, wiedzieli, co to znaczy: czuł mrowienie w mięśniach, choroba dawała znak o sobie.

– Zrobię ci ozywający posąg – zgodził się Guccio. – Będzie nabierał życia pod pocałunkami księżniczki.

– Nie, ożywią go boginki od mojej Kołowierszy, młode kocice – podpowiedziała Edyta, widząc, że Berta nie ma ochoty całować Wiesia nawet jako Wasylia.

– Wprowadzimy go do wioski – dodał Marcin – hej, jeszcze zatańczy w korowodzie na powitanie wiosny.

– A w tym czasie ja poprawię siwego ptaka – westchnęła jeszcze Edyta. – No przecież jest za wielki w stosunku do głowy Wasylii, czemu nie mówicie?

– Zapatrzyliśmy się w ten baśniowy świat. – Berta pochyliła się nad klawiaturą i szybko kliknęła na słodką i spokojną wioskę. – Ależ nam to pięknie wyszło! Kto by nie chciał tam mieszkać.

– Kto by nie chciał ucztować z nimi w święto równonocy?

– Kto mówił o równonocy? – Kacper jakby przypomniał coś sobie, zniknął, po czym pojawił się w drzwiach ze skrzynką w objęciach. Wtaszczył z trudem i grzmotnął nią o stół. – W takim razie przystępujemy do równonocy. Proszę

mości Starsów, nie wiem, nie wiem, może straciliście rachubę czasu, ale ja nie. Dziś jest noc równa jutrzejszemu dniu. Dwudziesty pierwszy marca. Ogłaszam zawieszenie pracy na Jare Święto. Będziemy pić, bawić się, a może nawet przyjdzie gość.

Równonoc

Święto równonocy postanowili czcić z zapalem godnym twórców słowiańskiego świata, nawet jeśli ich świat istniał tylko w przestrzeni wirtualnej. Guccio włączył wibrującą, przenikającą mózg muzykę techno i wszystkich ogarnęło podniecenie przygotowań do imprezy innej niż wszystkie.

– Nie tak prędko, koledzy. – Edyta własną osobą zasłoniła skrzynkę z trunkami przed nadciągającym jak kataklizm szefem i Marcinem. – Musicie się przebrać, musimy przygotować strawę i napoje. Równonoc, co to właściwie znaczy? W sensie obyczajów, czy powinniśmy lać wosk, czy odstawić nagi taniec dziewczic?

– Skąd tu weźmiesz dziewczice? – zaśmiał się Liszka i natychmiast został oddelegowany do wygooglowania listy obrzędów. Graficzka Justa, której imię nareszcie udało się im zapamiętać, okazała się świetną fryzjerką, z zapalem zabrała się za układanie włosów dziewczynom. Nawet Wiesio poddał się atmosferze, nosił z kuchni szkło i talerzyki i wjeżdżał im pod nogi swoim wszędobylskim wózkiem. Jednogłośnie obrali władcą Kacpra, władca zażyczył sobie uczyty na podłodze, Berta zauważyła, że Marcin znów położył sobie swój materac blisko niej. Niby zasmucony, Liszka oznajmił:

– Po pierwsze, to moje święto i ja będę wodzirejem, czyli kapłanem, czyli Żertwą! Ha, dziewczki! Zdejmujcie przyodziewki!

– Czemuż to ty? – zapytał władca Kacper.

– Bo mam na imię Jarosław...

– O! – ucieszyła się Gosia. – Rzeczywiście, czytałam w twoich papierach, mam to w kadrach! Ale potem zapomniałam. Liszka to Liszka. Że też każdy ma jakieś swoje tajemnice...

– Po drugie, powinniśmy zacząć od niewyobrażalnego hałasu: trąbek, grzechotek i walenia w bębny na odstraszenie zimy... Właściwie biurowiec o tej porze jest pusty...

– A dwunaste piętro?

– No właśnie... tyle fajnych rzeczy umiera, bo zawsze jest jakieś wyższe piętro... Ale Marzanna jest w równonoc niezbędna. Trzeba utopić lub spalić.

Na spalenie zareagują czujniki przeciwpożarowe, więc...

– Utopimy w prysznicu.

– Którą, którą? – Marcin miał znowu oczy psotnego chłopca. – Może Justynę? Chętnie ją zobaczę na golasa. Najmłodsza jest, czarnobrewa, przypomina zimę...

– Hej ty, rycerz, to nie jest Noc Kupały. Święta ci się pomyliły.

– Trzeba jeść i trzeba pić, i karmić zmarłych – orzekł Jarosław Liszka – a co zostanie, zakopać, żeby był dobry rok! W doniczkach biurowych kwiatków zakopujemy. Niech się dzieje równonoc!

Kacper pstryknął palcami, zastukał w komórkę i jak w bajce *Stoliczku, nakryj się* wjechał w drzwi gorący catering. Kacper opłacił coś szybko i dostawcy znikli, nie była to więc magia, tylko zwykłe zamówienie, ale i tak kociołki z parującymi daniami wyglądały i pachniały magicznie. Teraz Edyta pozwoliła otworzyć skrzynię trunków. Marcin wyjął podejrzane cukierki, nazwał je „landrynami z ziół” i częstował wszystkich.

– Skąd to, skąd to? Takie jadło i napoje? Tutaj? – Zdumiona Berta zwróciła się z pytaniem do Kacpra, ale odpowiedział jej Marcin.

– Mówiłem ci, księżniczko, w tym biurowcu jest wszystko, co potrzebne do życia. Na dole jest kantyna, można zamówić gorące żarcie... Jest tu monopol, patio, siłownia, kiosk, a na górze znajdziesz rajskie ogrody. Chcesz, to zabiorę cię którejs nocy na wycieczkę. Labirynt pięter, miniatura wszechświata, mówię ci, Berta, można tu żyć bez wiedzy o tym, że istnieje jakieś miasto.

– A jeśli zapragniesz podróży? Po nieznanym lądach, tak żeby zobaczyć złoto piasków pustyni lub popływać z delfinem? – zażartowała, ale Marcin był poważny.

– Spełnię i to życzenie – powiedział – za gabinetem Kacpra są ciemne pakamery. W jednej z nich urządzamy z chłopakami studio VR, czyli vijaru³. Dobre ekrany, gogle i wirtualna rzeczywistość jest tu.

– A, to dlatego znikasz czasem nocą? – Pogroziła mu palcem. – Wstałam raz do łazienki, idę między ciałami ekipy, a twój śpiwór pusty...

– Ej! Bo pomyślę, że chciałaś się do niego wślizgnąć. – Popatrzył na nią badawczo, może z lekką nadzieją, ale nawet nie wyłapała aluzji. Ciekawe, gdzie naprawdę był, czy nocne wędrówki Marcina miały coś wspólnego z tą dziwną sceną w garażu? Myślała, czy gdyby tak zapytać go o tę przygodę z pokiereszowaną gębą, gdyby przyznała się, że widziała ich wtedy z Guciem... może to miało coś wspólnego? Marcin nie dał jej dojść do słowa.

– Może byłem u Kacpra, może gdzie indziej. Ale nie opuszczam biurowca – rzucił szybko. – Studio vijaru mamy prawie gotowe. To niesamowite uczucie, siadasz sobie, księżniczko, na miękkim fotelu, nakładasz specjalne gogle i... podróżujesz. Możesz fruwać. Możesz strzelać. Możesz otwierać zamknięte drzwi. Jesteś w przestrzeni wirtualnej. Pustynia, zamek, nawet jazda w kosmosie, wszystko w zasięgu myszy, Berto, tam dopiero jesteś w innym świecie, immersja absolutna. Spróbuj kiedyś!

Roześmiała się niepewna, ale zrezygnowała z pytań. Jaro Liszka pociągnął ją do tańca, bo w sali konferencyjnej rządziły teraz latynoamerykańskie rytmy. Poddała się muzyce, nagie stopy płąsały po szarej wykładzinie, ręce uniosła ku górze, w białej tunice wyglądała jak rzeczywista panna słowiańska. Przyłączyła się do niej Justyna, pomiędzy nie wplątał się Marcin. Okazało się, że z dwoma partnerkami tańczy równie profesjonalnie, jak z jedną. Gosia podążała ku tancerzom dziwnym krokiem w rytmie murzyńskim, wymachując wymyśloną maczugą, za nią szczupłutka Pola w okularach, tłukąc w równie wymyślone bębny. Edyta z Wiesiem klaskali, Berta wirowała, zapanowała magia równonocy i właśnie taki obrazek zastał Misza Boryłow, gdy zawitał do tętniącego nocnym życiem biura Game Starsów. Przyciągnęła go tutaj dziwna tęsknota, pragnienie, by nie spędzać samotnie tej zimowiosennej nocy równej dniu. Stał w drzwiach zauroczony.

Pierwszy dostrzegł go Kacper. Ruszył ku niemu z kielichem szampana, cały czas tanecznym krokiem. Misza w progu sali wpatrywał się w tańczące figury kobiet, w ich cienie powiększone światłem na ścianach, uśmiechał się i chętnie przyjął kieliszek, chociaż trunek należało raczej nazwać musującym sikaczem, nie szampanem choćby niższej klasy. Przyszedł tu wbrew sobie, wiedziony instynktem, ale wiedział, że to niebezpieczne i ryzykowne, że nie powinien przychodzić. Spotkał wzrok roztańczonej Berty, jej zapraszający do tańca gest. Było więc bardziej niż niebezpiecznie. Odmówił.

– Na czym polega ryzyko? – kokieteryjnie zapytała zadyszana Berta, która zjawiała się obok. Taniec zmęczył ją nagle i zapragnęła napić się czegoś zimnego, jeśli nawet nie znakomitego. Widziała Miszę: stał oparty o okienną framugę i obserwował ją w tańcu, była pewna, że ją, a nie pełną energii Justynę i nie Gosię imitującą taniec brzucha wokół ogniska. Patrzył na nią, ale nie przyszedł, drań, kiedy go wołała. Więc ona, zmęczona, spragniona, podeszła do niego pod okno. Zapytała, czemu nie przyszedł potańczyć, odpowiedział, że to ryzykowne.

– Jakież ryzyko może tkwić w tańcu, Michaiłe Aleksandrowiczu? – Patrzyła zmrużonymi oczami znad zimnego, musującego niby-szampana. Nie przyniósł go jej specjalnie, jak jakiś dżentelmen z filmu, po prostu zobaczył zachłanny wzrok Berty i odruchowo podał jej swój kieliszek. Miała ochotę wypić duszkiem, ale ledwie umoczyła usta, zostawiając ślad szminki na krawędzi szkła. To też zauważył.

– Przecież ma pani zajęte serce, Berto – uśmiechnął się do niej – a ja już raz z panią tańczyłem... i nie chcę narażać swojego.

– A ta dama od kwiatów? – zapytała Berta, popijając powoli. – Na pewno jest ode mnie piękniejsza, elegantsza, wychowana i w ogóle... – Poprawiała niby żartem włosy, poszczypała policzki. „To tylko taka zgrywka – usprawiedliwiała się w duchu, jakby mówiła do Maćka – przecież z nim nie flirtuję... nie będę go kokietować, no nie, ale taka sobie lekka rozmowa... to przecież nic. Balsam dla odizolowanych od świata. Było nie było, Misza Boryłow jest tu najciekawszym facetem, może to przez wiek... mogę chyba porozmawiać sobie z ciekawym facetem, tak czy nie?”.

– Na pewno jest elegantsza i piękniejsza – powtórzyła głośno w oczekiwaniu na zaprzeczenie. Ale Misza potwierdził.

– Tak – powiedział, co oburzyło ją dogłębnie, bo w takiej sytuacji nikt nie chce szczerości – jest piękniejsza. Lena Swietłowa z naszej ambasady, kobieta, która dostała te kwiaty, to rasowa rosyjska dama. Piękna jak z francuskowo żurnala.

– Cóż więc z ryzykiem? – powiedziała kpiąco, dotknięta, zła na siebie o zazdrość w duszy. Pieprzona Swietłowa, ciekawe, jak wygląda. Wyobraziła sobie Natalię Portman w *Czarnym Łabędziu*. No jeśli... Ale jaki facet tak mówi?

– Berto – powiedział Misza, lekko rozbawiony, bo czytał jej myśli – jest na świecie wiele kobiet piękniejszych od ciebie... i pewnie jeszcze więcej brzydszych. Nie o to przecież chodzi między mężczyzną a kobietą.

– A o co? – Tupnęła nogą, przysunęła się, poczuł jej słodkawe perfumy pomieszane z potem. – Czy kobieta dla swojego mężczyzny nie jest najpiękniejsza na świecie?

– Oczywiście, że nie! – Misza śmiał się głośno. – Nie, proszę, nie mów, że tak dziecinnie myślisz.

Oburzenie odebrało jej głos. Była teraz gotowa uderzyć Boryłowa. Zapomniała o Maćku, o wszystkim zapomniała, jakże zapragnęła pokazać temu

facetowi, że to ona jest najpiękniejszą kobietą na Ziemi. W realu i wirtualu. Uniosła brodę, zagniewana, złość połyskiwała w pociemniałych oczach. Przestał się śmiać, nie chciał jej dokuczyć. Ujął jej rękę i pocałował. Grzeczny gest.

– Przepraszam cię, Berto – powiedział cicho – nie chciałem urazić. Lena Swietłowa ma urok łabędzia i białą skórę. Zna cztery języki prócz ojczystego, uczono ją sztuki poruszania się, konwersacji i dyplomacji. Jest bardzo piękna i pewnie się z nią wkrótce ożenię. Ale...

– Ale? – podchwyciła Berta. Co on mówił! Jeśli chciał ją sobą zainteresować, żadna przemyślana strategia nie byłaby lepsza od tego, co mówił. Był tutaj, niby na wyciągnięcie ręki, a zarazem stawał się nieosiągalny. Składał jej hołd i udawał się w stronę innej... Wojownicza część kobiecej natury Berty postanowiła zwyciężyć ten ruski ideał.

– Ale – rzekł Misza, wciąż nie puszczając ręki Berty i patrząc jej prosto w oczy – nie ma twojego uśmiechu i kocich ruchów, okrągłych linii ciała. Ty szczupła i nieduża jesteś, ale... smaczna. Wiesz doskonale, bo podkreślasz strojem, masz bardzo ładne piersi. I coś jeszcze masz, Berto: odważną duszę, siłę.

– No nareszcie – powiedziała nadal zagniewana – bo już myślałam, że chodzi tylko o seks!

– Zawsze chodzi o seks – poważnie potwierdził Misza. – W tym temacie także, kanieszna, jestem do usług. – Tu się uśmiechnął i puścił jej rękę, zwłaszcza że podeszła do nich Gosia.

– A co to za ksiutki tutaj odprawiacie? Pan dyrektor proszony do pana szefa... najlepsza asystentka świata zabiera ze sobą pana dyrektora. – Ujęła pod rękę Miszę, który posłusznie poszedł. A Gosia odwróciła się jeszcze z pytającym zmarszczeniem brwi ku Bercie. Pogroziła jej wzrokiem. Berta przybrała minę urażonej niewinności, ale miała chęć usiąść i płakać, bo nic nie rozumiała. Gdzie był teraz Marcin, jej gamedevowy adorator? Tańczył w najlepsze z Justyną, ten to najbardziej na świecie lubił tańczyć, chyba nawet nieważne z kim, z palmą w doniczce by zatańczył, i chyba był ostro nakręcony za sprawą niebiańskich landrynek. A Maciek? Nie mogła mieć żalu, że go tu nie ma, ale czemu nigdy tak do niej nie mówił? Czy kupił jej kiedykolwiek takie kwiaty jak Misza pięknej Lenie? Był Maćkiem, jedynym jej Maćkiem, kochała go, ale był beznadziejnie przewidywalny, prosty w myśleniu jak prosty może być trener joggingu, bokser, sportowiec... I zawsze osiągalny.

Berta wymknęła się z sali, musiała zostać sama, przed sobą nie mogła udawać, wiedziała, co się dzieje. Chodzi tylko o to, że zaimponował ci niezależnością. Rosyjską egzotyką. Rywalizacja, nie możesz znieść, że jakaś Lena jest od ciebie piękniejsza. A przecież facet ma rację, zawsze będzie jakaś piękniejsza kobieta na tym wielkim świecie. Musi tak być, niepotrzebnie coś nieokreślonego szarpało ją pod sercem, czuła własny przyspieszony puls. Ukryła się na półpiętrze, w fotelu za kwiatami, usiłowała uspokoić myśli i rozruszać zgrabiące nagle palce dłoni. Usłyszała kroki, nie odwracała się, wiedziała, że to Misza Boryłow, że też o niej myśli i bezbłędnie trafił za nią do ukrycia za palmami. „Pospaceruj ze mną, Berto – poprosił – porozmawiamy. O życiu i o lubwi. Tu jest patio, na moim piętrze, mała knajpka z ładną muzyką. Nawet nie wiesz, jaki to rozległy budynek”.

Poszła. Pchało ją za nim coś niezwykłego, nie podejrzewała siebie o takie niezrozumiałe uczucia, bo nie była to przecież miłość. W cichej restauracji kelner podał dwie filiżanki kawy ze spirytusem. Misza opowiadał jej o sobie, o życiu w Moskwie i w Europie. Wynikało z tego, że był starszy, niż myślała. Nie wiązały ich żadne wspólne zainteresowania – on był fanem teatru i opery, Berta nie miała zielonego pojęcia o operze. Nie znał jej gier ani ulubionych komiksów, ona nie czytywała klasyki rosyjskiej. Doskonale znał się na giełdzie, akcjach i światowych trendach na rynku złotem, które były jej obojętne, ale... Berta mogła go słuchać i słuchać. Opowiadała też o sobie, o Krukowie, rodzicach, ulubionych baśniach i koszmarnych snach, jakie ją nawiedzają, lękach, jakie czasem ją opanowują, i że niekiedy nie rozumie siebie i swoich decyzji. Wtedy słuchał uważnie. Zaciekawili go jej prace, dopytywał o styl i inspiracje, rzekł nawet zamyślony, że chciałby je zobaczyć.

– Nikt ich nie rozumie – zwierzyła mu się wtedy. – Są naprawdę dalekie od klasyki.

– Jak wszystko teraz – odparł, dodał też, że on akurat jest wielbicielem klasyki w sztuce, rzetelnego realizmu, który wymagał od starych mistrzów prawdziwego kunsztu. Zmarszczyła na to nos. Nie łączyło ich kompletnie nic, poza sympatią do kultury japońskiej i kuchni azjatyckiej. Nic poza tym, że podobali się sobie fizycznie i co do tego nie było wątpliwości. Misza mówił i słuchał, patrzył na wrażliwe usta Berty, kiedy mówiła. Jej wzrok zatrzymywał się na ramionach Miszy Boryłowa, lubiła taki kształt ramion, on lubił taką linię ust. Mijała noc, w końcu musieli wstać i udać się w kierunku w windy.

– Na szczęście ty masz identyfikator na cały budynek – zażartowała. Misza zatrzymał się.

– Posłuchaj, Berto – powiedział – na tym etażu, kilka drzwi dalej, tam jest moje mieszkanie. Numer dwadzieścia trzy. Pójdziemy?

– Nie mogę – powiedziała z uporem. – Nie mogę. Pocałuj mnie teraz, tylko raz, na pożegnanie.

Wspięła się na palce. Misza objął ją mocno, pocałował miękko, potem drugi raz, całował przez dłuższą chwilę, łączył się z nią smakiem ust, czuł pieśczośliwe ręce Berty na swoim karku i włosach. Sam trzymał ją tylko mocno w ramionach i chwilę przytulał do siebie. Zajechała winda. Berta wysunęła się z jego rąk, podniosła dłoń.

– Na pewno? – spytał jeszcze raz. Miał w oczach coś takiego, że zapragnęła z nim zostać. I może by poszła do mieszkania dwadzieścia trzy na dwunastym piętrze, gdyby nie to, że za oknami szklanego biurowca rósł i jaśniał na różowo wschód słońca, taki sam, jaki widziała ostatnio ze swojego okna w sypialni. Cofnęła się w głąb windy i przecząco pokręciła głową.

– Na pewno – odpowiedziała. – Żegnaj, Misza, dyrektorze, do widzenia.

Zamknęły się drzwi windy, Misza pozostał na swoim piętrze. Podeszedł do okna, oparł czoło o zimną szybę, przeklął w ojczystym języku i uderzył pięścią w srebrny parapet. „Praszczaj” – powiedział. Berta w tym czasie myślała gorączkowo, że to przecież tylko pocałunek, o coś takiego nie mógłby mieć pretensji żaden narzeczony, właśnie dlatego, że na pożegnanie. Była bohaterką, miss wierności i za takie poświęcenie można wiele wybaczyć, może nawet coś więcej niż pocałunek. A jednak, pochylona nad swoim biurkiem nie mogła rysować. Nie mogła też spać ani zrozumieć tego, co się w niej działo. Zastanawiała się, czy nie zmienić zdania, czy nie pobiec na to dwunaste piętro. Nie uczyniła tego z dwóch przyczyn. Pierwsza: uznała, że to nie honor. I druga, być może istotniejsza: nie miała identyfikatora zaprogramowanego na dwunaste.

Pomieszanie światów

Następny dzień po równonocy jest już odrobinę dłuższy, zapowiada zwycięstwo wiosny nad zimą, życia nad śmiercią. Trudno to jednak zauważyć, jeśli z okien biura widać tylko szary świat miasta. Berta otworzyła nawet to okno, ale do pomieszczenia wpadł mroźny oddech odchodzącej zimy. I ona oparła czoło o szybę, pomyślała, że taki nastrój musi zagęszczać się w duszach samobójców, właśnie w takie dni jak ten, szare, z zamarzającym deszczem, samotne. Berta bowiem poczuła się bardzo samotna, przepełniona tęsknotą, poczuciem winy i nie o pocałunek z Miszą, i nie o Maćka w tym chodziło. O co więc? Nie wiedziała. Poszła do sali snu, jak nazywali drugą konferencyjną, wysłaną materacami, nie chciała być sama. Popatrzyła na śpiących kolegów, zrozumiała nagle, że nie tylko ona wędrowała w nocy po budynku. Materace Marcina i Gucia były puste. Czyżby pospali się w gabinecie Kacpra? Tam jednak także ich nie było, a szef chrapał w fotelu. Ze swojej kanciapy wyłaniał się ziewający Liszka, Gosia podnosiła ze snu obolałą głowę, kiedy skrzypnęły drzwi i cichutko, niemalże na palcach weszli członkowie nocnej ekspedycji: Marcin, Gucio, a z nimi Wiesio na wózku. Miny mieli zadowolone i tajemnicze, byli absolutnie trzeźwi, co więcej, gotowi do pracy.

– Skąd wracacie? Z jakiej nocnej wycieczki? – zapytała zdumiona Berta. – Byliście na zewnątrz?

Byłoby to złamaniem umowy, ale też precedensem. Sama myślała o tym, by powiedzieć Kacprowi, że musi wyjść. Na chwilę, na jeden dzień tylko, sprawdzić swoje życie po tamtej stronie ścian biurowca. Inaczej oszaleje, zmieni się w kogoś innego i jako ktoś inny, nie Berta, prześpi się z Miszą Boryłowem. Lepiej wyjść, na moment.

– Nic z tych rzeczy. – Wiesio wyraził oburzenie. – Nie wyszliśmy poza mury naszej fortecy, przysięgam, ale uwierz mi, tu jest wiele pięt.

– Agencję towarzyską otworzyli w podziemiach czy co? – Gosia ziewnęła. – Macie miny, jakbyście wszyscy popieprzyli trochę jakieś wyuzdane laseczki.

– Coś lepszego – mruknął Gucio. Był najmłodszy, starsi koledzy pokazywali mu życie i uczyli reguł, nawet jeśli to była tylko miniatura świata ograniczona

bramkami.

– A gdyby nawet, to co? – buntowniczo rzekł Wiesio. – Być może właśnie najwyższy czas skorzystać z takiej agencji. – Kotłowało mu się w głowie. – Zanim mi ciało stwardnieje całkiem na beton i przestanie reagować na bodźce.

Teraz, wciąż jeszcze, na niedyskretne pytanie kolegów: „a co z tym, na dole, no wiesz, stary?”, mógł odpowiedzieć: „jest akcja, jest reakcja”. Tylko akcji żadnej nie było, więc może zakup takiej usługi nie był głupim pomysłem? Czy dziwka poszłaby z nim za dobre pieniądze? Słyszał o takich rzeczach, nigdy nie miał odwagi sprawdzić sam.

Marcin podszedł do Berty. Czy widział, że wychodziła z Miszą, i będzie chciał jej teraz dokuczyć? Nie zamierzała się przed nim tłumaczyć. Nie musiała, widział czy nie – nie wspomniał o tym. – Berto – powiedział z zapalem – następnym razem zabieram cię ze sobą na wycieczkę po tych piętrach. Przygoda w biurowcu, księżniczko, nieźle to brzmi, nie?

– Ej, rycerzu, do roboty! – Kacper przypomniał wszystkim, po co tu są. Stał na środku sali i już w pełni aktywny zarządzał: nakazał Gosi zrobić śniadanie bogate w jogurty, ogłosił naradę, pokaz kolejnego etapu gry na wieczór, a od Berty zażądał raportu z prac grafików. Podporządkowali się bez marudzenia i bez cienia buntu: Wiesio potulnie potoczył się na wózku sprawdzać działanie silnika, Edyta pomogła mu pokonać próg korytarza, Gosia ustawiła klimatyzację, Pola rysowała pilnie klucze. Gucio wtopił się w swój rycerski świat, Liszka pojedynkował się z nim, bo uznał, że animacja, której zażyczył sobie grafik, jest zbyt skomplikowana. Justyna pochyliła się nad nimi. Berta przystanąła i pytająco popatrzyła na Kacpra.

– Zaczarowałaś nas czy co? – zapytała.

– A skąd – odpowiedział Kacper z uśmiechem – po prostu tak już jest. Ktoś musi prowadzić wóz, no nie? Ja tu robię za coacha, woźnicę, nie za czarownika. Czarownikiem jest raczej Liszka, tylko on umie wprawiać w ruch elementy gry. Edyta to plemienna matka, Justyna to panna, a Wiesio to nasz ułomny element układanki. Marcin jest rycerzem, a ty?

– A ja? – Berta pomyślała chwilę. – Ja muszę stąd wyjść.

– Pragniesz ucieczki? Pragniesz więc coś odnaleźć, podążasz za czymś jak Wasylia, ale masz ten sam problem: nie wiesz, czego szukasz.

– Marcin to wie – uśmiechnęła się Berta. – Kacper, ja naprawdę muszę wyjść. Inaczej oszaleję. Wraca moja klaustrofobia, nawet rycerz mnie nie uratuje.

- Nawet Misza? – zapytał Kacper znacząco. A więc zauważył.
- Nawet on – odpowiedziała. Marcin nagle znalazł się obok nich, usłyszał lub domyślił się, o co chodzi.
- To już tylko kilka dni – powiedział, obejmując Bertę ramieniem opiekuńczo, przyjaźnie – skończymy wcześniej, dobrze idzie. Weź to. – Podał jej landrynkę. – Trochę stężonej kofeiny.
- Nie mogę już znieść zamknięcia – powiedziała ze skargą, gotowa płakać na wspomnienie pocałunku Miszy, nieznanych drzwi dwadzieścia trzy, dalekiego okna w bloku ku za Wisłą. – Muszę wyjść.
- Więc chodź – powiedział Marcin – biegniemy na łąki Wenetów, za Wasylią, ona podąży w stronę wioski, musi cofnąć się ze dwa etapy na pochówek.
- Też wymyśliłeś... – powiedziała, ale poszła za nim. Z ulgą zanurzyła się w słowiański świat. Tu panowało lato, mimo zmroku było ciepło i jasno, bo płonął na kurhanie ogromy stos księcia Budryna, ojca Wasylii. Mary miała do odnalezienia już tylko ostatniego archeologa z ekipy, ale wiadomo, z ostatnim musi być najtrudniej. Potrzebne były nowe postaci, zakręty akcji i nowe lokacje. Taka jest istota gry. Dla Starsów nie istniały wątpliwości: fabuła musi być przemyślana doskonale, w najmniejszych szczegółach. Marcin był nie byle jakim designerem, płynął teraz na skrzydłach swojej wyobraźni, wymyślił spotkanie Wasylii ze słowiańskim narzeczonym, sprowadzonym przez starszyznę, na rozległej zielonej łące.
- Szczęśliwa ta Wasylia – rzekła z westchnieniem Gosia – trzech ją kocha: rycerz, misjonarz i ten ksiązę Taghor. Starszyzna daje jej władzę. Misjonarz wiarę i sposób na ocalenie wioski. A ta smutna. I czego ona chce?
- Może wcale nie chce tej władzy? Może nie jej się należy? – tajemniczo szeptał Marcin. Popadł w twórczy amok, już widział ciąg dalszy wędrówki. – Gucio, Liszka, bierzcie się za animację: wojownicy biją w bębny, a z drugiej strony nadchodzi rycerstwo chrześcijańskie. Będzie jatka, coś dla chłopców. Potrzebujemy filmik z bitwy, trochę okrucieństwa, poharatane toporem tułowia, dymiące wątroby, dużo dymu z pochodni.
- Jakaś strzyga? Tygrysek? – zapytała usłudźnie Edyta.
- Nie, orzeł. Prawdziwy orzeł.
- Zadanie dla Mary? – Gosia chciała już dalej grać.
- Tak. Ożywi Kamiennego Chłopca.
- Jakże to uczyni? – zapytał szeptem Wiesio. – Dotykkiem?

– Zdejmie klątwę. Zobacz...

Zatopili się w tym świecie na kilka dni. Nikt im nie przeszkadzał, nie zaglądał do nich Misza, nie wychodzili nawet na inne piętra. Kamienny Chłopiec odzyskiwał władzę w członkach...

Wasylia płacze na wieść o śmierci ojca, ukryta za skałą, na polanie, na której w dzieciństwie bawiła się z innymi dziewczynkami. Plotły wianki z polnych kwiatów, tańczyły, grały w pliszki. Tutaj zawsze uciekała, by wypłakać swoje cierpienia, bo nie miała matki, by przyjść do niej i usłyszeć poradę. Teraz przygnały ją tu rozterki i potworny lęk przed przyszłością, a do tego wciąż trapiło ją pragnienie czegoś nieokreślonego, czego nie umiała nazwać. Płacze, bo pochowała ojca, to zrozumiała. Płacze też, bo poznała narzeczonego, księcia Wenetów, którego przedstawiła jej starszyzna. On ma zapewnić spokój, on ma obronić plemię przed najazdem wyznawców obcej wiary. Wasylia wątpi w to poważnie, pamięta, co ojciec mawiał, że muszą dla przetrwania przyjąć obcego boga i wybudować jego świątynie z krzyżami. Zasłyszał przecież, że ksiązę Nowogrodu tak właśnie ocalił państwo, przyjął krzyże i kościoły, a złoty posąg Peruna utopił uroczyście w jeziorze. I nic się nie stało. Nawet okrutna Olga podążyła czym prędzej do Konstantynopola i ochrzciła się... Wasylia z niechęcią wspomina księcia Taghora. Nie żeby był szpetny lub nikczemny, widać przed spotkaniem z nią zażył łaźni i przyodział bielutką koszulę, ale nie poczuła miłego drżenia w sercu na widok jego jasnej czupryny i niebieskich oczu. Wasylia woli ciemne oczy rycerza. Wasylia nie może wyobrazić sobie Taghora w łóżnicy i odczuwa ból w łonie na samą myśl o tym. Pamięta pocałunek rycerza na skalnym występie. Wspina się teraz na wysoką skałę, zwinna jak górską kozica, coraz wyżej i wyżej, coś dławi ją w gardle, tęsknota i ból, za czym? Wasylia stoi na grani, nad ogromną przepaścią, widzi dolinę i ostre zbocze gór. Zastanawia się, czy jeden nieostrożny krok nie wyzwoliłby jej na zawsze od tych rozterek i niejasności. Od dzieciństwa nie potknęła się na górskich ścieżkach, ale ta otchłań zaczyna ją wołać jak żywa istota...

Berta odsunęła się od kolegów i stanęła przy oknie. Widok z piątego piętra nie był może tak rozległy jak z górskiej grani i na pewno nie był tak barwny, może tylko mgły były podobne. Ale gdyby otworzyła to okno i stanęła boso na

wąziutkim parapecie, gdyby pochyliła się nad miastem i runęła w powietrze między szyny tramwajowe, leciałaby powoli, coraz bliżej płytek chodnika, jej rozterki i niejasny ból także może by ustały. Rozumiała Wasylię doskonale, przynajmniej w tym, że tak jak ona nie rozumiała siebie. A może to zamknięcie wywołuje takie uczucia. Otchłań wołała ją jak żywa istota... Berta wspięła się na parapet, uklękła na nim i sięgnęła ręką do klamki okna. Przesunęła ją w górę, ale czyjaś dłoń przykryła jej palce i zamknęła z powrotem okno. Poczuła, że czyjeś ramię ujmuje ją w pól i ktoś prowadzi ją w kierunku sali snu, okrywa kocem. Kiwała się sierocym ruchem, siedząc na swoim materacu, gdy ktoś pochylił się nad jej twarzą i szepnął:

– Berto, Wasylia nie rzuci się ze skały. Żertwa jest łajdakiem, ale nie kłamcą – musi przekazać księżniczce ostatnią wolę ojca, by przed zamążpójściem odnalazła szeptuchę. Ona zna tajemnicę narodzin księżniczki. Wasylia musi wyruszyć w świat, wypełnić misję, a Mary Romney odnaleźć ostatniego archeologa.

– Nie rozwiążemy tego w piątej godzinie? – zapytała Berta. Ucisk w gardle zniknął, lęk przeszedł, dziwiła się samej sobie. Marcin siedział przy niej, ale jego myśli wędrowały daleko, do nieistniejącej od półtora tysiąca lat krainy Wenetów.

– Nie – wyjaśnił, bo oczywiście on jedyny znał przyszłość Wasylii – musimy zostawić coś na „bonus game”. Wędrówka po nieznanym lądach, gdzie pałace bizantyjskie kryją niezliczone skarby... odkrycie tajemnicy, na którą jeszcze nie mam pomysłu. – Roześmiał się. – Ale podczas wędrówki zdobędą wiedzę: i Wasylia, i Mary, a ostatni archeolog się znajdzie. A Kamienny Chłopiec odzyska sprawne ciało.

– Jaka szkoda, że to nie jest prawdziwy świat – szepnął Wiesiek, który zaplątał się do sali snu.

– Prawda? – zapytał Marcin. – Przyznajcie, że mój świat jest lepszy niż ten za oknem.

– I bardzo was zaprasza do kompów! – zawołał Kacper, który lubił urządzać pobudki. Zirytowany ich powolnością krzyknął: – Czas, czas, ruchy, ruchy! To już ostatnie sekwencje gry! Nie opieprzać się, wracać do roboty. – Zestresował ich od nowa, a na chwilę zapomnieli o presji czasu, terminach, zaległościach. Kacper, pieprzony nadzorca. Traktował ich jak niewolników na plantacji bawełny. Bezczelnie pokazywał zegar: „dopiero trzecia w nocy, zdążymy do rana zamknąć rozdział!”, „ruchy, bo sięgnę po bicz”. Cha, cha,

mało śmieszne. Bicz był tylko aplikacją, która powodowała, że kiedy Kacper machał komórką, telefon wydawał dźwięki bicza. Zjawiał się ze swoim biczem zawsze w odpowiednich miejscach, zawsze wiedział, gdzie są, jakby był jasnowidzem. Berta zaczynała podejrzewać go o szósty zmysł, chociaż należał do absolutnych realistów, ateistów, wyśmiewał wszelkie metafizyczne teorie, nie wierzył w nic poza namacalną materią. W żadne religie świata ani w Boga nie wierzył, jak mawiał często: „Znam wielu bogów, architektów różnorodnych światów, stwórcy wielokrotnych istnień, wirtualu. W tym siebie”. Uśmiechał się i znikał w głębi swojego gabinetu, w goglach vijaru, we własnych, nieskończonych bytach.

*

Zadanie: Pomóż Wasylii odnaleźć drogę do szeptuchy. Graczka Mary podąża za bohaterką.

Wasylią biegnie z boczem skały, wąska ścieżka nagle kończy się nad przełęczą. Teraz Wasylią nie chce już rzucać się w przepaść, chce ją pokonać. W jaki sposób? Czy na skrzydłach ogromnego ptaka? Podobny do archaicznego pterodaktyla, tłusty praorzeł monotonicznie kiwa dziobem w monstrualnym gnieździe. Aby przeniósł ją nad urwiskiem, trzeba go stamtąd wywabić i nakarmić prosem jego pisklęta. Aby znaleźć proso, Mary musi wrócić na polanę, oszukać świstaki... Może jest szybszy sposób? Skok na lianach? Może być. Najpierw jednak minigra, w której uporządkować musi długie, splątane gałęzie drzewa. Mary Rooney nigdy nie miała problemu z układaniem puzzli. Jest. Mnóstwo lian do powiązania. Okazuje się, że aby przejść dalej, obie bohaterki muszą współpracować. Mary umie świetnie wiązać węzły, ale to Wasylią wybiera odpowiednio silne pnącza. Wychowała się wśród nich. Wasylią skacze i wdzięcznie ląduje na łące po drugiej stronie przełęczy. Tutaj, za pierścieniem zagajnika, majaczy dach chaty. Księżniczka rusza ku niemu, lecz drogę zastępuje jej wygłodzony niedźwiedź. Czy da radę unieszkodliwić go strzałą ze swojego łuku? Nie ma mowy, by zabijać pocziwego miśka. Trzeba znaleźć mięso ukryte w jamie pod skałą. Trzeba dodać do niego usypiające zioła. Kilka zgrabnych ruchów

i niedźwiedź zasypia, a na kamieniu ukazuje się runiczny znak wskazujący jej drogę. Płot i słoneczniki, furtka z kłódką, potrzebny kod... Mary znajduje go dzięki minigierce: „Wskaż identyczne sztachety płotu”. Czyż Mary nie zna tego od dziecka? Znajdź podobieństwa, znajdź różnice i... oto jest furtka.

Oglądali ukończony etap z radością, wnikliwie szukając elementów do poprawki. W końcu nastąpił finał:

Wasylia stanęła u progu pokrytej mchem chaty, dach jej nie był z czekolady, a ściany nie z piernika. Więcej można tu było znaleźć pleśni i próchna, a wysokie słoneczniki znad płotu, jak to w grze, kiwały się monotennie. W progu, w koszu przed chałupą nie wylegiwał się kot, lecz ogromna kostropata kura, żądająca ziaren. Czyli znowu zadanie dla Mary Ronney, która pomogła tu przybyć Wasylii. Mary wprawna ręką Gosi poradziła sobie szybko z uskubaniem słonecznikowych pestek, kura wyniosła się jak niepyszna, drzwi skrzypnęły i Wasylia znalazła się oko w oko z szeptuchą. Do graczy odwracała się twarz starej, siwej kobiety, pomarszczona, zdziwiona i wpatrująca się badawczo wielkimi oczami, z których jedno było błękitne, a drugie zielone. Tara! – Fajerwerki oznaczały koniec kolejnego etapu.

– Nie wiecie nawet, ile kosztowała mnie ta twarz – szepnęła Berta. Oczywiście o różnych barwach śniły się jej po nocy, nikt nie wiedział, czemu się przy nich uparła. – Koszmar. Ale dopasowywanie voice overy do postaci jest chyba jeszcze gorsze. Umrę tutaj. Odtwarzałam te kwestie w nieskończoność, by zobaczyć, czy lipsynch⁴ dobrze siedzi...

– E tam – westchnęła Edyta. – Niczym twoja szeptucha i synchronizacje w porównaniu z kokoszą. Kokosz w swoich piórach i odcieniach to jest moje mistrzostwo świata.

– Bierzemy pierwszą godzinę do testów – stwierdził z ulgą Kacper. Nie lubili tego etapu pracy, ale był konieczny. Game Stars było zbyt małym wydawnictwem, by zatrudnić testerów, sami więc musieli grać i grać, przechodzić od początku wszystkie etapy, by znaleźć błędy, bugi, jak mówili. Bugi wychodziły zawsze i przedłużały crunch. To grafika zwierząt Edyty pokazywała się zupełnie nie tam, gdzie powinna, to nagle gra zamykała się sama i nie wiadomo czemu.

– Pamiętacie ten test? – zapytał Wiesio. – „Po kliknięciu trzydzieści trzy

razy w przycisk «opcje» gra się crashuje⁵ i nie sejfuje”.

To była ich ulubiona anegdota. Komuś, kto upierdliwie klikał trzydzieści trzy razy w „opcje”, gra wyłączyła się i nie zapisała progresu rozgrywki. Absurd, szalony tester, ale zaskakujące, że wychwycił błąd. Starsi mieli swoje bugi: znaleźli trzy przesunięte głowy, kilka przedmiotów, które nie znikły po użyciu. Gra do wydawcy musi iść sprawdzona na tip-top. I wreszcie...

– Mamy to – uroczyście powiedział Kacper. – Mamy. Mamy też kwiecień i nadchodzi Wielkanoc. Uściskajcie mnie wszyscy po kolei, chociaż jestem prostym ateistą. Nie chcę was widzieć przez całe dziesięć dni. Idźcie i jaja malujcie, cokolwiek to dla was znaczy. Pozdrówcie rodziny i cieszcie się, bo potem wracamy do normalnego trybu pracy normalnych ludzi. A w duchu dodał: „Do następnego megacrunchu, który pewnie przypadnie na czerwiec. Znow zamkniemy się w biurowcu jak w bezpiecznej wieży”.

*

Nie zadzwoniła po taksówkę ani po Maćka. Otchłań miasta była prawdziwym zaproszeniem, oznaczała wolność. Chciała smakować zapach betonu po deszczu, czuć pod stopami płytki chodnika, iść pieszo do przystanku, mimo chłodu kwietniowego, jeszcze zimnego świata, jeszcze gołych drzew w parku przy Królikarni. Nie uruchomiła komórki. Nie skorzystała z windy, weszła pieszo po schodach, uświadomiła sobie powoli, jaki to dzień i godzina. Maciek powinien być w domu, powinien szykować sobie jakąś kolację, pewnie w tle grał telewizor. „A jeśli – myślała, zatrzymując się na półpiętrze – jeśli słuszne są wszelkie kiczowate fabuły romansów, które zakazują takich niespodzianek, i jeśli zastanie go z jakąś kobietą? Może i on miał jakieś pokusy, te uczestniczki treningów, na przykład, jakieś dziewczyny biegające po parku”. Jeśli jedna z nich jest teraz w jej łóżku, Berta odwróci się na pięcie i wyjdzie na zawsze. Nie, najpierw wyrzuci przez okno jej ubranie, a na niego wyleje pomyje. Skąd weźmie pomyje, było mniej istotne, wracała właśnie ze świata, gdzie wszystko, co potrzebne, można było narysować i zdobyć sprytem gracza. Podeszła do drzwi. Przekręciła klucz w zamku. Weszła. W korytarzu stał Maciej, odwrócony ku drzwiom, z zaskoczeniem w oczach i niemal otwartą gębą. Prócz niego tylko Berta miała klucz, ale nie wierzył w ten dźwięk. Stała przed nim, blada, potargana, prosto z innej przestrzeni. Nie

zauważyła, że naczynia wysypują się ze zlewu, jej obrazek z niby-słońcem przekrzywił się na ścianie, a odkurzacz zdechł z nieróbstwa. Zauważyła za to, że jest sam, zarośnięty, znieruchomiały jak ich Kamienny Chłopiec, patrzy na nią i w oczach pojawia się szalona radość. Podeszła i zarzuciła mu ręce na szyję.

Kołysał ją przez chwilę w objęciach, całował czubek głowy, chciał ukryć dziecinne jego zdaniem wzruszenie, które rozlało się po klatce piersiowej i po brzuchu. Pomógł jej zdjąć płaszcz i buty. Berta poczuła spokój i ulgę, zapach domu. Chciała tu wrócić, pocałowała go z czułością i spokojem. Maciek nie powiedział ani słowa, oglądał wnętrza jej dłoni, jakby po liniach papilarnych sprawdzał jej tożsamość.

– Jestem – powiedziała za to Berta. – Jestem zmęczona, jestem głodna i jestem brudna... – Maćku, nie wiem, czy jestem Bertą, czy Wasylią. Stęskniłam się za domem. Chcę jeść i spać, chcę wrócić do moich prac, chcę ciebie. I wannę gorącej wody poproszę.

Maciej pokiwał głową ze zrozumieniem. Poszedł do łazienki, by odkręcić kurek z gorącą wodą, zaczął parzyć herbatę, powymywał resztki smakołyków od matki z lodówki.

Nadal nie wiedział, co powiedzieć, żeby dobitnie przekazać jej, że jest szczęśliwy, że tęsknił, pilnował ich wspólnego domu, ale bez niej dom to nie dom – jak wyrazić to wszystko i nie wypaść śmiesznie? Może: „Czemu nie zadzwoniłaś, zrobiłbym coś super do żarcia?” albo „Nie przewidziałbym, że będę tak tęsknił”. Gdy doszedł do wniosku, że najlepsze będzie proste zdanie: „Dobrze, że już jesteś” i udał się z nim, a także z tacą kanapek do Berty, ujrzał, że ona śpi w fotelu jak dziecko. Z rozczuleniem okrył ją kocem, zakręcił kurek wanny, wrócił i usiadł obok śpiącej.

Kochali się nad ranem, Berta pochłaniała go i przytrzymywała w ramionach, w sobie i na sobie, jakby tym chciała przypieczętować przynależność, pełnię i tęsknotę. Było jej dobrze. Rozgrzeszyła się z pocałunku z Miszą, bo był tylko i wyłącznie zamknięciem pewnej trasy, która wiodła nie wiadomo dokąd, być może właśnie na bezdroża. Był paradoksalnie pieczęcią potwierdzającą związek z tym oto mężczyzną, który poruszał się w niej z narastającą rozkoszą, może i przewidywalnym, zbyt jej uległym, ale bliskim nade wszystko. W pewnej chwili Maciek uniósł się nad nią na łokciach, włosy zasłaniały mu policzek, ale nie tę mgłę w wilgotnych oczach, którą rozpozna intuicyjnie każda dziewczyna, uśmiechnął się i powiedział: „Kocham cię

bardzo, Berto, bardzo kocham”. Objęła go jeszcze mocniej, pewna, że dokonała słusznego wyboru.

Wielkanoc

– Już czwartek, Wielkanoc w ten weekend, co robimy? – zapytała Berta, wylegając się w pościeli, bezwstydnie goła, głaszcząc się po obrzmiałych od pocałunków piersiach, dopieszczona i szczęśliwa. Postanowiła oddać mu w pełni władzę, niech postanowi, co zrobią z tym czasem, chociaż sama najchętniej zostałyby tu, gdzie jest – w łóżku, w ich mieszkaniu. Maciek jednak podjął karkołomną decyzję.

– Dzisiaj pójdziemy zobaczyć się z moją mamą, a jutro pojedziemy do twoich rodziców – powiedział – omówić uroczystości ślubne i na święta, co?

Berta gwałtownie obróciła się na brzuch i schowała głowę pod poduszką. Przeciągnął palcem po jej kręgosłupie, aż po białe pośladki, pulchne jak wypieczone bułki.

– Nie chcesz? – zapytał cicho. Poduszka poruszyła się przecząco.

– Nie chcesz? – zapytał z naciskiem drugi raz i uszczypnął te pośladki, wślizgując się między nie na sekundę, łaskotkami palców. Bułeczki uniosły się z zachętą i rozchyliły lekko.

Podjął wyzwanie, zanurzył palce w olejku, potem znowu w zagłębieniu między pagórkami. Pieszczota została przyjęta, a poduszka znieruchomiała, tłumiąc pomruki zaciekawionej Berty.

– Więc nie chcesz? – zapytał trzeci raz, dobitnie, i nagle zabrał rękę z ciepłego zagłębienia. Odsunął się z udawaną obrazą. Znow odwróciła się gwałtownie, roześmiana, otwarta na wszelkie jego propozycje.

– Kto mówi, że nie chcę – szepnęła, ciągnąc go na siebie. – Chcę, chcę, natychmiast chcę.

*

Wieczorem, w znakomitych humorach, odwiedzili Jolanę Znikomską. Nawet nie ubolewała tak bardzo nad faktem, że syn spędzi święta z Bertą, w jej rodzinnym Krukowie. Bercie wydało się to zastanawiające, lecz Maciek stwierdził, że reakcje kobiet są dla niego mroczną tajemnicą, tak w przypadku

matki, jak i narzeczonej. Bo czemu teraz nagle Berta stała się słodka, uległa i przyjemna, chętnie rozmawiała o ślubie, o ich przyszłym mieszkaniu, nie wspominała o swojej pracy, a nawet dość spokojnie przyjęła plan, by pojechać do jej rodziców, z poważnymi, tradycyjnymi oświadczynami? Znał przecież jej gwałtowne reakcje, upór i milczące fochy, złowrogie nastroszenie, kiedy tylko coś nie szło po jej myśli. Jeszcze niedawno nie chciała spieszyć się ze ślubem, miał nawet wrażenie, że irytowało ją planowanie uroczystości, teraz, proszę bardzo, z zapałem opowiadała jego matce, ilu i jakich gości zamierzają zaprosić i że sama będzie projektować dekoracje. Coś przestawiło się w jej głowie, zmieniła zdanie? A matka? Dotąd sceptycznie nastawiona do ślubu, powtarzająca swoje: „Za wcześnie, za wcześnie, po co ten pośpiech, za mało się poznaliście”, nagle uległa zapałowi przygotowań i doradzała Bercie w sprawie welonu. Mało tego, zapytała nagle: „A czemu właściwie nie chcecie brać ślubu w Krukowie, w twojej parafii, Berto? Zawsze tak się robiło, zgodnie z tradycją powinien być u ciebie. I pewnie taniej by wyszło, zobaczysz, twoi rodzice będą na to nalegać”. Berta roześmiała się wtedy i oznajmiła, że pani Jola nie zna jeszcze jej rodziców, i że właściwie to nie ma co mówić o parafii, bo oboje z Maćkiem nie chcą ślubu kościelnego. Tylko cywilny, już zamówiony w Warszawie. Jolanta Znikomska zareagowała nadzwyczaj spokojnie, chociaż Maciek spodziewał się burzy w tej sprawie. Matka była praktykującą katoliczką, zgodnie z odwieczną tradycją rodzinną, on sam zawsze wyobrażał sobie ślub kościelny i nie było do końca prawdą, że podjęli wspólną decyzję. Ukrył rozczarowanie, ostatecznie, pomyślał, kiedyś do tego dojrzeją, będzie jeszcze na to czas. Niemniej jego odczucia były niczym wobec tego, czego oczekiwał po matce. Że co najmniej zemdleje, tymczasem uśmiechnęła się smutno. Być może przeszło jej przez myśl, że taki ślub się nie liczy, łatwiej będzie ich rozwieść, więc nie protestowała. Powiedziała tylko: „róbcie, jak chcecie, ja wszędzie dojadę, a oto pieniądze na obrączki, tak, tak, Maciek, powinny być od matki pana młodego i niechże będą naprawdę proste i piękne”. Odebrało mu mowę. A potem Berta, która ucałowała przyszłą teściową w upudrowane, gładkie policzki, debatowała z nią godzinę, czy nie będzie to nietakt albo i zła wróżba, jeśli włoży do ślubu zieloną sukienkę, bo przecież to cywilny, a jej do twarzy w zieleni. Jola Znikomska nie mrugnęła okiem, powtórzyła swoje: „Rób, jak chcesz, to twój ślub. – Odradzała jednak, bo tylko raz w życiu biel ma takie właśnie znaczenie w kobiecym stroju. Poleciała też krawcową i indywidualny krój sukni. – Ale

wiesz co – dodała – jeśli potrzebujesz zieleni, zrób sobie zielone dodatki. To będzie nawet ciekawe”. Berta uściskała ją nieoczekiwanie jeszcze raz, a potem przez całą drogę powrotną paplała o tych dodatkach, aż ludzie w autobusie oglądali się zgorzeleni, bo szturchała Maćka łokciem w bok i opowiadała, że sprawi sobie zieloną sexy bieliznę, a do ślubu włoży nawet gorset, co tam sam biustonosz. Nudziły go opowieści o ciuchach, ale słuchał z radością, bo wydawało mu się, że w tym planowaniu, gadaniu i żartach jest szczęśliwa. A jednak nie tknęła pędzla ani swoich ołówków mimo zapewnień, jak to tęskniła za malowaniem. Budziła się w nocy, delikatnie odsuwała od siebie ręce Maćka, siadała na parapecie i posępnie patrzyła na rozświetlone neonami miasto za oknem.

*

Wpatrywała się także w szare wciąż krajobrazy za oknem pociągu. Miasteczka mijane na trasie do Białegostoku pojawiały się nagle, wyłaniały z mgły zarysem kilku dachów i za sprawą czarnych napisów na wąskich peronach oznajmiały, że oto Małkinia, Czyżew i tak dalej. Pociąg zatrzymywał się na chwilę i uciekał z zamazanych w deszczu, jakby nieco uspiionych miejsc. Znała te stacje od lat, pamiętała dobrze ich kolejność, do niedawna ruch w tę stronę oznaczał przybliżanie się do domu. Teraz już nie, teraz osiedliła się w Warszawie i tam był jej dom, gdzie jej Maciek, który w pociągu zwykle drzemał. Berta pomyślała, że mogłaby powstać taka gra, w której pociąg pokonuje kolejne stacje, ale wędrówka z miasta do miasta tak naprawdę jest wędrówką z jednego etapu rozgrywki do drugiego i w każdym trzeba coś zdobyć. Jak w życiu. Musi powiedzieć o tym pomyśle Kacprowi. Mijane wsie wydały się jej nagle nierealne, jak z baśni. Ostatnia przed ich stacją Wólka Kościelna mignęła dzwonnica kościoła. Berta obudziła Maćka, sięgnęła po kurtkę. Zamajaczył znajomy dworzec miasteczka, w którym uczęszczała do liceum plastycznego. Na dworcu przywitał ich ziąb i ojciec Berty, który jak zwykle wyjechał po nią starszawą już, granatową skodą Kalinów. Z miasteczka do wsi jechało się pół godziny, wystarczająco, by nie mieć o czym mówić, ale Maciek dopytywał o konie i plany gospodarskie, i wkrótce stanęli przed rodzinnym domem Berty. Popatrzyła na ścianę domu, tynk odpadał gdzieniegdzie, dom też się postarzał. „Nie są to ściany z piernika ani

dach z czekolady” – przypomniała sobie fragment gry. – A ja nie jestem Wasylią. – Ale widok ojca na dworcu, a matki wypatrującej ich przez okno w kuchni zawsze będzie czynił ze mnie małą dziewczynkę”. W domu pachniało obiadem. Fafik, pamiętający jej powroty ze szkoły, pies w słusznym wieku nie posiadał się z radości. Maciek słusznie przewidział, że żadne kwiaty nie przetrzymają tej podróży i lepiej kupić słodczyce i wino, wystąpił ze swoimi darami, które zostały ukryte w zakamarkach kredensu, by czekać Wielkanocy. Maciej z oświadczynami odczekał jednak tylko do kolacji. Trochę to nie tak było jak kiedyś, wyobrażała sobie Berta, że bukiet kwiatów przysłoni wruszenie na twarzy matki, a narzeczony na klęczkach wyrazi prośbę o rękę jedynej córki. Po pierwsze, rodzice trochę się tego spodziewali, po drugie, Maciej był chłopakiem z innej epoki, no i nie było kwiatów, bo nie było w Krukowie kwaciarni. Maciek po prostu w pewnej chwili wziął Bertę za rękę, wznosił toast kieliszkiem wódki i oznajmił, że postanowili się pobrać, i on przyjechał prosić państwa Kalinów o zgodę, i obiecuje Bertę kochać i opiekować się nią zawsze. Kalinowie zareagowali dokładnie tak, jak przewidywała ich córka. Ojciec krzyknął tubalnie: „Oho, ho, ho! Już czas!”, zerwał się z krzesła, uściskał córkę i poklepał Maćka po plecach. Ania Kalinowa pokiwała głową, pogłaskała Bertę po policzku, podała rękę Maćkowi i łzy wruszenia naprawdę zakręciły się jej w oczach. Pospieszyła do kuchni po gorący sernik, a Jerzy Kalina nalał jeszcze wszystkim po kielichu, mrugając do Berty, czy aby ona na pewno może pić wódkę, bo czasem pośpiech ślubny wskazany jest z innych względów. Był człowiekiem pełnym humoru i wyrozumiałości, nie miał nic przeciwko temu, by zostać dziadkiem. Ale Berta popukała się w czoło, a Maciek dumnie zapowiedział: „Wszystko przed nami, przyszły teściu, chciałoby się, ale Berta, znaczy Beatka, musi najpierw zakończyć grę”. Bertę zastanowił tylko cień smutku w oczach matki, jakby obudziło się w niej jakieś bolesne wspomnienie. Co to mogło być? Może się jej tylko zdawało? Bercie zwanej w domu Beatką, co skwapliwie i złośliwie podchwycił Maciek, wydawało się, że jej matce coś przeszkadza w pełni cieszyć się tą nowiną.

– A to się nam szykują wydatki! – Jerzy objął ramieniem żonę. – Wesele zrobimy jak potrzeba, co Aniu? Liczyliście już gości? A może chcecie nowocześnie, w małym gronie rodzinnym? No, ale i wtedy, my, rodzina Stefana, to mój brat, Maciek, musisz poznać, rodzina żony: czworo, Tomek z lasu, przyjaźnimy się od lat, zobacz, Ania, naszych najbliższych będzie

z dziećmi ze dwadzieścioro. Twoich, Maciej, pewnie drugie tyle? A wasi koledzy pewnie? Ania, gdzie my ich pomieścimy?

W głowie im nie powstało, że ślub córki może odbyć się gdzie indziej niż w jej rodzinnej parafii. A kiedy? Na zapowiedzi kiedy pojedziemy dać? A druhna? Tu Ania Kalina ożywiła się i powiedziała nagle coś, co ukłuło Bertę w samo serce.

– Beatka, a ty wiesz, że ta twoja najlepsza przyjaciółka, jeszcze z liceum, co w Supraślu nagrodę za obrazy zdobyła, Mirka, że ona w końcu została prawdziwą malarką? Skończyła akademię, była za granicą, wróciła teraz i ma ważną wystawę w Białymstoku! Musisz jechać, zobaczyć, tak się kiedyś przyjaźniłyście. Ona powinna być twoją świadkową, bo kto?

– Mirka Norkowicz? Norka? – zapytała Berta bez tchu. – Mirka jest w Białymstoku? Ma wystawę?

– Ano tak, w pałacu Branickich – potwierdziła Ania – i już dawno nie Norkowicz. Ona się teraz tak dziwnie nazywa po mężu, bo go sobie z Belgii przywiozła. Van Morenz chyba... coś takiego, widzisz świadkować może, ale druhna to powinna być panna....

– E tam, panna. – Berta popatrzyła na matkę z politowaniem. – Wśród moich koleżanek to ty już panien nie uświadczysz... Ale co ty mówisz, Nora ma wystawę. Muszę ją znaleźć, to prawda.

– A ty na tym waszym Facebooku zobacz – podpowiedział jej ojciec dumny ze swojej nowoczesności – może jest.

– Ale info o evencie znajdę w necie – rzuciła skrótem, który nie podobał się matce. Ania Kalina przed zamążpójściem była nauczycielką i trochę tęsknoty do pedagogiki w niej zostało.

– Jak ty mówisz, Beatka! – skarciła córkę. – Mów po ludzku i ładnie. To co, Mirka na świadkową, a ty, Maćku, masz tam jakiegoś brata na świadka?

– Jestem jedynakiem, pani Aniu – elegancko oznajmił Maciej Znikomski – ale mam przyjaciela, najlepszego, jak brata. Też jest za granicą, ale przyjedzie na pewno. Sławek.

Berta popatrzyła na niego zdumiona. Wspominał jej kiedyś o kolesiu, który mieszka w Irlandii, że razem się wychowywali, chodzili do szkoły, jeszcze na studiach bardzo się przyjaźnili, chociaż Maciek poszedł na AWF, a tamten na politechnikę. Ale potem ten cały Sławek wyjechał i Berta nigdy nie pytała. Więc jej Maciuś miał przyjaciela, pewnie utrzymywał z nim kontakt na Fejsie i nie pierdnął nawet słowem. Nastroszyła się, myślała o ludziach z gamedevu

na oboje świadków. W Warszawie, szybko, bez pompy, tak to miało być. Myślała, że Maciek zgodny jest z nią absolutnie, a tu proszę. Opowiadał jej rodzicom o swojej rodzinie. Że ojciec od dawna nie żyje, to wiedzieli, Maciek przemknął nad tym szybko. I zasunął następną bombkę:

– Ale mam naprawdę superchrzestnych – oznajmił, a Berta wbiła w niego zmijowy wzrok. Udał, że tego nie widzi. Co ciekawe – rodzice Berty wymienili między sobą dziwne spojrzenia. Maciek opowiadał, jakby go coś natchnęło: jego chrzestną była siostra ojca, niejaka ciocia Tenia, lekarka, a chrzestnym jej mąż, dziarski oficer marynarki polskiej, wujek Poldek, który na wesele chrześniaka także przyplynie choćby i z dalekich wysp na Pacyfku.

– Fiu! – Pacyfik zrobił wrażenie na ojcu Berty.

– Ale to ty, chłopcze, męskiego wsparcia nie miałeś? – rozżaliła się nad Maciejem pani Anna. – Tata umarł, chrzestny w świecie...

– Tak jest. – Maciej wyprostował się dumnie. – Dlatego od dziewiątego roku życia ja byłem jedynym mężczyzną w swoim domu! Można mi zaufać. – Roześmiali się wszyscy. Berta wtrąciła przebiegle: „No a moi chrzestni nie żyją, więc mamy ich z głowy”. Rodzice znów wymienili między sobą spojrzenia.

– Zawsze dwójka mniej – ciągnęła – zresztą o czym my tu mówimy. Mamo, ja nie chcę rodzinnego spędu. W ogóle myśleliśmy o kameralnej uroczystości w Warszawie, nawet zamówiliśmy tam lokal na Saskiej Kępie. Maciej, no poprzyj mnie.

Ale Maciej uśmiechnięty, pałaszujący śledzia, nie tylko jej nie popierał, ale rozłożył ręce bezradnym gestem.

– Jak to? – wspólnym głosem zapytali rodzice Berty. – Jak to w Warszawie? W Warszawie, to na zapowiedzi trzeba dać tam, gdzie Maciek mieszka, no i u nas oczywiście też. Kiedy chcecie ten ślub, czy my aby zdążymy ze wszystkim?

– We wrześniu – uprzejmie powiedział Maciek – czasu jest sporo.

Jerzy Kalina odetchnął. Jak tak to dobrze, pół roku jeszcze.

– Żadnych tam saskich lokali nie chcemy. Jutro pojedziemy do Myszanki i zobaczycie, jaki piękny wybudowali zajazd, na wesela i chrzciny, i obok hotel jest dla gości. Czuję, Ania, że to będzie dla naszej Beatki w sam raz.

– Hola! – krzyknęła Berta. – Czyj to ślub? Miało być szybko i cicho, w Warszawie, rodzice, koledzy z pracy, basta! Po co takie wydatki?

– Dziecko – spokojnie odezwała się matka – przecież my się

spodziewaliśmy, że w końcu za mąż pójdziesz. Mamy odłożone weselne pieniądze. I jak to by było przyjaciół i rodziny na ślub jedynaczki nie zaprosić?

– Może lepiej nie – odpowiedziała Berta okrutnie – bo tylko cywilny chcemy wziąć.

– Znaczy kościelny kiedy? – zapytał Jerzy.

– Nigdy – odpowiedziała mu córka. – Po co?

Grobowa cisza, która zapadła po tych słowach, zaskoczyła samą Bertę. Spodziewała się protestów, miała przygotowane argumenty, znała swoich rodziców lepiej niż matka Maćka, tak przynajmniej mniemała. „Pogadają, pogadają, a potem zrobią, jak zechcemy” – uprzedzała narzeczonego. Tymczasem oni wcale nie gadali, tylko milczeli.

– Ty niewierzący jesteś? Mimo że chrzczony? – zapytał Jerzy Kalina Maćka, bo to mu się wydało jakimś wyjaśnieniem.

– Nie, dlaczego? – odparł Maciek. – I ja jestem wierzący, i moja rodzina, chrzczeni i tak dalej. To decyzja Berty.

Oboje, i Jerzy, i Anna, jak automaty skierowali wzrok na córkę. I odetchnęli.

– Z rozumu zesłaś – obwieścił Jerzy. A Maćka zapytał jeszcze: – Tam w Warszawie w tym lokalu zadatek daliście?

– Nie – odrzekł przysły zięć beztrosko, sięgając po sałatkę – skąd. Tam są takie kolejki, że jak się odwoła, to nam jeszcze podziękują... – zaryzykował, nie patrząc na Bertę.

– No to znaczy nic nieprzesądzone – zawyrokował Jerzy i poklepał żonę po ramieniu. – Nie martw się, Ania, chyba z własnym dzieckiem dojdziemy do porozumienia. Spać teraz wszyscy, bo mi trzeba się z żoną naradzić, a wy odpocząć po podróży musicie.

Berta postanowiła nie przeciągać dyskusji, za to szykowała gorącą awanturę swojemu narzeczonemu, temu zdrajcy, lizusowi, maminsynkowi. Czemu nie powiedział jej wcześniej, że widzi to wszystko inaczej? Uświadomiła sobie jednak, resztką sprawiedliwości, że tak naprawdę nigdy nie przyszło jej do głowy zapytać go wprost. Zakładała ze stuprocentową pewnością, że Maciek myśli identycznie jak ona. Miała nagle dość ich wszystkich, kochanych i kochających. Obudziła się w niej chęć ucieczki, żal, że Norka van Morenz czy podobnie ma prawdziwą wystawę, a ona ostatnio nie może nawet zmusić się do malowania. A gdyby tak dyrektor Misza Boryłow

podjechał tutaj i był na miejscu Maćka, też by tak z nim dyskutowali? A co by zrobili, gdyby przyjechał i ją porwał? Porzuciła jednak romantyczny pomysł z porwaniem i wstała.

– To samo my, naradzimy się od nowa. Racja, czas spać. – Ale widać zaskoczeniem tego wieczoru nie było końca. Jej matka Ania wstała razem z nimi od stołu i zaprosiła Maćka do pokoiku za kuchnią. Zdążyła już przewietrzyć, przygotować mu tapczan, postawić na stole krakersy i teraz pokazywała, gdzie jest druga łazienka. Maciek nie mrugnął okiem, zakrzyknął coś o tym, jak chętnie skorzysta, i udał się po swój plecak. – Ale kosmetyki i ręczniki są u mnie w walizce – pomyślała mściwie Berta – przyjdzie koza do woza. Tymczasem złapała matkę w kuchni.

– Mamo – syknęła – mamo, co to za brednie? Przecież doskonale wiesz, że mieszkamy razem, i robisz mu oddzielną sypialnię? Co wy, ciemna masa jesteście? Jak tutejsi?

Anna Kalina popatrzyła na nią stanowczym wzrokiem. Była łagodną osobą, nadzwyczaj kochała córkę, ale potrafiła być nieustępliwa.

– Jesteśmy jak tutejsi, bo jesteśmy tutejsi, Beatko – powiedziała – i ty jesteś tutejsza. Nie wiem, czy ciemna masa. Ale musisz kilka reguł przyjąć, jeśli chcesz nadal nasza pozostać.

Berta jęknęła przeciągle, machnęła ręką i udała się do swojego panińskiego pokoju. Jeszcze stały pod ścianą sztalugi, wielka czarna teczka na prace za tapczanem. Wyciągnęła płótna i kartony, wśród nich obraz, którego nigdy nie dokończyła. *Taniec nad brzegiem* – taki miał być temat, ale nie wyszedł. Tańcząca panna rozmazała się białą farbą w krajobrazie i nie wyglądało to na zamierzony zabieg. Berta usiłowała go poprawić, lecz w końcu rzuciła w niego pędzlem, zniecierpliwiona. Zdarza się. Teraz uśmiechnęła się do swojego niedoskonałego dzieła. „Pewnie tutejsze słowiańskie Nawie poplątały mi szyki” – szepnęła zamyślona. Zaczęła się zastanawiać, co z nimi wszystkimi zrobić, z tymi realnymi ludźmi ze swojego życia. Kochała rodziców bardzo, nie zamierzała sprawiać im przykrości, ale nie chciała też ustępować. Znała ten wzrok matki, oznaczał, że uparła się naprawdę. Nagle Berta zapragnęła znaleźć się w świecie swojej gry – tam na wszystko był sposób i wszystko znajdowało w końcu rozwiązanie. Albo odmowa: „Nie mogę robić tego w ten sposób” i tyle. A Maciej, zdrajca? Kochała go, zamierzała wyjść za niego za męża, ale czemu nagle gotowy był zmieniać ich postanowienia?! Słyszała, że wyszedł z łazienki, bo rury

w ścianach domu huczały jak zawsze, kiedy ktoś korzystał z wody. Wyjrzała przez swoje okno. No dobra, pomyślała, mamy przecież stary zadaszony balkonik po czasach, kiedy mieszkała z nami babunia Beata. A Maciek w końcu jest sportowcem, powinien wspiąć się tutaj bez czekania. Chociaż raz skorzystamy z jego sprawności fizycznej inaczej niż w łóżku. Zresztą może, czemu nie? Rodzice mają czyste sumienie z sypialniami, dalej raczej nie będą wnikać, nie będą przecież zaglądać do mnie na dobranoc... zresztą mają się naradzać. Zabawni są. Jutro Wielka Sobota, gotowi nas wysłać ze święconką. Więc najpierw awantura, a potem pogodzenie w moim dziewczynskim pokoju, w którym jeszcze żadnego narzeczonego nie było.

Sięgnęła po telefon i wysłała Maćkowi SMS: „Za godzinę będą spać. Obejdź dom, znajdź balkonik i wespnij się po dachu. Drzwi otwarte”. Nawet pokrzepiła ją myśl, że to całkiem romantyczna przygoda. Jak z gry, zadanie numer cztery, znajdź wejście do pokoju Berty... Nie, jak z Szekspira, z tym że bez dramatu. Maciej wespnie się zgrabnie, ona poda mu rękę i zamkna się przed światem. I oczywiście z zupełnie nieszekspirowskim zakończeniem!

Wszystko jednak ułożyło się jeszcze inaczej...

Nie minęła godzina, może ledwie pół, gdy ktoś zapukał w drzwi pokoju Berty. Fafik śpiący w foteliku ani drgnął, wiadomo zatem, że ktoś swój. Berta owinięta żółtym szlafrocikiem, zdziwiona otworzyła i jęknęła w duchu. W progu stała jej własna matka, z podkrążonymi oczyma, z zaplecionym na noc warkoczem, także w szlafroku, tyle że brązowym.

– Chcę z tobą chwilę porozmawiać – powiedziała cicho matka – tak uradziliśmy z ojcem, bo nie wszystko wiesz, Beatko...

Berta patrzyła na nią zdumiona. „Chyba nie chce mnie uświadamiać w kwestii seksu i macierzyństwa – pomyślała. – A co będzie, jeśli za chwilę w oknie ukaże się rozradowana głowa Maćka”. Ogarnęła ją panika – nawet nie o wpadkę chodzi, tylko straci w oczach przyszłej teściowej całą ogromną sympatię, którą zdołał już zdobyć. Anna Kalina najspokojniej w świecie siadła obok Fafika.

– Poczekaj, mamó, tylko coś wyślę. – Berta zakręciła się koło komórki i ujrzała odpowiedź Maćka: „Nie przyjdę, nie mogę. Dobranoc, kochanie”. Odetchnęła z ulgą i zarazem zmarszczyła brwi. Na wszelki wypadek napisała: „Matka jest u mnie, i tak nic z tego” i zasiadła po turecku na swoim tapczaniku. Matka jej udała, że nie dostrzega ani tych min, ani SMS-ów. Poprawiała się w foteliku, a Fafik na drugim obrócił się na grzbiet. Stanowili zabawną grupę:

zaciekawiona dziewczyna, zatroskana kobieta i podróżujący we śnie, pomrukujący, łaciaty pies do góry łapami.

– No to mów! – zaczęła Berta. – Byle nie edukacja seksualna! Chyba nie chcesz mnie uświadamiać, mamó?

– Nie, oczywiście, że nie. – Ania Kalina uśmiechnęła się.

– Niech zgadnę. Chcesz mnie namówić na ślub kościelny!

Matka pokręciła przecząco głową.

– Chcę, żebyś wzięła ślub kościelny, ale na to namówi cię twój narzeczony.

– Jestem adoptowana? – krzyknęła z niepokojem Berta.

– Nie, nie, dziecko, nie! Ale rzeczywiście rzecz wiąże się z kwestią twoich urodzin. – Ania Kalina przymknęła oczy i wróciła pamięcią do jesiennego, wrześniowego dnia sprzed wielu lat. Słońce prażyło przez szyby w szpitalnej sali, poród był bardzo ciężki, Jerzy stał pod oknem, bo wówczas nie wpuszczano ojców ani na porodówkę, ani na oddział noworodków. Anna jednak nie miała sił podejść do okna, siostry położne zabrały dziecko do osuszenia i badań, a ona płakała i płakała, łzy płynęły jej po białych policzkach, a kobiety z sąsiednich łóżek kiwały ze zrozumieniem głowami, a czasem podchodziły i głaskały ją po ręku.

– Urodziłam cię osobiście, zapewniam cię, Beatko – uśmiechnęła się smutno i spojrzała w oczy córce – trochę za wcześnie, w ósmym miesiącu ciąży. Byłaś bardzo słaba, ledwie przeżyłaś – tu głos Anny zadrżał – prawdę mówiąc, lekarze nie dawali ci wielkich szans. Bardzo o ciebie walczyliśmy, sięgając po wszelkie możliwe sposoby. I o to właśnie chodzi. Wiesz, kto ci w końcu pomógł?

Berta nie wiedziała.

– Pomogła ci szeptucha Wiera zza Białegostoku. Znachorka, babka, jak wolisz, tu mówią szeptucha. Płakałaś całe dnie i noce, a ja z tobą. Nie mogłam znieść myśli, że cierpisz, coś cię boli, nie śpisz. Powiedziała nam o niej stara Walusiowa, wsiedliśmy w samochód mojego ojca, nie mieliśmy wtedy swojego, ja z płaczącym zawiniątkiem na kolanach, twój tata za kierownicą i pojechaliśmy. Szeptucha Wiera wcale nie była starą kobietą, przeciwnie, może była parę lat starsza ode mnie. Okazała się całkiem przystojną, dorodną brunetką i to, co mnie uderzyło, to bujne piersi i ładna twarz. Ja nie miałam pokarmu dla ciebie, gotowałam ci humanę. Szeptucha miała piersi pełne mleka, bo sama niedawno urodziła dziecko, synka. Miała radość w oczach i pewność siebie, bo jej synek był zdrowy i mocny i właśnie ćwiczył płucka za

kotará. Pierwsze, co zrobiła, to rozpięła bluzkę, wyjęła dorodną pierś i nakarmiła moje dziecko swoim mlekiem. Potem kołysała cię, mrużąc dziwne pieśni, a ty spałaś spokojnie po raz pierwszy od swoich narodzin. Nie mogłam uwierzyć swoim oczom. Zostałyśmy u niej tydzień, dwa, dłużej chyba... a potem gdy wróciłyśmy do domu, umiałam gotować odpowiednie zioła, śpiewać ci odpowiednią kołysankę, a i tak ojciec twój jeździł do niej po mleko. I widzisz, więc jesteś wychowana na mleku szeptuchy...

– Nigdy nie mówiliście, ty ani tata – rzekła Berta. Nie wiedziała jeszcze, co o tym sądzić, przypominała się jej tylko lokacja z gry: „Wasyliia stanęła przed domem szeptuchy”. Czy to nie dziwne? E, raczej przypadek, ale że akurat teraz w życiu też przytrafia się jej prawdziwa szeptucha...

– Nie opowiadało się takich rzeczy – matka wzruszyła ramionami – żeby nie zaszkodzić i sobie, i jej.

– To czemu nagle mówisz? Jakie to ma znaczenie? – Berta wciąż nie widziała w tym logiki.

– Beatko, zaprzyjaźniłam się wtedy w Wierą, nauczyła mnie kilku rzeczy, i w ogóle bardzo nam pomogła. I chodzi o to, że nie jest prawdą, że nie żyją twoi chrzestni rodzice, przynajmniej matka. To Wierę poprosiliśmy, by trzymała cię do chrztu, ksiądz nie robił problemu, mimo że była wyznania prawosławnego. Przyjaźniłyśmy się... potem kontakt nam się urwał, nie widziałyśmy się wiele lat, ale wiem, że nadal tam mieszka, w Wysokich Mostach na kolonii. Więc chodzi o to, że twoja chrzestna matka żyje i teraz trzeba jechać zaprosić ją na wesele.

– Czemu kłamaliście, że nie mam chrzestnych? Czemu nigdy tam nie pojechaliśmy?

– Nie było powodu – krótko odparła Anna Kalina – z pewnych względów nie chciałam. Nie wiem, miała też jakieś kłopoty z policją za to znachorstwo. Tobie łatwiej było powiedzieć, że nie żyje, zwłaszcza że twój chrzestny rzeczywiście zmarł dawno, nawet go nie pamiętasz.

– Na pewno umarł? – nieufnie zapytała Berta.

– Na pewno.

– A chociaż mój ojciec na pewno jest moim ojcem?

– Na pewno. – Matka uśmiechnęła się. – Przyjrzyj się jego i swoim oczom, jak nie wierzysz. Może faktycznie trzeba ci było powiedzieć wcześniej. – Zamyśliła się. – Wiera zawsze mówiła, że tajemnice szkodzą dziecku, a potem życiu człowieka. Nie zgadzałam się z nią. Raz w kłótni pogroziła mi jakimś

ziołem: rzucę na ciebie urok, Anuszka, z szeptuchą się kłócisz, głupia? Kopnęłam w złości balię z praniem, a ona, gwałtowniejsza ode mnie, popchnęła mnie w te mydliny, wpadłam, zagarnęłam ręką jej kieckę, wciągnęłam i ją... wylało się wszystko na podłogę, a my w tym ze śmiechem zaczęliśmy się ślizgać.. Tylko nagle dzieci się rozkrzyczały, ty i jej synek, to obie mokre pobiegłyśmy do was. Ale potem wycierałyśmy tę podłogę z mydlin i znów śmiałyśmy się do łez. Mówią, że dzieci dziedziczą cechy chrzestnych, i ty jesteś taka gwałtownica jak ona. Zazdrościła mi opanowania, ja jej wiedzy i odwagi. Bardzo się przyjaźniłyśmy, ech, tak dawno to było. No ale teraz, jak bierzesz ślub, trzeba jechać.

– Mamo – powoli powiedziała Berta – czy na pewno tego chcesz? Słuchaj, po co? Możemy to zrobić cicho, w Warszawie, jedyne co będziesz musiała, to poznać Jolę Znikomską, też z niej niezła wiedźma, mówię ci. Po co ruszać przeszłość, po co nam ślub kościelny? Przyjedziecie do nas, pójdziemy do urzędu, raz-dwa, wróćcie do domu. – Patrzyła na matkę i nagle przeczuła, że w tym wszystkim jest coś jeszcze, jakby zawiązany węzełek w gardle, jest, nieprzełknięty i nie wiadomo, co z nim zrobić. Może to tylko przecucie. Anna Kalina, jej matka, szczupła, jasnowłosa, gdyby nie siateczka zmarszczek koło oczu i ust, wyglądałaby jak dziewczyna, wzięła młode gładkie dłonie Berty w swoje ręce. Ręce Anny zdradzały jej wiek. Wąska obrączka zabłysła obok zaręczynowego pierścionka Berty. Krótko opiłowane matowe paznokcie spłotły się lśniącymi czerwienią długimi wypielęgnowanymi pazurkami młodej kobiety. Ania przytuliła ręce córki do policzka.

– Tak cię kocham, córeczko – powiedziała – i bardzo chcę wrócić do przeszłości. Chcę pojechać do Wiery. Chcę, żebyście porozmawiały, trzeba uporządkować sprawy przed ślubem. Małżeństwo to nie jest tak „raz-dwa”, jak mówisz... Widzisz, ja dobrze trafiłam z ojcem, a jednak nie do końca byłam szczęśliwa, nie ze wszystkim. Może teraz to się skończy... i tak, bardzo chcę, byście wzięli ślub jak trzeba, tutaj, w kościele. – Pogłaskała pokręcone włosy Berty, i wstała. W drzwiach obróciła się jeszcze.

– Nie będę naciskać, jeśli oboje na pewno nie chcecie, ale porozmawiaj o tym ślubie ze swoim narzeczonym – dodała – on chyba wcale nie chce tak raz-dwa. Ale ostatecznie, oczywiście, zrobisz, jak zechcesz. Dobranoc.

„Dobranoc, dobranoc, zrobisz jak zechcesz, ale...”. Zupełnie jak Jolka Znikomska. Zrób, jak chcesz, byle to było, jak ja chcę... Matki – uparte wariatki... Porozmawiaj z narzeczonym, a gdzie on jest? Śpi w oddzielnym

pokoju. – Berta sama nie mogła zasnąć i nie wiedziała, co zrobić. Chciało się jej płakać i czuła jakąś dziwną tęsknotę, potem wyrzuty sumienia, potem znów żal. Kiedy przewracała się w pościeli, zła na Maćka, że nie odbiera telefonu i nie przychodzi, jej rodzice rozmawiali cicho w swojej sypialni.

– I jak to będzie? – zapytał Jerzy.

– Chyba dobrze. – Anna oparła się o niego, przetarła oczy. – Pojedziemy do Wiery, Beatka i Maciej pogodzą się co do ślubu tutaj, zobaczysz... A dzwoniłeś do tej pani Jolanty?

– Tak – odpowiedział Jerzy – bardzo uprzejma kobieta, nie wiem, czego od niej chce nasza córka. Zawsze była taka niespokojna, powichrowana.

– Przecież wiesz czemu – szepnęła matka Berty – przecież wiesz, Jurek. Tyle lat, a zaraz będę płakać.

Jerzy objął ją mocno ramieniem i przytulił. Oboje ogarnął smutek dawnego wspomnienia.

– Nie powiedziałaś jej? – zapytał cicho.

– Nie – szepnęła Anna przez łzy – pomyślałam, że wiadomość o chrzestnej starczy jej na początek. Zresztą chcę najpierwej poznać ją z Wierą. Dopiero potem powiemy.

Szeptucha

W sobotni poranek Berta czyhała na Maćka jak kot albo terier na mysz przy dziurze. Ukryła się w kącie korytarzyka przed łazienką. Usłyszała, że wstał i bierze prysznic, w dodatku pogwizdując, jakiś zadowolony, ba, on jeden w całym domu spał tej nocy spokojnie. Chyba że policzyć Fafika. Kiedy tylko uchylił drzwi, chwyciła go za rękę i pociągnęła na taras od strony pokoiku babci.

– Czemu nie przyszedłeś? – syknęła napastliwie.

– Też miło mi cię widzieć – odpowiedział. – Nie mogłem, Berto, po prostu nie mogłem. Obiecałem twojemu ojcu uszanować obyczaje jego domu. Jakbym mógł... zdążymy jeszcze. – Zbliżył się, widząc jej smutną minę. – A co, już za mną tęsknisz? – Objął ją mocno i pocałował w szyję, pachniała mydłem, domowym tradycyjnym mydłem. – Dzień dobry – szepnął – możemy się potem wybrać na wycieczkę...

Berta chciała go odepchnąć, a choćby nadepnąć obcasem gołą stopę, fuknąć, podrapać ogolony policzek, ale jakoś zmiękła i po prostu go objęła. Dała się pocałować i szepnęła do ucha:

– Tęsknię, swędzi mnie pożądanie. Nie pytaj gdzie. A na wycieczkę to my pojedziemy, ale razem z rodzicami. Nawet nie wiesz, jakie nocne rewelacje zaliczyłam: mam chrzestną mamusię. Szeptuchę, znachorkę, która mnie leczyła i wykarmiła... nie wiadomo, co z tym mlekiem wyssałam. Ot, drobne tajemnice rodzinnego domu. Ty, Maciek... – Odsunęła się, by popatrzeć mu w oczy. – Oni naprawdę chcą tradycyjnego wesela i ślubu. Mów mi prawdę, co ty na to?

– Berto, jestem w szlafroku i goły pod spodem – bronił się Maciek – naprawdę mamy to omawiać w korytarzu, na bosaka?

– Mów mi zaraz – powtórzyła – bo wejść pod ten szlafrok i jak nas złapią na stojaka, to nigdy nie odzyskasz ich zaufania.

Maciej westchnął, poprawił włosy za uszami. Mogła to zrobić, popatrzył na nią zakochanym wzrokiem, ale było w nim coś z tęsknoty za własnym marzeniem, może chęć ustąpienia swojej matce. Zrozumiała.

– I ty, Brutusie – powiedziała poważnie, odsuwając się od niego. – Chcesz

tego teatru. No dobra.

Przy porannej kawie, bo śniadania przed święconką być w tym domu nie mogło, oznajmiła rodzicom, że przemyślała sprawę i skoro wszyscy tak chcą, a ona właściwie nie ma nic przeciwko temu, to już niech będzie. Ślub i wesele tutaj, w Krukowie na Podlasiu, zapowiedzi i tak dalej...

Ojciec przyklasnął radosny, Maciek przybił mu piątkę, a matka rzekła: „No i dzięki Bogu! Idźcie wy teraz z tą święconką, ja śniadanie szybko zrobię, bo przecież mamy jechać!”

– No, no! Wracając z Wysokich Mostów, jeszcze do Myszanki zajedziemy, do księdza, a po powrocie opijemy dobrą nowinę, znaczy waszą decyzję – oznajmił Jerzy Kalina wzruszony, bo dopiero teraz poczuł, że naprawdę wydaje córkę za mąż.

W samochodzie Kalinowie jeszcze raz opowiedzieli historię uratowania wątego życia Beatki. Maciek z kolei opowiadał o sobie, dzieciństwie na warszawskim Żoliborzu, o ojcu, którego znał tylko z opowiadań, i dość przyjemnie się im jechało wśród tych rodzinnych opowieści. Imię Maciej miał po w swoim dziadku, który walczył w powstaniu, a ten po dziadku, który zginął na Syberii, jeszcze w dziewiętnastym wieku.

– Dobre imię – powiedział Jerzy – polskie, tradycyjne, nie jakiś tam Rajmund albo Marcello... Roześmiali się wszyscy, a Berta spytała: a czemu daliście mi drugie imię Irena? Beata to wiem, po babci, ale druga przecież, twoja mama, tato, to była Hanna? Skąd ta Irena?

Zapadła cisza, dziwna jakaś, jakby imię Irena wniosło powiew chłodu do wnętrza auta.

– Moja babka miała na imię Irena – powiedziała po chwili Anna Kalina. – A i tak to imię dziś niemodne.

– A i tak – powtórzył Maciek – jesteś z tego pomieszania imion Berta.

Minęli Białystok i Supraśl, jechali coraz węższymi drogami, wśród łąk przypominających stepy. Nagle skończyły się gęste ludzkie osiedla, miast nie było żadnych, gdzieś domki pojedyncze na koloniach, potem wioski. Berta patrzyła na krajobraz oczami kreatora gry. – Takie, dokładnie takie tła zrobię w podróży Wasylii – myślała – ze świątkami przy drodze, tylko zamiast ludowych rzeźb chrześcijańskich świętych będzie trzeba rysować Peruna i Światowida. Zatrzymali się na chwilę przy kapliczce Matki Boskiej, bo prosiła o to Anna Kalina, która wyszła z auta i znikła za białymi drzwiami, a kiedy wróciła, widać było, że płakała. Jechali jednak dalej, i coraz mniej

było przydrożnych świątków, za to pojawiać się zaczęły cerkwie przy wsiach, świątynie prawosławne, które zachwyciły artystyczną duszę Berty.

– Muszę je utrwalić, zapamiętać – oznajmiła, uruchamiając aparat w komórce. – Do słowiańskiego świata nie pasują, ale może w następnej grze. Jakie to piękne budowle. Dalecy krewni Bizancjum, jest w tym tęsknota za przepychem, nie Maciek?

– Ładne – lakonicznie zgodził się Maciek.

– Tak, mają w sobie nostalgię Dalekiego Wschodu – powiedziała Anna – tak jak ich obrządek, pieśni i obyczaje. No przecież Wiera nie świętuje jeszcze Wielkanocy, dopiero za dwa tygodnie. Mają teraz post i czas oczekiwania...

– A potem „woskriesienje” o północy i pyszne żarcie – oznajmił Jerzy – nie jadłeś ty pewnie, Maciej, wschodniej baby drożdżowej, która całą noc rosła w zimnej wodzie? No! Pisaneł rozłamanych wpół nie zostawiałeś na grobach?

– Nie – Maciek miał bardziej miejskie wspomnienia – dla nas najważniejszy był dyngus na podwórku pod blokiem. Dziewczynki w białych podkolanówkach, wystrojone do kościoła, a my z ziomkami zza węgła i z wiaderkami, lu! Przyznam nieskromnie, że byłem celnym strzelcem. Raz służby porządkowe u mamusi interweniowały... ale mi przeszło – dodał szybko, widząc oburzenie w oczach Berty. Jej rodzice mieli więcej poczucia humoru, ojcu bardzo się spodobały doświadczenia Maćka, Ania śmiała się głośno.

– Kiedy byłaś malutka – powiedziała do Berty – często mieliśmy podwójne Wielkanoce. Najpierw swoje, a potem jeździliśmy do Wieri... Często tak bywa w tych stronach, dużo małżeństw mieszanych, no i ludzie się przyjaźnią. Ale takiej serowej paschy, jak robią tu na wschodzie, to nie zjecie nigdzie.

Znów na horyzoncie pojawiły się domki, wcale często jeszcze drewniane, z kolorowymi okiennicami i bielonymi ścianami. Rodzice Berty zamilkli, oddając się wspomnieniom sprzed dwudziestu pięciu lat. Maciek ścisnął rękę Berty i przytulił narzeczoną. Wjechali w ciszy do wsi, Wysokie Mosty wydawały się wyludnione, widocznie mężczyźni poszli do roboty, a kobiety gotowały kapustę i ziemniaki, tak orzekł Jerzy.

– Czemu akurat kapustę i ziemniaki? – zapytał Maciek.

– Bo w Wielkim Poście to główne danie tutaj – odpowiedziała Anna – ziemniaki, ryba, kapusta. Nawet makaron musi być bez jajek. Bardzo się tu zmieniło – dodała – więcej domów murowanych, jakoś bogaciej...

– No i gdzie mieszka ta Wiera szeptucha? – zapytała Berta.

– Za wsią, na kolonii – odrzekł ojciec. – Szło się nawet pół godziny od przystanku... a mimo to często chodziliśmy, z tobą na rękach... Ale samochodem zajedziemy szybko, będziemy za dziesięć minut.

Zajechali rzeczywiście szybko, może zbyt szybko dla Anny, która nie odzywała się ani słowem, odkąd wyjechali ze wsi. Drewniany płot, skrzypiąca brama i biały, murowany domek pod lipami. Stał w odosobnieniu. Z komina szła ku niebu strużka dymu, więc domek był zamieszkały. Berta nie tak wyobrażała sobie chatę szeptuchy, nie tak ją narysowała. Przypomniała sobie opis z gry:

Wasylia stanęła u progu pokrytej mchem chaty, dach jej nie był z czekolady, a ściany nie z piernika. Więcej można tu było znaleźć pleśni i próchna, a wysokie słoneczniki znad płota, jak to w grze, kiwały się monotennie. W progu, w koszu przed chałupą, nie wylegiwał się kot, lecz ogromna kostropata kura, żądająca ziaren...

Nie kiwały się nad płotem żadne słoneczniki, na przedwiośniu nie mogły kwitnąć, nawet jeśli tu były. Nie było żadnego kota ani kury, owszem, do bramki podbiegł pies, duży czarny kundel, ale najwyraźniej wesoły i niezbyt srogi, bo machał ogonem i dopiero zastanawiał się, czy powinien czekać. Pleśni i próchna także nie było. „Zmieniła stary eternit na dachówkę” – mruknął Jerzy Kalina. „Na zieloną dachówkę” – dodała w duchu Berta, która zawsze zwracała uwagę na kolory. Zielony dach, białe ściany, dom jak zielony grzybek. Ani śladu piernika, czekolady ani słodkiej galaretki. Weszli na podwórko i zatrzymali się zdezorientowani, grupka czterech osób z innego świata przed domkiem jak z bajki. Czarny pies zdecydował się szczeknąć. Zaskrzypiały drzwi...

Graczka widzi teraz twarz starej kobiety, poprzecinaną zmarszczkami, widzi wychudzoną postać szeptuchy... w chustce, spod której wysuwają się siwe kosmyki...

Nawet jeśli tak lub podobnie było w grze Berty, nic podobnego nie nastąpiło w rzeczywistej przestrzeni domku na kolonii. Skrzypnęły solidne drewniane drzwi i na próg domu wyszła postawna kobieta. Najpierw przyglądała się spod daszka dłoni, kogo to przywiał jej wiatr, potem znieruchomiała w zdumieniu, a potem otworzyła ramiona i zaczęła iść ku nim, z okrzykami powitania.

– Nie może być! Wszelki duch Pana Boga chwali! Anna? Anuszka, to ty jesteś? Ty, ty, niezmieniona twarz wcale, tylko trochę wiek zamalował oczy,

co?

Anuszka otwarcie płakała z wzruszenia, Wiera przeciwnie, śmiała się i jak to po latach rozłąki dawne przyjaciółki padły sobie w ramiona. Mężczyźni zmieszani wobec babskich wzruszeń przestępowali z nogi na nogę. Jerzy oglądał ciekawie obejście, Maciek głaskał psa, a Berta wnikliwie obserwowowała szeptuchę. Jaka tam wychudzona postać i poorana zmarszczkami twarz? Gdzie ta chustka uboga, gdzie siwe włosy? Kobieta ściskająca jej matkę była pełną życia, energiczną, dojrzałą kobietą. Bardzo czarne włosy, zapewne wspomagane farbą, mocne, spięte w kok, który rozsypywał się coraz bardziej przy każdym ruchu głowy, twarz jasna i okrągła, roześmiana, oczy... to jedno się zgadzało, chociaż nie do końca. Kobieta miała jakąś usterkę w oczach, tak, jedno było jaśniejsze, bardziej bursztynowe, drugie ciemniejsze, ciemnobrązowe, prawie czarne. Pasowała do niej barwna, zielonoczerwona chusta na ramionach. Pasował ciemny sweter opinający piersi, które pozostały bujne. Nie pasowały kompletnie dżinsy obciskające szerokie biodra i całkiem pokaźną pupę i nie pasowały połyskujące lakierem kozaczki. Wiera, tutejsza szeptucha, nie wyglądała bynajmniej na swoje pięćdziesiąt parę lat, pewnie też dlatego, że nie była kobietą kruchą, lecz przeciwnie: mocną, czarnowłosą, czarnobrewą, biuściastą, głośną i wesołą. Berta wpatrywała się w jej twarz i uderzył ją jeszcze jeden szczególny znak. Była to twarz ładna, o spojrzeniu podobnym do tych z ikon, mimo tej różnicy w barwie. Wiera miała piękne usta, duże, odsłaniające białe zęby, mocno zarysowane kości policzkowe. Ich symetrię psuła stara blizna, biegnąca przez prawy policzek. Nie szpeciła jej ta blizna, dodawała uroku, podobnie jak dziwne oczy.

Wiera poczuła, że jest wnikliwie obserwowana. Wciąż przytulona do Anuszki, spojrzała bystro na niespodzianych gości i wbiła wesoły wzrok w Bertę.

– Jerzego poznałam od razu – powiedziała powoli – młodego pana dopiero poznam, ale to musi być...

Zerknęła w mokre oczy Anny, na zmieszany uśmiech Jurka i podeszła do Berty.

– To musi być Beata Irina, moja dziewczynka – dokończyła i dotknęła palcami policzków Berty. Oczy jej nagle spowaźniały, przysunęła swoją twarz do czoła Berty. Pachniała majerankiem i różą. Pocałowała Bertę w czoło, mocno, ciepłym pocałunkiem, po czym splunęła na cztery strony świata, wciąż

trzymając w dłoniach twarz młodej kobiety. Wymruczała niezrozumiałe słowa i tylko Anna wiedziała, że Wiera odgoniła od swojej chrześnicy złe moce, przepędziła je na cztery strony świata.

– Szczęśliwa, kochana, ale niespokojna? – zapytała Wiera, ujmując przegub ręki Berty. – Serce łopoce się w tobie jak ptak? Nie odnalazłaś jeszcze spokoju, dziewczyno moja, ale nie z tym przyjechaliście, nie z tym...

Odsunęła się, wschodnim gestem zaprosiła do chałupy. Rękę podała najpierw Jerzemu, potem Maćkowi, przytrzymując jego dłoń. – Wybaczcie głupiej babie. Tak się wzruszyłam, że o prawach gościnności zabyłam. Ja jestem Wiera, córka Siergieja, Kraszewska, no i chrestna matka pańskiej narzeczonej, dobrze mówię?

– Bardzo dobrze – odpowiedział Maciek, chociaż pomyślał, że do tego wniosku nie potrzeba nadprzyrodzonych darów, wystarczy inteligencja.

– No pewnie, że tak – dobrotliwie odpowiedziała jego myślom szeptucha – łatwo się tego domyślić, wystarczy w twoje oczy spojrzeć... Chodźcie, chodźcie, kapusta gorąca na kuchni perkocze, chodźcie, wszystko mi opowiecie, tu zimno. Ćwierć wieku nie widziałyśmy się, Anuszka!

Kiedy Maciej zobaczył w przestronnej kuchni zmywarę, a na stole laptop, pomyślał, że to wszystko jest porządnie pomieszane, pytanie tylko, która rzeczywistość jest prawdziwsza i czy może to jego głowa nie pracuje jak trzeba. Tu, na tym dzikim wschodzie, naprawdę działały jakieś czary.

Berta cały czas się nie odzywała. Ogarniała wzrokiem wnętrze chaty, starodawny piec jak z ruskich bajek, drewnianą podłogę, szuflady ze zdobionymi zamkami, haftowane serwety, zdjęcie Wiery z młodym mężczyzną na ścianie. „Wszystko to znajdzie się w następnej lokacji – myślała. – Gdzieś trzeba będzie znaleźć klucz do szuflad, w głębi pieca ukryjemy bochen z zapieczonym listem, do chleba potrzebny będzie nóż... rety, jestem w świecie prawdziwej gry. Wiera naprawdę nalewa herbatę z samowaru...”

– Siadajcie, siadajcie – zapraszała. Czar prysnął, wyjmowała masło z lodówki, gotowała na nowoczesnej kuchence indukcyjnej, piec pozostał tu tylko dla ozdoby. – Mamy wiek dwudziesty pierwszy, nawet tutaj... Ale samowar jest prawdziwy – pocieszyła Bertę roześmiana gospodyni.

– Czy pani czyta w naszych myślach? – zapytała zaczerwieniona i spłoszona lekko Berta.

– Trochę – uśmiechnęła się szeptucha – w końcu to mój fach. Nie mów do mnie pani, dziecko. Po prostu ciociu albo Wiera, jak wszyscy tutaj. Nie muszę

czytać w myślach, by wiedzieć, co was sprowadza, ślub bierzecie czy tak?

– A tak! – powiedziała Anna. – Przyjechaliśmy z zaproszeniem na wesele, Wiero. Jesteś chrzestną matką, przyjedź, z synem oczywiście. To on? – Pytając popatrzyła na zdjęcie.

– To Misza – z entuzjazmem i dumą krzyknęła Wiera, a serce Berty zamarło na dźwięk tego imienia. – Ale on jest daleko – twarz Wiery posmutniała, poszarzała, jakby nagle zapadł zmrok w oczach, ciemniejsze stało się całkiem czarne. Emocje bardzo wyraźnie odzwierciedlały się na jej twarzy i szybko się zmieniały. – Obiecał matce, że wróci, to będzie radość! A kiedy wesele? – Znow w oczach zaświeciło słońce, zwłaszcza bursztynowe rozbłysło.

– We wrześniu – odpowiedział Maciek – z całego serca zapraszamy. Gdzie dokładnie, jakie godziny – jeszcze nie wiadomo.

– We wrześniu się urodziłaś – w zamyśleniu zauważyła Wiera – we wrześniu... tu przyjechałyście.

– Ja też – z dumą poinformował Maciej – ona ósmego, ja osiemnastego. Zrobimy wesele między urodzinami.

– Miły pomysł. – Wiera kiwnęła ciemną głową. – I ty, i ty, i tysiąc innych osób. Ale jednemu dane światło i wesele, drugiemu ciemność i żal.

– Wiero, przestań! – krzyknęła Anna z takim bólem w głosie, że Berta aż drgnęła w swoim dziwnym letargu, który tu odczuwała. Czy możliwe, że tu w tej chacie mieszkają w pierwszych tygodniach jej życia. Nic nie pamiętała, nic nie mogła pamiętać, ale czuła się tu jakoś dziwnie, obrana ze zwykłej codziennej tożsamości Berty Kalinianki.

Wiera przeniosła smutny wzrok na przyjaciółkę.

– Nie pamiętałaś, Anuszka, tyle lat, że jestem jej chrzestną. Dobrze, że sobie przypomniałaś. A kiedy powiedziałaś córce? Wczoraj?

Anna przytaknęła, zaczerwieniona ze wstydu, Jerzy usiłował wyjaśniać, ale Wiera uciszyła go.

– Wczoraj. Od wczoraj jestem więc w twoim życiu, dziecko... a tak co? Uśmiercili mnie pewno? Niczego. I ja ciebie nie szukałam bardzo, chociaż trochę wiem. Malujesz, w Warszawie mieszkasz, miałaś wernisaż obrazów na pracę dyplomową, czy tak? Widzisz, widzisz... a ty – nagle zwróciła się do Anny – zawsze ta sama, małomówna. Tajemnice, sekrety, że będzie wstyd? Nie powiedziałaś jej wszystkiego?

– Wiero – cicho, smutno, poważnie powiedziała Anna – całym sercem cię zapraszamy na wesele, całym sercem. Co moja вина, to ja wiem. Co przez te

lata przeżywałam, ty wiesz. Każda radość ukruszona, za każdym śmiechem snuł się cień, wyrzut. Żal.

– No ja wiem, ja przypuszczam... Ale tak trują sekrety... nie słuchałaś mnie. Teraz posłuchaj. Wszyscy mili sercu mojemu, utęsknieni goście, słuchajcie... – Wiera pobladła i mówiła jak w transie: – Wesele to dobre słowo, dobre zdarzenie. W tym słowie jest śmiech, miłość i taniec. Wy się kochacie. Ale wy nie weźmiecie ślubu we wrzeźniu.

Zapadła cisza, tykanie zegara grzmiało jak dudnienie eskadry wojsk. Berta nie dziwiła się niczemu. Jeśli ta oto piękna szeptucha mówi, że nie wrzesień, to nie. Może trzeba będzie przebyć siedem gór i pokonać siedem rzek, spalić siedem mostów? Może spełnić misję lub może Berta musi poznać dokładniej swoje serce? A już na pewno jakąś tajemnicę matki, bez tego ani rusz do szczęścia.

– Śniłaś mi się nieraz, córko chrzestna, tu u nas nie można oddzielić się od dziecka, które niosło się do chrztu. Nie darmo w bajce chrzestna dar niesie dziecku na całe życie. Ode mnie dostałaś odwagę, masz moją gwałtowność natury... Znam cię trochę. Śniłam cię, jak rosłaś. Byłam na twojej wystawie, widziałam cię jako dziewczynkę i młodą kobietę. Z dwóch osób się składasz i dlatego z dwóch złożyłaś sobie jedno imię. Berta to ładne imię. Nie bierz ślubu we wrzeźniu, Berto. Wrzesień komu innemu się należy. Ty weźmiesz ślub w sierpniu, gdy największy urodzaj, kiedy świat cały płodny jest i natura w pełni... albo potem, kiedy świat będzie układał się do snu w grudniu... ale oddaj jej wrzesień, nie zabieraj wrzeźnia.

– Nic z tego nie rozumiem...

Wiera otrząsnęła się z wizji, oprzytomniała.

– I ja nie wszystko rozumiem, moje dziecko. Lecz coś każe mi tak ci powiedzieć: nie bierz ślubu we wrzeźniu. Idź do ołtarza w sierpniu, idź zimą, nie we wrzeźniu. A ja na twój ślub przyjadę. Na pewno przyjadę. Tylko ty musisz jeszcze z matką długo porozmawiać. – Zwróciła się ku Annie. – Uwierz mi nareszcie, Anusza, to będzie dobre dla ciebie i dobre dla niej. I dla Beaty, i dla Ireny. – Uśmiechnęła się słonecznie do swoich gości, słońce zajrzało do okien. A teraz, jak już wiem, i chrzestna matka na ślub przybyć obiecuje, prezent specjalny przywieźć, to mówcie o sobie, mówcie!

Reszta wizyty upłynęła im tak, jak u każdej zwykłej ciotki częstującej herbatą i ciasteczkami. Długie lata rozłąki zaowocowały też tym, że wiele było do opowiadania. Co się zdarzyło, bagatela, przez ćwierć wieku? Opowiadali

o codzienności w Krukowie, o gorączce życia w Warszawie, sami dziwiąc się, ile tych zdarzeń i jak taki kawałek życia inaczej wygląda z dystansu. Wiera też spojrzała na swoje minione dwadzieścia pięć lat. Opowiadała im, jak tu gospodaruje i ludzi leczy, o synu Michale, z którego była bardzo dumna, bo wychowała go sama, dobrze wykształciła, był inżynierem i budował wielkie biurowce za granicą. Nie znał swojego ojca, a Wiera nigdy go nie szukała i on też, mężczyzna żyjący przez ponad ćwierć wieku w jakimś odległym mieście, nie wiedział nawet, że ma syna. Nie tęskniła za nim. Nie związała się z nikim na stałe.

– Kto by tam chciał mieszkać z dziwnooką szeptuchą – śmiała się. – Teraz cisza, ale bywa, że tu kolejki ludzi stoją, a mnie wieczorem ręce opadają ze zmęczenia. Dużo cierpienia te ściany widziały, oj, dużo. Książkę można by napisać, z czym ludzie przychodzą do szeptuchy. Z chorobami, z tęsknotami, z lękami. Jeden spać nie może, drugi chce, żeby sąsiadowi krowa zdechła. Jedna panna kocha nieszczęśliwie, druga chce płód spędzić. I myślą, że na wszystko są zioła i uroki!

– A są? – zapytała Berta.

– Nie na wszystko, ale na wiele cierpień jest rada. – Wiera pokiwała głową. – I tak życie biegnie.

– Oj, niejeden pewnie mężczyzna chciał tu z tobą zamieszkać – zaśmiał się Jerzy – piękna wciąż jesteś, Wiero.

– No, no, pochlebca! Może i chciał, ale może ja nie chciała. – Wiera w zadumie ogarnęła wzrokiem swoje królestwo. – Dobrze mi tu samej. No i nie trzeba dla jednego piwa browaru kupować. Ale może gorszące to, co mówię, dla młodych...

– A skąd, pani Wiero, my przybyliśmy z czasów netu i poliamorii – zastrzegł nowoczesny Maciej.

– Znaczy, że nie zakochałaś się naprawdę – rzekła Ania.

– Raz się zakochałam – oznajmiła Wiera – ale po tej miłości pozostała mi taka tylko pamiątka – sięgnęła do blizny na ustach. Więcej nie ryzykowałam.

Wiatr zerwał się, słońce znikło za chmurami i wyglądało na to, że psuje się pogoda, co dla podróżników zawsze jest niedobre. Goście zebrali się dość niechętnie, żegnali się wylewnie i obiecali sobie podtrzymać teraz tę przyjaźń. Bercie miło było, że jej chrestna jest taka oryginalna i z taką miłością wpatruje się w nią, jakby w córkę. Na do widzenia Wiera przytrzymała rękę swojej dawnej przyjaciółki przy sercu.

– Anusza – powiedziała cicho – dwie rzeczy mi obiecaj. Porozmawiasz z Bertą – to jedno. Powiesz jej wszystko, nie tylko ułamek, bo jak ułamek, to i ułamek szkła w niej zostanie. A drugie – koniecznie zrobisz badania krwi. Koniecznie. Jurek, przypilnuj jej w obu sprawach. Obiecaj.

Jerzy pobladł i obiecał. Wiera długo patrzyła za nimi, stojąc w furtce przed swoim domem, otulona barwną chustą, zamyślona, wcale nie zdziwiona, bo śniła się jej Anna ostatnio, że pomocy potrzebuje. O ich przyjazd do domu była spokojna, zobaczyła już w głowie powrotną drogę granatowej skody i wiedziała, że dojadą szczęśliwie. Wiera czasem zaglądała w przyszłość, więc była też pewna, że wesele Berty i tego miłego młodzieńca nie odbędzie się we wrześniu. Widziała nad głową Berty dwa gołębie, które szukają się, a znaleźć nie mogą, widziała nad Maciejem aurę chłopca wychowywanego przez kochające kobiety, młodzieńca, któremu wszystko przychodziło łatwo. Ona musi scalić kawałki duszy i pożegnać tę obcą osobę, którą nosi w sobie, a on musi zaznać walki i strachu. Wiera westchnęła, bo nic nie jest proste, a już na pewno nie sprawy uczuć, wiedziała to nie w teorii, lecz z doświadczenia własnego i setek ludzi, którzy płakali pod jej starodawnym piecem. Wiedziała, jak to bywa, i teraz też być musi z Kalinami i Maćkiem Znikomskim. Wiedziała też, że o niej rozmawiają w samochodzie, więc posłała im nad łąkami i lasami ciepły uśmiech.

Rozmawiali o niej, to prawda, bo Wiera Karczewska, szeptucha zza Wysokich Mostów, była silną osobowością i spotkanie z nią poruszyło w każdym z nich jakąś dziwną strunę.

– I niby co w niej takiego dziwnego? – zastanawiał się głośno Maciek. – Jestem racjonalistą, naprawdę, nic dziwnego nie widzę w wiedzy o ziołach i psychologii. Bo ta cała przenikliwość, to nic innego jak inteligencja i znajomość psychologii. Moja matka jest psychologiem przecież. A ona, Wiera, jest wykształcona?

– W zakresie podstawowym – odpowiedziała Anna Kalina – ukończyła osiem wiejskich klas, jak większość na wsiach za czasów mojej młodości... to jeśli pytasz o edukację w zwykłym słowa znaczeniu. Bo chociaż nie widziała na oczy szkoły medycznej, wiedzę o leczeniu i ziołach ma lepszą niż farmaceuta z dyplomem. Zdobyła ją od swojej babki, a ta od jeszcze swojej babki, której prababka była ostatnią spaloną tu na stosie czarownicą. Na przełomie stuleci: osiemnastego i dziewiętnastego. Tak, tak. Stare dzieje.

Macieja замуrowało z wrażenia.

– E tam – wyjąkał z niedowierzaniem – na stosie?

– Tak. Za dziwne oczy, każde inne. To u nich dziedziczne. Za rzucanie uroku na sąsiadki. Raczej nienawiść ludzka ją przywiodła do zguby niż uroki, ale kto to wie. Szeptuch tutaj ludzie zawsze potrzebowali i zawsze się trochę bali. A Wiery też nie lubi ani Kościół, ani świecka władza.

– A to czemu? – W Bercie odezwała się buntownicza natura. – Co ma do niej świecka władza? Albo kościelna? Przecież ma krzyż i ikony wiszą u niej, i tak dalej.

– Każda władza boi się tego, czego nie rozumie. Według prawa Wiera leczy ludzi bez uprawnień. Podatków nie płaci, zresztą jak, od jajek, warzyw i pieniędzy co łaska? Według religii, sięga po nieznane moce. Niepoświęcone.

– No nie! – Tym razem dwa młode głosy splotły się w jedno. – No jak? Że zioła zna?

– Gdybyś widziała ją przy odczynianiu uroku, nie byłabyś taka pewna – cicho powiedziała Anna. – Wiera śpiewa wtedy stare pieśni prababki, tańczy, odwołuje się do energii w sobie, takiej, której sama nie zna. Widziałam ją po takich seansach, jak leżała na gołej podłodze bez sił. Byłam przy tym, jak budziła się z krzykiem, bo widziała we śnie czyjąś śmierć. Ale widziałam też, jak leczyła ludzi, zwierzęta miksturami, po których odzyskiwali zdrowie. I ty, Berto, ożyłaś w jej rękach i proszę, jaka kobietka z ciebie wyrosła. Nie mieć Wiery na weselu to byłby zły znak. Więc nie weźmiecie go we wrześnieu...

– Dlaczego?

– Bo we wrześnieu nie przyjedzie – poparł żonę Jerzy. – Kiedy tak powiedziała, to basta, nie we wrześnieu.

– Kazała też nam o czymś porozmawiać – przypomniała Berta. – Co wy tam w sobie gnieciecie? Morderstwo, nieprawie pochodzenie? To co, dzisiaj pogadamy?

– Jutro – obiecała jej matka – dzisiaj było już dość emocji, jestem zmęczona. A obrządek jeszcze nas czeka...

Wszyscy byli zmęczeni, zbyt późno było, by gdziekolwiek zajeżdżać, nawet do Myszanki, którą tak bardzo chciał im zaprezentować Jerzy, pogoda też nie sprzyjała. Kiedy wracali, powoli zapadał zmrok, wiatr cichł, jakby ktoś go uspokajał, ale dom przywitał ich wyziębiony, a zwierzęta głodne. Berta nigdy nie brała udziału w pracach gospodarskich, więc i teraz oddelegowano ją do kuchni i swoich spraw. Maciej bohatercko zadeklarował pomoc w kotłowni i oborze, więc Berta szybko przygotowała kolację i weszła sobie w internet.

Znalazła informacje o wystawie artystki Nory van Morenz w Białymstoku. Poczula zazdrość, poczuła niechęć do świata i zmęczenie tymi wszystkimi tajemnicami. Gdyby umiała rzucać uroki tak jak jej chrzestna matka! Może spłonęłoby jakieś malarskie atelier. Na języku Jolanty Znikomskiej wyrósłby pypeć. Wiesio odzyskałby władzę w nogach... Wiesio! Może go tu przywieźć do Wiery? Ona powinna mieć córkę dla przekazania tradycji, a tu chłopak. Jakiś Michał, jakby ich było za mało na świecie. I pomyśleć, że jej chrzestna matka, szeptucha, babka od magii, miała komórkę, komputer i adres mejłowy. I dziwne oczy, podobnie jak ta w grze. Przypadek, czy przebiła się do jej podświadomości? Może i faktycznie lepiej mieć ją na swoim weselu. Ciekawe, ciekawe, co to za sekrety może mieć jej spokojna matka?

Tego wieczoru jednak nikt nie miał sił na rozmowy ani na analizy sypialniane, Berta nie kusiła Maćka wspinaczką po ścianach, Anna nie odwiedzała córki, lecz usnęła w ramionach zaniepokojonego o nią męża. Tyle lat ją kochał, dziękował Bogu za nią, bo była najlepszą żoną i matką, ale nie umiała się pogodzić z pewnymi decyzjami losu i nie chciała być w pełni szczęśliwa. Przytuliła się teraz do niego, bardzo zmęczona, Jerzy zaś nie mógł spać, zazdrosny o tę część jej duszy, do której nie miał dostępu. I to on pobudził wszystkich przed świtem, bo rezurekcję w Krukowie odprawiano zawsze z pierwszymi przebłyskami słońca w dniu Wielkanocy.

Niespodzianka

Wielkanocne śniadanie szykowała Anna Kalina wolniej niż co roku, zerkając raz po raz w okno. Dochodziła już jedenasta – po powrocie z kościoła zadbali o zwierzęta, młodzi zdrzemnęli się jeszcze, co bardzo pasowało rodzicom, którzy niespokojnie krzatali się między kuchnią a salonem. Stół okryty białym jak śnieg obrusem zapełniał się jak w bajce *Stoliczku nakryj się*, stawiano na nim potrawy zielone, białe i żółte, a kiedy Berta z Maciejem przybyli do kuchni zwabieni zapachem gorącej białej kiełbasy, wszystko było już gotowe – od jajek ze święconki, przez żur i kiełbasę po babę i paschę przygotowane na deser.

– Ależ ja jestem głodna – jęknęła Berta. Stała bosa w koszuli nocnej, z potarganymi włosami, nos jej jednak pracował i wybierał z przestrzeni kuchennej smakowite zapachy. Maciek łakomym wzrokiem spoglądał tak na nią, jak i na stół, jednakże chciał przed śniadaniem zadzwonić do matki. Kalinowie wymienili między sobą spojrzenia.

– Ubieraj się, Beatko, ty, Maciej, dzwoń, i będziemy zasiadać. – Jerzy zerknął jeszcze raz przez okno i na zegar na ścianie. Czekał na kogoś, ale nie chciał już dłużej opóźnić śniadania. Berta znikła i zbiegła elegancka i tradycyjna w białej bluzce, Maciek przyszedł z ogrodu zrezygnowany, bo matka nie odbierała, jakby znajdowała się poza zasięgiem operatora. Już miał Kalina sięgać po talerz z jajkiem, by się dzielić z rodziną, kiedy usłyszeli auto i klakson, a przed bramą zatrzymał się mały sportowy samochód.

– No! To się udało, przyjechała! – rzekł Jerzy. Odstawił święconkę i ruszył ku drzwiom. Za nim Anna i zaciekawieni młodzi. Maciek nagle krzyknął: „O Boże!” – bo ujrzał bardzo znajomy samochód, małego mini coopera o czerwonej jak mak karoserii. „Oho” – jęknęła Berta, bo rozpoznała osobę. Z samochodu wyłaniała się uśmiechnięta, odświętna w stroju i uczesaniu, wcale niezmeńczona dwugodziną trasą Jolanta Znikomska.

– Mimo nawigacji nie mogłam znaleźć wjazdu do wsi – oznajmiła po powitaniach i prezentacjach – dlatego trochę jestem spóźniona, przepraszam... Tu wino dla gospodarza, tu słodycze dla pani domu, tu kwiaty i coś dla ciebie, Berto. Maciej, przepraszam, nie mogłam odebrać, zasięg rwał się akurat tu

przy wsi, ale miło, że dzwoniłeś do matki – dla każdego miała informację, uśmiech, polecenie. „Już zarządza tutejszym światem, do którego wkroczyła tak bez zaproszenia” – pomyślała Berta z niechęcią. Dostała złoty łańcuszek z koniczynką.

– I bardzo, bardzo dziękuję za zaproszenie – Jola uściśniła raz jeszcze dłoń Jerzego Kaliny – to był znakomity pomysł, żebyśmy poznali się w święta, skoro nasze dzieci podjęły takie ważne decyzje. Dziękuję. Maciek, chodź no, synu, wypakujesz bagażnik, przecież przywiozłam coś od nas, z tradycji Znikomskich i Sulewiczów. Wie pan: Sulewicz to moje panięskie nazwisko, a Znikomscy to rodzina męża... – trajkotała do Jerzego, który poszedł także, by przytargać jej walizkę.

Berta zastanawiała się, czy śni, czy to się dzieje naprawdę. Matka Maćka zdawała się czuć doskonale i swobodnie w jej rodzinnym domu w Krukowie, daleko od wielkomiejskiego świata. Chwaliła potrawy i z wdziękiem przyjmowała komplementy na temat bigosu, pieczonej gęsiny i mazurków, które przywiozła. Wprawdzie sama przyrządziła tylko mięsa, ciasta pochodziły od Bliklego – ale tym bardziej świątecznie i egzotycznie brzmiało to w wiejskim domu Kalinów. Rodzice Berty wydawali się oczarowani Jolantą Znikomską, ona zaś Krukowem, pięknem pejzażu, cywilizowanymi warunkami i charakterem ludzi, którzy niedługo mają stać się jej rodziną.

– Dawno nie byłam na wsi – mówiła – w mojej głowie od lat na hasło „wieś” pojawiały się obrazy drewnianych chat krytych strzechą, wierzby płaczące i pochylone płoty. A tu, proszę, dom wiejski, lecz podmurowany! Wszystko macie tutaj tak samo jak w mieście, a kanałów telewizyjnych tak samo jak tam: za dużo!

– Twoja matka myślała chyba, że ja się wychowałam w kurnej chacie – syknęła Berta do Maćka na boku w kuchni. – Czyżby sądziła, że będzie szczać do sławojki?

– Moja matka nie szczy – oburzył się Maciej ze śmiechem – zwariowałaś chyba, żeby mówić takie rzeczy.

– No pewno. Siusia perfumą francuską, a to grube, to pewnie robi...

– Nie idź dalej – błagalnie jęknął Maciek i zwiął z kuchni.

Świąteczne dni przynosiły same miłe zaskoczenia: dwoma samochodami wybrali się na objazd okolicy i do osławionej Myszanki. Restauracja z hotelem na wzór dworku szlacheckiego, z przestronną salą weselną, pokoikami w niby-czworakach mogły zadowolić najbardziej wybrednych

gości. Myszanka miała i klimat, i wszelkie wygody. Jolanta Znikomska chwaliła, akceptowała wszystko, za każdym razem jednak najpierw pytała Bertę o zdanie. Ta wciąż pozostawała nieufna i dokuczała swojemu narzeczonemu.

– Taka nagle zgodna i ustępliwa się stała? Co ona szykuje? – szeptała mu cicho do ucha, uśmiechając się do przyszłej teściowej.

– Pamiętaj, że ona jest psychologiem – przypomniał jej Maciek. – Pewnie przeanalizowała sytuację i wyszło jej, że warto się z tobą zaprzyjaźnić.

– Oho! – Berta wzruszyła ramionami i patrzyła, jak Jolanta, która szturmem zdobyła dom i oboje, teraz wprowadza w zachwyty krukowskiego proboszcza. Wszystko ładnie się składało, tylko kiedy pytali o sierpień – terminów sobotnich nie mieli wolnych ani w Myszance, ani w kościele. Berta nie chciała brać ślubu z drugą parą. We wrześniu także nie. Pozostawał październik, nie dziwiła się temu wcale Ania Kalina, pewna, że tak działa moc Wiery. Maciek z kolei nie był zachwycony tym październikiem, chciałby urządzić wesele jak najszybciej. Jego matka – przeciwnie, orzekła, że czasem połowa października zakwita przepiękną jesienną pogodą, i dość będzie czasu, by wszystko porządnie przygotować. Anna Kalina szczerze ją poparła. Matki znalazły wiele wspólnych tematów, okazało się też, że mają podobne zdanie i w polityce, i w sprawach światopoglądu. Rodzice Berty z pewną obawą opowiedzieli Joli historię z chrzestną matką, że jednak jest, żyje sobie za łąkami, za lasami jako tutejsza szeptucha – znachorka, ale matka Maćka i tego wysłuchiwała z życzliwym zainteresowaniem i uznała, że to urocza i romantyczna historia.

– Sama bym się wybrała do takiej osoby – westchnęła – i powiem ci, Aniu, że musisz koniecznie zrobić te badania. Niektórzy ludzie mają dar wyczuwania chorób, no, no! Że też masz taką chrzestną matkę jak w bajce, Berto.

Tym razem Maciek był zdumiony.

– Myślałem, że jesteś sceptycznie nastawiona do podobnych rzeczy, mamó – rzekł. – Nie jesteś zaniepokojona?

– Czymże?

– Bagatela – mruknęła Berta – taka tam tutejsza farmaceutka, tylko potrafi uroki rzucać, jak krzywym okiem na kogoś spojrzy, to mu wyrasta wrzód na czole... Może mleko zatrzymać matce karmiącej, jak się obrazi. Może sprowadzić na wioskę plagę żmij...

– Tym szybciej i chętniej ją zapraszamy na wesele – oznajmiła Jola –

a widział kto podobne efekty jej działań?

– Oczywiście, że nie – powiedziała stanowczo Anna – za to widziałam, jak pomogła na setki bóleści głowy i brzucha, i bezsenności, i płaczące marudne, nieznośne niemowlęta. – Znacząco popatrzyła na córkę. – I ona przestrzegą przed wrześnieniem? – dopytywała Jolanta. – Więc widzicie, październik będzie w sam raz. Od razu mówiłam ci, Berto, że rodzice zechcą w swojej parafii urządzić ci wesele. Po prostu rewelacyjne te pierożki, Aniu, musisz dać mi przepis koniecznie. Z ciecierzycą mówisz?

„Gdzie ja jestem, do kuźwy nędzy – zapytała siebie samą Berta. – W grze jakiejś chyba, w bajce może, ale nie w prawdziwym Krukowie, gdzie na wiosnę jedzie gnojówką, można wdepnąć w krowi placek, a prąd zabierają przeciętnie raz na trzy dni... Według matki Macia to raj jakiś. Tak się słodko zrobiło, że rzygnąć można... Gdzie jesteście: komary, myszy i muchy robacznicze?”

A najgorsze było to, że nie mogła znaleźć chwili, żeby porozmawiać z matką o tajemnicy, którą Kalinowie kisili w sobie od lat. Jolanta Znikomska byłaby jeszcze do zniesienia sama w sobie, ale to, że zajęła swoją osobą cały czas, wieczory i poranki... w dodatku jasne było, że zabierze ich do Warszawy swoim samochodem, więc zagarnie też powrót we dwoje – to było trudne do zniesienia i o to miała do niej żal Berta. Fakt, że matka Maćka nie wiedziała o żadnej tajemnicy, wcale jej w oczach Berty nie usprawiedliwiał. Przed wyjazdem przypomniawszy matce o rozmowie, która w końcu się nie odbyła.

– Widocznie nie tym razem córeczko – powiedziała Anna Kalina, nagle zmęczona i postarzała – mamy czas. To nie jest długa opowieść, a dla mnie ważna, trzeba odpowiedniej chwili i skupienia.

I z taką informacją zostawiła córkę, która rada nierada musiała wsiąść do samochodu Znikomskiej, znieść, że ta oddała kierownicę Maćkowi i całą drogę zabawiała Bertę rozmową o przyszłości. Z ulgą dostrzegła zarys bloku na Pradze, z radością myślała, że jutro jedzie autobusem czterysta dwa na Służew, żeby zatopić się w słowiańskim świetle gry. Już planowała dołączenie do licznych lokacji Słowiańskiej Górki, takiej jak w Krukowie za lasem, i przeobrażenie szeptuchy w kobietę młodszą i zdecydowanie powabniejszą. Może wróci do wcześniejszej urody po pocałunku Wasylii? Zrzuci pomarszczoną skórę starego babska i ukaże twarz młodszą, o pięknych ustach i z blizną na policzku? Już to widziała, rysowała sobie w wyobraźni, kiedy rozpakowywała plecak w mieszkaniu, a woda w łazience napełniała

wannę. W tym czasie Maciek żegnał matkę na parkingu przed blokiem.

– Cieszę się, że przyjechałaś, że ci się spodobali Kalinowie i to miejsce – powiedział z ulgą. Jola siedziała za kierownicą, posłała mu całusa, westchnęła.

– Synu, synu – odrzekła – przecież cię kocham. No i musiałam sprawdzić, w co się pakujesz, nie? Ludzie porządni, a miejsce urocze. Ale kompletnie bez perspektyw... Można tam odpocząć, ale co robić? Do jednego nie dopuszczę: żebyś tam kiedykolwiek zamieszkał. Nigdy. No, święta, święta i po świętach. Mam już jutro zajęcia ze studentami, dobranoc.

Maciek roześmiał się, wzruszył ramionami i pospieszył do domu, do Berty. Stęskniony był za sam na sam z nią, zadowolony, bo uznał wyjazd za bardzo udany. Że też matkę aż tam przywiało, no, no. W mieszkaniu cichutko płynęła muzyka z głośników przy komputerze, z łazienki dobiegał szum wody i pluskotanie w wannie. Berta, widać, nad wszystkie przyjemności miejskiego życia przedłożyła kąpiel. Maciek zauważył też, że nie zamknęła drzwi i sam poczuł ogromną potrzebę kąpieli. Zrzucając z siebie ubrania, ruszył do łazienki. Berta zanurzona w wodzie po nos, zanurkowała i wyłoniła się z piany, oblepiona na włosach i piersiach białym puchem, pachnąca i mokra. Maciej ochoczo wskoczył do wanny, gotów do miłości, lecz Berta uznała, że i on potrzebuje specjalnych zabiegów i zatrzymała go na klęczkach w pianie. Najpierw umyła mu plecy, potem piersi i brzuch, potem myła go pianistym mydłem niżej i niżej, gąbkę zastąpiły gładkie dłonie natłuszczone olejkiem pod prysznic. Mycie stało się delikatniejsze. Maciej nie mógł dłużej czekać, zanurzył się w wodzie, pochwycił mokrą syrenę i... nie zwracali uwagi na wodę wylewającą się na podłogę w rytmie ich miłości.

Powrót do gry

Powrót do biura okazał się całkiem przyjemny. „Powrót do gry” – jak nazwał to Kacper. Czekał na nich, witał nerwowo, zły, że wnosili ze sobą opowieści o świętach, spotkaniach i zakupach, niechętny światu poza murami biurowca. Wyraźnie pragnął momentu, w którym Starsi po hałaśliwych powitaniach uruchomią swoje komputery, zaskrzypi serwis do kawy, kiedy życie na piątym piętrze wróci do normy. Ręce drżały mu trochę, oczy miał zaczerwienione od wpatrywania się w ekran. Berta zastanawiała się, czy Kacper ma kogokolwiek, czy w ogóle spędzał jakoś święta, czy cały czas tkwił tutaj w goglach do VR, w wirtualnej rzeczywistości przemierzał zamknięte komnaty i pokonywał wymyślone w grze przeszkody... Nawet jeśli tak było, to teraz przybył do realnego świata, obserwował, stał przy antresoli do sekretariatu, patrzył, jak zrzucali kurtki, zaczynali od kawy i powitań. Wracali wszyscy zadowoleni, napasieni, jak rzekła Edyta, wyposzczeni – według Gosi, i jeszcze ruchliwsi niż zawsze – w oczach Wiesia. Berta zrozumiała, że są jej bliscy, że bardzo ich lubi, ale na razie nie zwierzy im się z postanowień ślubnych. Coś kazało jej nie mieszać przestrzeni i nie mówić wiele na ten temat. Tu panowały inne reguły, na ekranach komputerów znów otwierał się znany świat Wenetów, zapomniane na chwilę postaci odzyskiwały władzę nad swoimi twórcami. A twórcy po raz stotysięczny uznali, że są w ciemnej dupie z robotą, jakby musieli narysować cały świat od nowa. Kacper wynalazł milion poprawek, straszył testami u wydawcy i tak po kilku godzinach skupionej pracy nie pamiętali, że była jakakolwiek przerwa świąteczna i jakie to były święta.

Graczka Mary podążyła za Wasylią do drewnianej chaty. Drzwi uchylone, skrzypią jak w horrorze. Wnętrze domu szeptuchy wypełnia mnóstwo przedmiotów, króluje tu starodawny piec jak z ruskich bajek... Chodnik pleciony okrywa drewnianą podłogę, błyszczą szuflady ze zdobionymi zamkami, kredens dekorują haftowane serwety. Lupka przybliży dziurkę od klucza komody, tam kryje się wskazówka lub następny potrzebny w grze przedmiot. Gdzie trzeba będzie znaleźć ten klucz. W głębi pieca rośnie bochen z zapieczonym listem, do chleba potrzebny będzie nóż. Gdzie ich szukać? Wskazówka

podpowiada następne drzwi. Sypialnia. Łoże z pierzynami i poduchami. Stara kobieta o pomarszczonej twarzy śpi chorym, starczym snem, siwe pasma włosów wymykają się spod brudnawego czepca. Koszula nocna o startym już nieco hafcie ukazuje zwiędłą, smutną pierś. Ale Mary dobrze trafiła, otworzyła te drzwi, które powinna otworzyć, teraz ogląda filmik: Wasylia wchodzi do sypialni, zbliża się do łóżka szeptuchy, pochyla nad nią. Na ekranie pojawiają się dwie plansze i graczka zdecyduje: czy Wasylia powinna pocałować na powitanie starą kobietę, czy przebudzić ją brutalnym szarpnięciem. Jest taka krucha. Mary decyduje się na pocałunek. Muzyka skrzypiec i fontanny żółtych liści w szybach informują, że stało się coś dobrego. Barwy nabierają soczystości, konkretnie haft na koszuli, pierś pęcznieje i staje się biała i prężna. Szpetna starucha siada na łożu, lecz nie jest już szpetna, twarz jej staje się gładka, włosy ciemnieją, skręcają się w spirale. Otwiera oczy... nadal pozostały różnobarwne, lecz są młode, roześmiane, a ona piękna, tylko policzek przecina jej stara blizna...

– No, ale ładnie nam wyszła ta metamorfoza – odezwała się Pola. Młoda graficzka mocno przyczyniła się do efektu, animacja ożywiająca liście i włosy była jej dziełem.

– Dziewięciu na dziesięciu graczy zdecyduje się na szarpanie staruchy – szeptycznie stwierdził Wiesiek. – Nikt jej nie pocałuje. I wtedy cała robota na nic.

– Wcale nie. – Marcin miał już pomysł. – Wpadną do podpiwniczenia i będą musieli w inny sposób dojść do tej samej prawdy. Tak, z pocałunkiem, jest po prostu krócej...

– A gdzie ta prawda?

– Gdziekolwiek by była, koniec pracy na dziś – ogłosiła Berta – ja chcę i muszę do domu. Jutro znów będziemy odkrywać tajemnice, no nie?

– Jutro chciałbym zacząć od zebrania – oznajmił Kacper. – Zapraszam wszystkich do konferencyjnej na dziesiątą.

– Jutro wymyślimy, jak wyjaśnić tajemnicę urodzin Wasylii, już czas – szepnął do ucha Berty Marcin. Wyglądał, jakby nie był trzeźwy. Mrugnął na Liszkę i Wiesia, tamci chwycili pośpiesznie kurtki, wyraźnie wychodzili gdzieś razem. Wzruszyła ramionami.

– Tym bardziej do jutra – ziewnęła. W domu czekał na nią Maciek, kolacja,

trzeba było tylko przemierzyć szarzejące miasto, teraz po zmianie czasu znów zmrok zapadał późno. Włożyła w uszy słuchawki i ruszyła na przystanek.

Maciek w tym czasie pitrasił, podśpiewywał nad rondelkiem z parówkami i cieszył się, że ma nowinę do oznajmienia. Jego przyjaciel Sławek odpisał, że przyjedzie z Irlandii i będzie mu drużbował. Maciek mieszał specjalny sos do parówek i rozmyślał. Cieszył się bardzo, że odnowi znajomość ze Sławkiem, zastanawiał się, kogo poprosi na swojego świadka Berta. Odstawił garnek z sosem, zerknął na zegarek. Powinna być za jakieś pół godziny. Włączył sobie internet i odnalazł stronę malarki Nory van Morenz. „Fiu, fiu – szepnął – ale lalka!”. Uroda tej kobiety, dawnej przyjaciółki jego Berty, uderzyła go jak obuch. Nigdy nie widział nikogo tak pięknego jak ta jasnowłosa osoba na zdjęciu. Jakby z pocztówki przedwojennej, aureola loków, oczy ogromne i okrągła twarz trochę dziecka, a trochę cherubina... A przy tym informacja, która może bardzo zaciekawiać Bertę: jej prace wystawione będą w Muzeum Sztuki Nowej w Warszawie. Aukcja połączona z wernisażem: „Rdzą pokryte – młodzi artyści dla ocalenia minionego piękna”. No proszę! I to w najbliższą sobotę.

Nora van Morenz

– Zawsze była ładna, najładniejsza w klasie – zgodziła się z Maćkiem Berta, kiedy po kolacji pokazał jej stronę Nory van Morenz z informacją o wernisażu, i dodał: „Nie mówiłaś nigdy, że masz takie urodziwe koleżanki”.

– Ona ma coś w sobie – kontynuowała Berta – przyjrzyj się, to właściwie nie jest klasyczna uroda. Wypukłe czoło, te krótkie jasne loczki, okrągłe oczy. A na zdjęciu nie widać, że jest niska i krótkonoga. Ale nigdy nie przeszkadzało jej to, żeby przebierać w chłopakach, serio. Nie wiem, na czym to polega, słynny seksapil właśnie? Każdy facet, co na nią popatrzy, zamiera w zachwycie.

– E tam. – Maciej nie przyznał się, że i jego uderzyła uroda malarki. – Ładna jest, taka oryginalna, ale bez przesady. Norka czy Mirka w końcu?

– Mirosława Norkowicz – westchnęła Berta – widać, jak wyszła za mąż, to zrobiła sobie z nazwiska panińskiego pseudo Nora. Nieźle brzmi, przyznam. Nienawidziła imienia Mirka, pamiętam. Mówiła: „Mirosława, kurde, Mirka, jak ze wsi”. Bo i była ze wsi. Mieszkałyśmy razem w internacie przy liceum plastycznym i siedziałyśmy w jednej ławce. Ach, mówię ci, Maciek, to były czasy! – Berta oddała się wspomnieniom i opowiadała, a Maciej położył się obok niej, pogryzał krakersy i słuchał. Przeniósł się razem z Bertą do małego urokliwego miasteczka na Podlasiu, gdzie w artystycznym liceum uczyła się młodzież utalentowana plastycznie, w większości dziewczęta. W internacie zajmowały całe piętro, ale nad nimi, na drugim, mieściła się bursa chłopców z budowlanki, z oddzielnym wejściem, chyba dla pozoru – wspominała Berta – bo i tak ciągle się spotykaliśmy. Ileż z tego było romansów, Boże, Boże! Posiłki jadano w stołówce, na parterze, i tam flirty miały zwykle swój początek. Nie uwierzysz, było tam mnóstwo dziewcząt, a te chłopaki wpatrywały się w nasz stolik, dokładnie w Mirkę, ta zaś udawała, że niczego nie widzi. Jadła i śmiała się, nieraz jakiś koleś wylał zupę albo potknął się przynajmniej, przechodząc obok nas. Mieszkałyśmy w pokoju we trzy, ja, Mirka i Baśka, ja jeszcze kanciata, przypominałam stracha na wróble, zwłaszcza że dla idei artystycznego wizerunku nosiłam kapelusz ojca. Basia była grubawa, nieładna, potem zresztą schudła. No a Mirka już osiągnęła swój

wzrost, biust i te intensywnie niebieskie oczy. Zawsze miała krótkie i bardzo kręcone włosy – same obcinałyśmy sobie w internacie, jak był czas wolny... tak, bo było tak, że po obiedzie trzy godziny na odrabianie lekcji, potem czas wolny, kolacja. Czas wolny... Łaziłyśmy po okolicy ze sztalugami, malowałyśmy, plener niby, myślałyśmy tylko o przyszłej karierze wielkich malarek i o chłopakach, mówię ci, czego się śmiesz tak lubieżnie? Wieczorki się odbywały w sali muzycznej w internacie, tam, gdzie próby chóru, bo należałyśmy też do chóru. Za salą była pakamera na stroje i uwierz mi, niejedna cnota poległa tam na polu chwały. Sama widziałam, jak dziewczyny całowały się z chłopakami, czasem myślę, że i nauczyciele wiedzieli, ale zauważ – nie mieliśmy ani jednej wpadki. Kładę to na karb skromności naszych czasów, dziewczyny nie posuwały się za daleko, nie pozwalały chłopakom na więcej niż obściskiwanie i całowanie... Oczywiście opowiadałyśmy sobie to potem przed snem. Nie zapomnę tego: „A jak się całowaliśmy, podał mi językiem cukierka, a potem ja jemu, taki miętowy pocałunek”. Albo: „A Witek łaskotał mnie w ucho językiem coraz bardziej w środku, ale to wcale nie było przyjemne, tylko okropne...”. Czekał, Maciek, nie krzyw się, teraz będzie najlepsze, Basia raz sobie pozwoliła ze starszym wujciem, i mówi nam potem: „I wtedy on włożył mi rękę w majtki i ugniata, ugniata, sapie, pcha mi do środka palucha. Nie chciałam, zaciskam nogi, a ten gada: tylko tak cię podniecę paluszkami trochę, mała, daj pocałować swoją wisienkę, nie bój się, z tego dzieci nie ma”. Takie rzeczy sobie opowiadałyśmy, czujesz? Poza Mirką – ona nie romansowała z nikim, bo podobał się jej chłopak z miasta. To była dopiero miłość, Mirka zaczęła przez niego wagarować, podjeżdżał pod internat motorem, zabierał ją gdzieś do lasu, wracała z błyszczącymi oczyma, i nie chciała nam nic mówić. Tylko tyle, że Irek wytatuował sobie jej imię i zaraz po maturze wezmą ślub. Irek nie miał nic wspólnego ani z liceum plastycznym, ani z budowlanką, chodził do zwykłego ogólniaka, w tym samym roczniku co my, chciał zdawać na studia do Białegostoku. Omotała go całkiem. Zdaje się, że ona jedna miała naprawdę co opowiadać, jeśli chodzi o przygody seksualne, ale ona jedna nic nam nie mówiła. Tylko raz mi coś powiedziała, bo przyjaźniłyśmy się bardzo. Pewnego dnia wróciła rano przez okno, usiadła obok i powiedziała mi: „Beata, stało się, jestem kobietą. Zrobiłam to z Irkiem”. Ja oczywiście: „I co, i co? Jak było, boli, co nie? Nie zaszłaś w ciążę? I co teraz zrobisz?”. Jakoś to, że nic się właściwie, realnie, nie zmieniło, nie przyszło nam do głowy.

Mirka uznała to za rodzaj ślubu, i Irek chyba też, bo na studniówce tak byli do siebie przyklejeni, że aż mdło. Ale od nas się odsunęła. Byliśmy wszyscy pewni, że ona wyjdzie za niego za męża, ale nie. Może gdyby wpadli, ale nie zaszła w ciążę. Potem nasze drogi się rozeszły – ja zaczęłam studia w Warszawie, Irek i Baśka w Białymstoku na polibudzie, a Mirka zdała na ASP w Łodzi. I ciach – minęło osiem lat! Coś takiego.

– Czemu się rozstali? – zapytał cicho Maciek. Był blisko Berty, coraz bliżej. Poruszyła go ta w sumie dość typowa historia nastoletniej miłości. Myśl o tylu dziewczynach zgromadzonych na piętrze internatu! Musiały tam sobie opowiadać ciekawe rzeczy o tych spotkaniach z chłopakami. Berta aż pachniała erotycznymi wspomnieniami.

– Nie wiem, chyba odległość zrobiła swoje. Wiem, że Irek ożenił się i mieszka w Białymstoku. Z nas trzech, o dziwo, Basia najszybciej wyszła za męża, a Mirka wyjechała potem za granicę i, jak widzisz, dopiero tam złapała jakiegoś van Gogha i przeobraziła się w Norę van Morenz. Ciekawe, czy czasem wspomina Irka, taka wielka miłość to była...

Maciek przysunął się jeszcze bliżej. Objął Bertę.

– Ty to masz wspomnienia – rzekł z uznaniem, głaszcząc jej brzuch – internat to jednak coś. Nie to co ja, chłopiec z kluczem, tyle co warszawskie podwórko i sprośne napisy na murze. Tyle dziewczyn na jednym piętrze, o matko miła. I jeszcze opowiadające o pierwszych doświadczeniach z chłopakami...

– Żebyś wiedział – zaśmiała się Berta. – Nie tylko z chłopakami. Przy tylu babach i dziewczęca przyjaźń bywa czuła. Mieliśmy takie dwie, Miłę i Zdzisję, co pokazywały nam, jak się całować. Mówiły, że tylko próbują, bo jakoś trzeba ćwiczyć, najlepiej wszystko najpierw sprawdzić dziewczyna z dziewczyną, żeby potem już nie było żadnych kłopotów. Siadały na parapecie i pokazywały, jak się całować, szkoleniowo, ale zawsze uważałam, że sprawia im to przyjemność. Jestem pewna, że szły dalej w nauce... i nie tylko one.

W wyobraźni Maćka całujące się parapecie dziewczyny, pieszczotliwie objęte, wzbudziły falę pożądania. Pocałował Bertę z taką myślą, czy i ona może próbowała pierwszych pocałunków z jakąś dziewczyną, może nawet z tą zmysłową Mirką. Ona także wyraźnie oddała się wspomnieniom, bo przymknęła oczy i całowała go delikatnie, drobnymi, nieśmiałymi pocałunkami nastolatki. W pokoju zrobiło się ciemno, Maciek dłońmi szukał miękkich kształtów Berty, głaskał ją przez koronkę bielizny, znajdował jej czułe miejsca

i pieścił jakby pierwszy raz. W wyobraźni majaczyły mu dziewczyny w internacie, zwłaszcza jedna, wracająca nad ranem ze schadzki, w porozpinanej bluzce, lepka od pierwszej miłości, masująca obolałe piersi. Sięgnął do piersi Berty, czuł, jak i ona ulega zmysłom, wciąga go w siebie, zatracił się w niej, słyszał już tylko ją, a twarz blondynki z otwartymi szeroko niebieskimi oczami i z okrzykiem przestachu i rozkoszy, na szczęście znikła.

*

– To co, idziesz na ten wernisaż? – zapytał rano, żeby znać plan dnia. Berta już zerkała na zegarek, chciała złapać autobus po ósmej, a i Maciej miał poranny, indywidualny trening z jakąś nową klientką, dobrze płatny, więc nie marudził.

– Tak, tak, koniecznie – odpowiedziała pospiesznie, malując usta – zresztą idziemy oboje, nie wykręcisz się. Ja w pracy spróbuję wykombinować jakieś wejściówki, i rzucę jeszcze temat na Fejsie, może znajdą się jeszcze starzy znajomi z liceum albo ze studiów.

Maciek tym razem nie protestował, owszem, miał zamiar wybrać się na ten wernisaż. Berta rozmyślała w autobusie o dawnych koleżankach, o wernisażu i swoich niedoszłych planach malarskich, bała się, że sukces przyjaciółki z lat szkolnych sprawi jej ból. „Wstydz się” – szepnęła sama do siebie. Z łatwością znalazła organizatorów aukcji – dawni znajomi ze studiów, oczywiście bez trudu załatwiła darmowe karnety i zdążyła rzucić temat na FB. Niesamowite są zdarzenia losu – uległa filozoficznym rozterkom, ale Gosia wołała wszystkich na zebranie z Kacprem, a po tym zebraniu Berta zapomniała o wszystkich innych tematach.

Zaczęło się niewinnie. Czekali na szefa i dogryzali sobie troszeczkę, Gosia opowiadała o swoim nowym pomysle – mianowicie postanowiła zamrozić jajeczko i czekać z nim na dobry czas i partnera, by zrealizować się kiedyś w macierzyństwie. „Kiedy nadjedzie odpowiednia pora, nie tak na łapu-capu – mówiła. – A ta pora może nadjeść, jak będę miała czterdzieści pięć lat. A moje jajeczko będzie wciąż młode. Albo nie spotkam partnera, co wtedy? Wtedy wezmę nasionko z banku od anonimowego dawcy”.

– Nie ryzykuj, Gosia, weź moje – zaproponował Liszka – mam dobre geny i nie musimy używać próbek...

– Ty świntuchu! – Pogroziła mu Gonia, a Justyna prychnęła śmiechem, bo co

jak co, ale prym świntuszenia wiodła tutaj Gosia. Wpadła spóźniona, jakaś trochę zasmucona Edyta, wjechał Wiesio i wszyscy w komplecie wypatrywali szefa. Nie mieli czasu na długie narady, zaplanowany na dziś odcinek i lokacja były dość pracochłonne. Czyżby Kacper miał jakieś dane o ocenach pierwszej godziny gry, wysłanej wydawcy przed świętami? I owszem. Kacper wszedł bardzo poważny. Od razu przystąpił do rzeczy.

– Mam dwie wiadomości. Pierwsza jest przyjemna: za miesiąc, jak co roku, Kraków, wielki konwent na Game-arenie, ważne targi gier komputerowych. Wyślemy delegację, na pewno ja, na pewno Gosia, i tak myślę, że ty, Berto, wygłosisz wykład na konferencji. Jeszcze czwórka do obsługi stoiska, kto chce? Zresztą, zgłosicie się potem.

Słusznie powiedział, bo nikt nie zareagował na jego pytanie, wszyscy czekali na tę drugą wiadomość. Czyżby ich gra nie przeszła testów? Otrzymała tak negatywne oceny od pierwszych użytkowników? Kacper westchnął. To była bardzo niedobra wieść, chociaż nie ta, jakiej się obawiali.

– Tylko że nie mamy z czym jechać – powiedział, jakby kopał grób.

– Taki zły wynik testów? – zapytała Berta szarym głosem.

– Nie, przeciwnie. Nasi Wenetowie zdobyli znakomite oceny. Pomysł i zadania, intuicyjność gry, cały świat – rokował kolekcjonerkę. Niestety... – Kacper sam nie mógł uwierzyć w to, co mówi. – Niestety chuj w bombki strzelił: ktoś wyniósł pomysł. Przechwyciła go konkurencja, z tego, co wiem, mają już rozpoczęte prace. Ktoś wyniósł i sprzedał cały nasz zamysł gry... I ten ktoś to ktoś z nas.

Zapadła cisza głucha, grobowa, nabrzmiała podejrzeniami. Wszyscy myśleli o tym, co w takiej sytuacji robić. Czy praca tylu miesięcy, a wraz z nią piękne plany pójdą do kosza? Kacper wiązał takie nadzieje z Wenetami... Berta tak triumfowała, że jej pomysł się podobał! Młode graficzki zadrżały o swoje zatrudnienie. Ale wszystko to tłumilo paskudne pytanie, powodowało, że zerkali na siebie: kto mógł ukraść i sprzedać ich pomysł?

– Mógłbym wezwać policję – nadal cicho mówił Kacper – ale nie zrobię tego. Źródło, z którego się dowiedziałem, jest, powiedzmy sobie, nie do końca legalne. Nie mam więc dowodów, ale wiem na pewno. Teraz musimy wszczęć własne śledztwo, no i pomyśleć, co w ogóle będzie ze *Skarbem Wenetów*. Z naszym skarbem.

– A może to jednak ktoś z zewnątrz – zapytała niepewnie Gonia – szefie, co to za gadka? Teraz nikt tu nie będzie sobie ufał. Najgorsze, co może być!

– A po co ci to zaufanie, Gośka? – zapytał Kacper. – Bez gry jesteśmy bez pracy. Możemy się nie spotykać. Wezmę się za same VR-y i może część z was zostanie.

– A jednak, a jednak... – Liszka bronił zespołu. – Może na przykład sypnął ktoś od ruskich. Przecież nie tylko my znaleźliśmy pomysł. Oni oceniali, cały ten Misza tu był.

Liszka mógł mieć rację, a Bertę coś ukłuło. Czemu? W końcu nic nie wiązało jej z Miszą Boryłowem.

– Teoretycznie możliwe, praktycznie po co? Boryłow akurat nie ma motywu. – Widać było, że Kacper przemyślał to już wzdłuż i wszerz. – Facet jest bogaty, chciał w nas inwestować, nic go nie wiąże z konkurencją. Sam strzeliłby sobie w stopę. Zresztą z nim akurat już się naradzałem... Słuchajcie – zakończył – dziś zarządzam przerwę, bo nie wiem, co robić. Jutro ciąg dalszy, dziękuję, Berta, Marcin, Gosia – proszę do mnie.

Stała trójka ponuro przeniosła się do gabinetu szefa. Kacper zapadł się w fotel, jakby przygnieciony toną gruzu. – Nalej mi wódki, Gonia – powiedział – chcecie?

Marcin chciał, Berta nie, Gonia nałapała sobie sama.

– Domyślcie się, czemu tu jesteście – powiedział Kacper – tylko wam ufam. Wykluczyłem was z kręgu podejrzanych. Nie traćmy czasu na tłumaczenia dlaczego. Żadne z was nie jest szpiegiem, wszyscy inni mogą być. Dlatego też nikt więcej nie może usłyszeć jasno tego, co teraz powiem: blefowałem, będziemy nadal robić *Skarb Wenetów*. Jutro ogłoszę, że przerywamy projekt, ale dopracowujemy niektóre rysunki gry, bo tak chce Wriemia Igry. Niech pójdzie w świat, że spasowaliśmy, tymczasem zwolnimy tempo. Ty, Berto, dla kamuflażu pozmieniał lokacje, że niby ruszamy z czymś innym, nie wiem, kosmos weź na tapetę albo zoo – ale tak, żeby potem się przydały. Na targi jedziemy szukać nowych klientów. Mamy tylko jedno wyjście: ucieszyć ich, że odeszliśmy, wtedy zwolnią prace, a my zrobimy je krócej i szybciej, niż to miało być. Może uda się wyskoczyć na rynek przed nimi. Ale ta informacja nie może wyjść poza ściany gabinetu.

– A jeśli tu jest podsłuch? – krzyknęła nagle Berta. – Jeśli nikt nie doniósł i my jesteśmy okej, ale właśnie nas nagrali.

Kacper uspokajająco kiwnął głową.

– Wpadłem na to i ja – powiedział – biuro jest sprawdzone, nie ma podsłuchu. Są teraz kamery, ukryte, ale to ja je zamontowałem. A kiedy

dowiemy się, kto to, wyrzucimy wrzoda i dokończymy grę.

– Czemu sądzisz, że tamci mogli to zrobić – zapytał Marcin, wskazując na kolegów za ścianą – oni tak, a my nie? Czemu taka Edyta?

– Dla kasy oczywiście – odrzekł Kacper i znowu sobie nalał. Każdy z nich ma motyw finansowy. Edzia ma dzieci i chłopca, chciałaby wygodnie żyć. Liszka ma długi, Gucio też i ty wiesz o tym, Marcin! – Berta zerknęła ciekawie, a Marcin się zaczerwienił. – Młode, Justa i Pola, raczej nie, ale za mało o nich wiem. Może skusili je stanowiskiem i superkasą? Konkurencja tak działa. Ale najbardziej podejrzewam Wiesia.

– Wiesio? – krzyknęli jednocześnie. Wiesio, kaleka na wózku, w ich oczach był ofiarą, nie mógł być zdrajcą. – On jest chory i choroba postępuje – poinformowała go Berta. – Chłopak kamienieje, a ty...

– Właśnie dlatego – powiedział Kacper – właśnie dlatego. Wiesio potrzebuje kasy najbardziej ze wszystkich. Oni mogliby sobie życie polepszyć, ustawić... on je ratuje. Może wyczytał o jakimś horrendalnie drogim leczeniu? Może chce przed zejściem wyszaleć się do cna. On ma największy motyw, Berto. Marcin, coś o nim wiesz i to się zgadza, prawda?

Marcin przytaknął, a Berta znów popatrzyła mu w oczy pytająco.

– No dobra – jęknął – nic takiego. Nie wiem, skąd wiesz, Kacper, Gonia najwyraźniej też. Tylko Berta nie wie, więc powiem. Tu na dole jest ostre kasyno. Ostry hazard, co chcesz, jednorękie, ruleta i poker... laski fajne. Byliśmy tam parę razy z Liszką, Guciem i Wiesiem. Można wygrać całkiem dobrą kasę. Namówiliśmy z Liszką Wieśka, że może sobie ugra na leczenie czy lepszy wózek, to prawda. I szło mu jak diabli, za pierwszym razem wszystkim idzie. Gorzej, jak masz u nich długi, znaczy w kasynie. Nie cackają się z takimi i znajdą cię wszędzie. Ja dostałem ostrzeżenie... dlatego wtedy zimą miałem takie limo. Spoko, już się wypłaciłem... Liszka jeszcze nie, też prawda. Ale Wieškowi szło, chyba nie narobił długów...

– Jak to nie? Wiodło mu się, ale tylko na początku – potwierdził Kacper – ale zobaczcie to. Czarodziejską Górę sobie, kurew, wymyślił, no i zaszalał. Passa minęła, zostały długi.

Trzymał przed sobą wydruki: spis kontaktów, podliczeń Wieśka, całą historię jego aktywności w internecie. Były wśród nich agencje towarzyskie, hurtownie sprzętu medycznego, słowackie apteki prowadzące legalny handel leczniczą marihuaną i kanadyjski ośrodek innowacyjnej chirurgii neurologicznej. I odpowiedź na jego pytanie o koszt kuracji. Dwieście tysięcy

dolarów, pół roku pobytu, rokowania co do wyzdrowienia: możliwe. Szczegóły po badaniu na miejscu.

– Sto tysięcy baksów – powtórzył Kacper – i takie chodzą łapówki za porządne szpiegostwo przemysłowe.

– No tak – szepnęła Berta – to jest coś, za co można się sprzedać... Ale czemu taki jesteś pewien co do nas? – zapytała nagle.

– Jestem i tyle – mruknął Kacper – ty masz inne sprawy na głowie. Marcin też, jesteście jakby rodzicami pomysłu, tego się nie sprzedaje... A Gonia? – Uśmiechnął się. – Kobieta, która chce zamrozić jajeczko, nie sypnęła swojego szefa, nie ma mowy. Jestem pewien tej wariatki, bardziej niż was.

Gonia zrobiła dziwną minę, ale nic nie powiedziała.

– Mam dziś kolejne spotkanie z Boryłowem – dodał Kacper – zobaczymy, co Wriemia na to. Coś może wymyślą, wyjątkowo spokojnie podeszli do problemu. A państwo do jutra, wymyście, proszę, inteligentny kamuflaż. Robimy, ale nie robimy. Nową drobną grę, ale nie tamto, żeby mi było jednak potem do tamtego. Dobrze, co?

Berta z Marcinem wychodzili razem, stali przy windzie i rozważali jeszcze to, co się stało.

– Skąd on tyle o nas wie? – zdziwiła się Berta. – O jajeczku Goni? O twoim hazardzie?

– A ty skąd wiedziałaś?

– Nie wiedziałam – odparła Berta – domyślałam się tylko, że coś jest na rzeczy, bo raz przypadkiem widziałam cię z Guciem w garażu, wtedy akurat, kiedy oberwałeś. Widok był nieszczerólny.

– Kobieto. Ledwie z życiem uszedłem. – Marcin westchnął. – Rozkwasili mi wtedy nos, oko i zapowiedzieli mielonkę ze śledziona, jeśli nie oddam długu.

– Oddałeś?

– Prawie – odpowiedział w zamyśleniu Marcin – dlatego nie wiem, czemu jest mnie taki pewien. Szpieguje nas?

– O, ubrdał sobie, że już wszystko wie. A Gonia?

Tym razem Marcin popatrzył na Bertę rozbawiony.

– Naprawdę się nie domyślasz? Berto, Berto, oni ze sobą... Gonia kocha go od dawna. Kacper żyje z Gosią po godzinach i dla niego zamroziła to swoje jajeczko. Czeka, żeby wydobył się z alkoholizmu i wierzy, że to możliwe. Gośka kocha go szalenie, a on, zagorzały samotnik, wierzy w miłość. Może

i dlatego... myśli, że ja...

Chciała zapytać, co on, ale ku ich zdziwieniu z windy wysiadł Misza Boryłow. Uśmiechnął się i przywitał. W jasnym, wiosennym prochowcu, elegancki ucałował rękę Berty i uściśnął dłoń Marcina, życzył im udanego wieczoru. Nie zdążyli porozmawiać, minęli się tylko w drzwiach windy, bo Misza udał się do Kacpra, a oni do pobliskiej knajpy Rewolta, przemyśleć ów kamuflaż na jutro. Udało się im o tyle, że obmyślili krótkie gry, które potem można włączyć do dodatkowej przygody. Bercie trudno było skupić myśli, wszystko to poruszyło ją bardzo, przeżywała też wernisaż Nory. Marcin zachowywał się jak najlepszy przyjaciel, wydobył z niej zwierzenia, pocieszał, że klasyczna sztuka umiera, to muzeum współczesnego świata. Odprowadził ją w końcu na przystanek i rzucił:

– No, Berta, uszy do góry. Pieprz archaiczne wernisaże, my jeszcze świat opanujemy naszymi Wenetami. Zobaczysz w sobotę, kto tam będzie: kilku wyschłych koneserów. Zobaczysz potem Gamearenę w Kraku... Całus, mała, trzymaj się.

*

Wernisaż z aukcją obrazów i rzeźb młodego pokolenia polskich artystów zgromadził w Modern Atelier przy Marszałkowskiej całkiem sporo osób. Berta nie dziwiła się temu wcale, wiedziała, że Fundacja Młodzi Mistrzowie ma już swoją renomę i markę, cieszy się zainteresowaniem koneserów poszukujących świeżych talentów. Centrum Sztuki Nowej było znane w Europie. Sama miała kiedyś nadzieję, że wystawi tu swoje prace. Nie udało się, czas jej zabrały rysunki do gier i zlecenia, potem Maciek, od dwóch lat praca w Game Stars. Właściwie nie żałowała. Nie tęskniła tak bardzo za światem sztuki zwanej wysoką, zarabiała coraz lepiej, ale co innego pójść własną ścieżką, a co innego słyszeć o sukcesie przyjaciółki. Berta nie odezwała się do Mirki przed wernisażem. Pragnęła zrobić jej niespodziankę, tak twierdziła, ale chyba wolą unikać wcześniejszej rozmowy, odwiecznego: „Co u ciebie”. „A widzisz, super, super, tu wystawa, tam nagroda, mieszkam w Berlinie, a może w Wiedniu...”. „A u ciebie?”. „Nic szczególnego, praca, praca... dzieci nie, jeszcze nie... taka nobilitacja, prace na TEJ aukcji, gratulacje!”. Chciałaby szczerze jej pogratulować, wspominała

przyjemne chwile, zwierzenia i sympatię, która łączyła je za czasów szkolnych. Wspominała butelkę domowego wina, którą upiły się obie w pokoju cichej nauki w internacie. Miały szczęście, że dyżur pełniła zaprzyjaźniona z młodzieżą Fruzia, która ukryła je przed kierownikiem, bo za takie coś groziła im relegacja ze szkoły. Fruzia znała życie, wiedziała, że dziewczyny są w porządku, a upiły się, bo nie przewidziały mocy słodkawego, podobnego do soku, smacznego wina z krukowskich porzeczek. Młodego wina, które potraktowane jak sok powoduje torsje, toteż Mirka rzygała jak kot. Niestety – nawet to wspomnienie nie pomogło zdusić parzących płomyków zazdrości, które opanowały duszę Berty, gdy tak chodziła wśród prac swoich rówieśników, obrazów pyszniących się na ścianach, rzeźb eksponowanych na filarach i postumentach. Często ujmowały stare motywy w sposób jak najbardziej nowoczesny. Chodziła sama lub pod rękę z Maciejem, który z kolei po raz pierwszy w życiu był na podobnej imprezie. O, rywalizacja nie była mu obca – znał doskonale maratony, olimpiady, mecze i igrzyska. „Właściwie idea jest podobna: i tu, i tam chodzi o najlepszy wyczyn – tak sobie rozmyślał przed jakimś rysunkiem, którego kompletnie nie rozumiał. – Tyle że tu inaczej pachnie. Winem, kawą i perfumami. Brak ruchu poza posuwistymi, ospałymi spacerami oglądających. Wszystko trwa w zawieszeniu na ścianach. I brak logiki. Dlaczego to to ma tytuł *Ważki Mehoffera?*”. Maciej nie dostrzegwał niczego podobnego do ważki na obrazku pełnym kolorowych mazi i z granatową płamą pośrodku. W kącie przygrywał kwartet skrzypcowy, pitolił nudne według Maćka dźwięki, smętki jakieś. Po sali krążyli ciekawi ludzie – kobiety dobrze ubrane i mocno umalowane, na wysokich obcasach, w większości blondynki z doskonałymi fryzurami i opaloną skórą, połyskujące drogą biżuterią. Obok mężczyźni w garniturach, z drogimi zegarkami na rękę, czasem przemknęła postać awangardowa, kapelusz, apaszka, powyciągany sweter.

– Ty ogarniasz, kto to? – szeptem zapytał Maciej. Ucho Berty znajdowało się akurat na wysokości jego ust, zawsze uważał, że to też świadczy o ich doskonałym dopasowaniu. Uśmiechnęła się i ścisnęła go za nadgarstek.

– Tak, to ci, co będą kupować i oceniać – opowiedziała cicho – marszandzi i sponsorzy, recenzenci, niektórych znam ze słyszenia. Bardzo bogaci i wpływowi ludzie. Znamy sztuki, od ich opinii wiele zależy...

– Aha... A gdzie twórcy?

– Wyjdą dopiero na aukcję. Wtedy zobaczymy naszą Norkowicz i pewnie

jej faceta.

– Van Morenz, kochana, Nora van Morenz – przypominał jej złośliwy narzeczony.

– Dla mnie pozostanie Mirosławą Norkowicz – upierała się Berta. – Chodźmy na aukcję, zajmiemy sobie dobre miejsca. I przynieś no tego szampana, co koleś rozdaje z tacy.

– To jedno tutaj naprawdę dobre – westchnął Maciej. Udał się po szampana, a kiedy wrócił i usadowił się przy Bercie, na scenę wbiegł szalony konferansjer i zaczął swoją pracę. Maciek patrzył i słuchał w najwyższym zdumieniu. Młody aktor zadziwiał go, skakał po scenie, żonglował mikrofonem, sypał żartami i zachęcał do kupowania dzieł, arcydzieł, co tam arcydzieł: pereł malarstwa, które wytyczają trendy przyszłości w sztuce dwudziestego pierwszego wieku. Aukcja charytatywna, więc okazja, proszę państwa, okazja, która się nadarza bardzo rzadko – można nabyć za bezcen dzieło niezwykle cenne, a przy tym przysłużyć się dobrej sprawie pomocy dzieciom. A oto artyści, twórcy, młodzi mistrzowie idą tu nieśmiało, z pokorą, która przystoi mistrzom, idą szeregiem, zapraszamy, zapraszamy do pierwszego rzędu.

– Cóż to za pajac? – zapytał Maciej Bertę. – Oszalał?

– Cii – odparła przejęta. – Poprowadzi aukcję, oni muszą być właśnie tacy... Wypatruję Mirki.

Nora Van Morenz weszła przedostatnia. Zapowiedziana przez pajaca z westchnieniem zachwytu. Odczytał krótką charakterystykę jej twórczości, przygotowaną przez jakiegoś recenzenta. Maciek nic nie zrozumiał, Berta posmutniała. Chciała wstać, pomachać do niej, ale powstrzymała się i tylko wychyliła do przodu, by dobrze widzieć. Obserwowała kobietę, którą zapowiedział prowadzący jako artystkę van Morenz ze swoim mecenasem, a zarazem małżonkiem, „co w świecie sztuki zdarza się nierzadko, bo wysoka sztuka prowadzi do wysokich uczuć, a uczucia do tworzenia wysokiej sztuki” – bredził konferansjer, zachwycony swoją elokwencją. Berta wbiła wzrok w szczupłą sylwetkę, szmaragdową sukienkę do ziemi, złotą przepaskę na lokach. To była Mirka, wydanie drugie, nie dziewczę z Krukowa, tylko babka światowej klasy. Jak zawsze piękna – nosiła krótkie, mocno skręcone, jasne włosy nad wypukłym czołem. Jak zwykle mała, chociaż na bardzo wysokich obcasach, wcale nie dużo niższa od swojego partnera. Jak zwykle ściągająca spojrzenia wszystkich mężczyzn. I, o panie mój – tu Berta opadła na krzesło

i z satysfakcją oparła policzek o Maćka, ta lekka blondynka wchodziła na salę, wsparta na ramieniu... starca. Więc pan van Morenz okazał się zgrzybiałym staruchem? Owszem, czerstwym, zakonserwowanym, zadbanym... ale żadne pieniądze, masaże ani znakomity garnitur nie zdołały ukryć, że był mężczyzną koło siedemdziesiątki. W duszy Berty satysfakcja i szyderstwo walczyły z przerażeniem i współczuciem. Mirka miała dwadzieścia dziewięć lat, dokładnie tyle co ona. Mógł być jej dziadkiem, nie ojcem nawet! Przymknęła oczy, prezentowano ostatniego artystę i zaczęła się licytacja.

Sumy wgniotły Macieja w krzeselko. „Trzeba być pożądanym przez wszystkie kluby piłkarzem, żeby móc kupować sobie takie obrazki” – pomyślał. Figurka konia poszła za kilka tysięcy, a była mniejsza od jego hantla do porannych ćwiczeń. Długowłosego rzeźbiarza kłaniał się widowni i dziękował, przykładając rękę do serca. Maciej nagle przestał pogardzać *Ważkami*, bo kobieta w czarnej sukni i kapeluszu podnosiła uparcie rękę podczas licytacji i z marmurową twarzą kupiła je sobie za dwadzieścia pięć tysięcy złotych. Jej rywal, siwy gość z fajką, nie licytował wyżej. Kobieta siedziała sztywna i wyprostowana i wpatrzona w prowadzącego licytację. I dopiero kiedy padło pospieszne: „Dwadzieścia pięć tysięcy za *Ważki*, proszę państwa, dwadzieścia pięć tysięcy złotych po raz trzeci! Sprzedane pani w kapeluszu!” i młotek stuknął, dopiero wtedy odwróciła się z uśmiechem pełnym zjadliwej satysfakcji w stronę siwego i delikatnie, środkowym upierścienionym paluszkiem w czarnych mitenkach pokazała mu eleganckiego faka. Maciek nie mógł uwierzyć w to, co widział i słyszał. „Nie sądziłem, że malarstwo to taki dochodowy interes – szepnął znowu do ucha Berty. – To ty masz fach w rękę, dziewczyno!”. Ale Berta popatrzyła na niego smutno. „Tylko nieliczni tak zarabiają, Maciuś – odszepnęła. – Zanim, zanim się tu dostaną, to lata pracy, a i talentu potrzeba... też szczęścia i promotora. Ja... ja to wszystko zgubiłam po drodze”.

Maciek objął ją ramieniem i popił szampana. Szalencie na scenie zadyszany, jakby gonił pociąg, ogłosił przerwę. Kurtyna odsłoniła wejście do sali z cateringiem, lud mógł się teraz zbratać z artystami, przy tacach z minimalnymi kanapeczkami na patyczkach, przy krakersach z kawiosem i szparagach zapiekanych w cieście. Berta wzięła Maćka za rękę i dzielnie podeszli do otoczonej grupą dziennikarzy Nory van Morenz.

Mirka poznała ją od razu. Uściski i zwyczajowe: „Co u ciebie, tyle lat, dzieci nie, jeszcze nie” oczywiście nastąpiły. Pospieszne prezentacje

partnerów, tu Berta wygrywała na całej linii. Maciej jawnie zakochany, wysoki, ciemnooki, podał rękę suchemu staruszkowi w musztardowym garniaku, chudzielcowi, który podirytowany, przytupywał lśniącem butem i rozglądał się nerwowo dookoła. Był Holendrem, słabo mówił po polsku, lepiej po niemiecku, na szczęście angielski nie był mu obcy. Pospieszne gratulacje – na polu dokonań w sztuce to Mirka miała się czym pochwalić. Nie dało się zaprzeczyć, że była Norą van Morenz, miała własną pracownię w Berlinie, bo tam mieszkali, i za chwilę miała nastąpić licytacja jej trzech najnowszych prac.

– Malujesz jeszcze? – zapytała Bertę. Pytanie było raczej życzliwe, spodziewała się odpowiedzi, że tak, pewnie, ale Berta odczuła je jak pchnięcie sztyletem.

– Mało – odpowiedziała z żalem – pracuję w gamedevie, to mnie całkiem pochłania.

– O? – zaciekawiała się Nora z leciutką nutą wyższości – to ciekawe! A my wciąż w archaicznym świecie płócien i muzeów. – Zaśmiała się i pokręciła głową z niedowierzaniem. – Musimy pogadać po aukcji, co? Zależy mi bardzo na sprzedaży tych prac. – Ucisnęła ramię swojego Holendra. – Ale potem mamy kameralną kolację w żydowskiej restauracji, przy placu Grzybowskiem, tu obok. Zapraszam. Koniecznie przyjdźcie, koniecznie!

Obiecali. Maciej patrzył zafascynowany na tę ruchliwą twarz, cała Nora była jakby wibrującym cieniem i blaskiem, jak modele na jej pracach, lekkie postacie za mgłą. Zwracała uwagę wdziękiem dziecka i zmysłowością małej, zwinnej kobiety. Chciało się ją dotknąć, sprawdzić, czy jest mgłą z obrazu, czy istotą cielesną, namacalną, miękką jak owoc. Zmieszany podziękował za zaproszenie, a potem, kiedy trzy prace Nory van Morenz sprzedano łącznie za zawrotną sumę stu tysięcy złotych, pomyślał, że bez wyrzutów sumienia należy tam iść, najeść się i napić w doskonałej restauracji na koszt bogatej artystki. Nie mógł tylko pozbyć się wewnętrznego podniecenia, jakiegoś pozarozumowego pociągu do tej małej kobiety. Tym bardziej nie odstępował Berty, smutnej po aukcji, milczącej w drodze na bankiet, opowiadającej Norze o swoim życiu z jakimś zawstydzaniem. Zerkała pytająco na Fritza, męża Nory, ta jednak niczego nie tłumaczyła. Po prostu go przedstawiła, a dziarski van Morenz nawet adorował lekko Bertę, gdy Maciej tańczył z Norą. To było dziwne uczucie, nie lubił tańczyć, ale gdy pary zaczęły snuć się po parkiecie, nie mógł się powstrzymać, bo był to jedyny sposób, by jej dotknąć i w ten

sposób uwolnić się może od dziwnego dręczącego go napięcia. Moment wybrał dobry, bo akurat Berta z zapałem ćwiczyła angielszczyznę z Holendrem i jego równie starym przyjacielem. Nora roześmiała się, jej loki zawirowały, i wsunęła się gładko w ramiona Maćka. Tańczyli spokojny taniec, niezbyt blisko siebie i niezbyt daleko. W jakimś półobrocie oparła się o niego i poczuł ją prężną od bioder po piersi, przytulił na chwilę i zakręciło mu się w głowie. Rękami przytrzymał w talii kuszącą syrenę, uśmiechała się, muskała piersiami i odsuwała się, przechylała głowę w tył i przymykała oczy. Wabiła go, może bezwiednie, ale z pewnością, czuł to, był gotów przycisnąć ją mocno do siebie, przylepić się, wessać się w te wyzywające usta. Miała w sobie coś, co budziło chęć posiadania, lekkiej przemocy, takiej, by na chwilę nad nią zapanować i czerpać z tego rozkosz. Ale taniec się skończył, Maciej podziękował, wrócili do stolika, zjadł szynkę parmeńską z sałatką i poprosił Bertę, by wracali do domu. Na pożegnanie Nora zapytała ją o zdrowie rodziców. Zwykle pytanie w takich okolicznościach zmroziło ją. W wirze warszawskich spraw zapomniała o radzie Wiery, nie dzwoniła nawet zapytać, co z tymi badaniami krwi, czy matka pojechała do ośrodka zdrowia. Odparła, że dobrze, świetnie i obiecała sobie w duchu telefon do domu. Nie wiadomo czemu nagle powiedziała o ślubie i zaprosiła oboje, Norę z mężem, na wesele. Nora klasnęła w dłonie, pocałowała Maćka w policzek, gratulowała i życzyła im szczęścia.

– Masz supernarzeczonego – powiedziała do Berty. Mrugnęła i uściśnęła znacząco jego dłoń. A może mu się zdawało? Rozważał to jeszcze w szatni i kiedy umykali na przystanek, milcząc, każde zatopione w swoich przemyśleniach. Męczyli się z czymś oboje, nie mieli ochoty na rozmowę ani na seks, ten skądinąd miły wieczór w jakiś sposób zatruł na chwilę ich dotychczasową bliskość.

W niedzielę rano Maciek przypomniał o obiedzie u matki.

– Idź sam – powiedziała Berta – mam co innego do roboty. Wyciągnęła wszystkie swoje prace, stare i nowe, pozwijane w rulony, poukrywane za szafą w czarnych tekturowych teczkach. Pozawieszała nimi ściany, oglądała, analizowała, segregowała. Rozstawiła sztalugi, wyciągnęła pędzle, zaczęła gruntować nowe płótno. Maciej uznał, że najlepiej będzie zostawić ją wśród tych barw i zapachu tempery, samą ze sobą, w bezkształtnym fartuchu malarskim. Uciekł od problemu z niedosytem twórczym Berty i od własnego, z niedosytem jej przyjaciółki, do mieszkania Jolanty Znikomskiej. W jego

dawnym pokoju wisiały jeszcze stare plakaty, buty do gry w hokeja, a zapach zrazów z babką ziemniaczaną mógł ukoić najbardziej stargane nerwy. Matka patrzyła na niego badawczo, gdy z humorem opowiadał o wernisazu, cenach obrazów i współczesnej sztuce, a poza tym został, jak nigdy, do późnego wieczora. Kiedy wrócił, Berta malowała, kiedy zasypiał, malowała, nie słyszał, jak kładła się spać. Rankiem minęli się w kuchni, ona szykowała się do pracy, on na treningi, rzucił tylko okiem na płótno pod oknem. Wyłaniała się z niego jakaś postać, ale jak to u Berty – zbyt nierealna, by kogokolwiek rozpoznać. Wzruszył ramionami, o nic nie pytał, ruszyli w swoich kierunkach.

Czarna seria

Tego dnia jechali różnymi autobusami, bo on miał spotkanie z klientką przy Stadionie Narodowym, Berta zaś jechała w kierunku Służewca. Rozmyślała w autobusie o tym, co teraz robi Kacper. Sama miała pewną propozycję, żeby jednak ratować grę: przekształcić świat Wenetów w muzeum slawistyki, mediewistkę Mary w kustoszkę. Można by było użyć do lokacji przestrzeni, które już istniały. W biurze okazało się, że Marcin miał jeszcze inny pomysł, proponował przestrzeń komiksów i uproszczonych rysunków, łatwych do ściągnięcia na komórki. Poszli z tym do szefa. Kacper słuchał ich z zamkniętymi oczyma, po czym zwołał zespół i ogłosił oficjalnie, że zamykają stary projekt, a skupią się na serii minigier komiksowych. Kreują Marcin i Berta. Konwent w Krakowie w końcu maja stanowi finalny termin ukończenia prac na minigierki. *Skarb Wenetów* ląduje w koszu. Zasepieni rozeszli się do swoich komputerów z nowymi zadaniami, mniejszymi jak i ich zapal. Nad zespołem Game Starsów zawisła atmosfera zniechęcenia i nieufności, ale po godzinie Kacper zwołał do siebie Marcina i Bertę.

– Nie ustawajcie w działaniach nad Wenetami – poprosił – weźcie część prac do domu, kiedy konkura uspokoi się trochę, uwierzą, że odeszliśmy od projektu, my wytniemy z naszego zespołu tego raka szpiegostwa i ruszymy do zmasowanego ataku.

Cieszył się z ich zaskoczenia. Miał już precyzyjnie opracowaną strategię, widać, przydało mu się doświadczenie z gier wojennych.

– Dokończycie tajemnicę narodzin Wasylii poza firmą, niech na naszych komputerach nie będzie śladu... Pojedziemy na ten konwent do Krakowa, Berto, przygotuj ładny wykład o naszych metodach wprowadzania efektów multimedialnych, co? W polskim i angielskim wydaniu. Będzie się działo na krakowskiej Gamearenie. Tak bym się cieszył, żeby nie ten syf!

– Syf jest częścią życia – filozoficznie zauważył Marcin. – Ale już trzasnęło, mleko rozlane. Bomba rzadko trafia dwa razy w to samo miejsce...

– Chyba że trafisz na prawo serii – westchnęła Berta. – Tak też bywa.

Powiedziała to chyba w złą godzinę, bo obok kradzieży *Skarbu Wenetów*, niezadowolenia z własnych prac, poczucia jałowości życia, zmęczenia

Maćkiem czyhała na nią jeszcze jedna bieda. Ujawniła się w postaci przenikliwego dźwięku telefonu. Na ekranie wyświetliło się słowo „tata”, Berta przypomniała sobie, że miała dzwonić do domu, ale zaczęła malować, zapomniała... i oto dom dzwoni do mnie – pomyślała filozoficznie. A potem już niczego nie analizowała, bo to, co powiedział ojciec, przyćmiło wszystko, nawet jej wyrzuty sumienia.

– Przyjedź tak szybko, jak tylko możesz – mówił zgnębiony Jerzy Kalina. – Mama jest chora. Bardzo chora.

Światy Berty zawaliły się jak domek z kart. I ten prawdziwy, i ten z gry, i ten z płócien niedokończonych obrazów. Poczowała się małą dziewczynką porzuconą w ciemnym lesie, bezradną, narażoną na wichry losu. Popędziła do Kacpra, zrozumiał. Zadzwoniła do Maćka, zrozumiał, ale nie mógł z nią jechać, musiałby odwołać zbyt wiele treningów z klientami. Odprowadził ją na dworzec, objął na chwilę, pomachał, kiedy znikła za szybą. I tak Berta z laptopem, rozpoczęła w nim pracę, sercem łopoczącym ze strachu, wysiadła na stacji w miasteczku pod Białymstokiem. Ojciec czekał na nią jak zwykle, ale na jego twarzy znać było rozpacz i nieprzespane noce.

– Nie wiadomo co jej jest. Podejrzewają przewlekłą białaczkę – powiedział w samochodzie – zrobiła wreszcie te badania krwi, no i źle wyszły. Beatka, może potrzebny będzie przeszczep szpiku? Ja nie mam zgodności, już sprawdzaliśmy. Może ty, córka, obyś miała.

Berta płakała otwarcie w samochodzie, a pod domem zatrzymała jeszcze na chwilę ojca i zapytała:

– Powiadomiłeś Wierę? – Skinął głową.

– Wiera przyjedzie, matka czeka na nią – rzekł cicho. – Ty nie męcz jej płakaniem. Uśmiech, głowa do góry, może będziesz mogła pomóc najwięcej z nas wszystkich.

*

Berta była naprawdę przerażona. Jej matka, Anna Kalina, nigdy dotąd nie chorowała. Bywało, że bolała ją głowa albo piła sok z czarnego bzu, bo „łapało ją przeziębienie” – tak sama mówiła. Ona, Berta, chorowała w dzieciństwie sporo i pamięta postać matki siedzącą przy jej łóżku, podającą leki albo smakołyki. Ojciec spadł kiedyś z drabiny i połamał zebra, wówczas

też matka opiekowała się nim jak dzieckiem. A teraz zachorowała sama, i to od razu tak ciężko? Berta rzuciła się jej w ramiona, potem patrzyła na jej pochyloną postać krzątającą się po kuchni. Nie wyglądała źle, szczupła i blada była zawsze, teraz tylko jakaś osłabiona, poblady jej wargi. Po obiedzie Berta zaszyła się w swoim pokoju i przewalila kilkanaście portali medycznych w poszukiwaniu wiedzy dotyczącej białaczki, rozpoznania, leczenia, przeszczepów. Miejsca, gdzie tylko widniało słowo „uleczalna”, pomyślne prognozy i tym podobne optymistyczne rokowania, czytała kilkakrotnie. Strony, na których pisano o trudnym procesie leczenia i śmierci, budziły płacz i rozpacz Berty. Zeszła na kolację z zaczerwienionymi oczami, a matka dostrzegła to natychmiast.

– Nie martw się, córeczko – powiedziała – naprawdę nie czuję, żeby było aż tak źle. Wyniki nie są potwierdzone, a jutro przyjedzie do nas Wiera. Wiera zawsze miała radę na wszystko.

Berta rozplakała się jeszcze raz, jawnie, ale pokrzepiona optymizmem matki spała dobrze i długo, a nazajutrz już mogła pracować, wypatrywała Wiery, rysując obrazki do animacji. Miał się z nich złożyć filmik retrospektywny, w którym szeptucha z gry opowiada Wasylii o tajemnicy jej urodzin i o wrogach, którzy zburzyli spokój krainy Wenetów. Rysowała sekwencje dotyczące szeptuchy, postać podobna do Wiery pochylała się nad samowarem, nalewała herbatę, obracała się ku Wasylii. Potrzebne będą setki rysunków... Jak każdy filmik i ten przedłużał czas gry, pozostawiał graczkę w roli widza i na wszelki wypadek proponował funkcję „Pomiń”. Berta wiedziała jednak, że jest w nim tak, jak w jej życiu – jest coś, czego nie można pominąć.

Wiera przybyła nad wieczorem, pełna siły i kolorów, które wniosła w szary dom Kalinów. Szła od przystanku w grubym czerwonym serdaku, w wysokich butach, bo mimo końca kwietnia było chłodno i wiosna wciąż nie zazieleniła pól. Przesuwała się wśród pól jak czerwony ptak, czarnowłosa, energiczna, przyjechała autobusem i rozglądała się po krajobrazie, którego nie widziała tak dawno.

– Czemu nie zadzwoniłaś? – zganił ją Jerzy po powitaniach. – Wyjechałbym chociaż na przystanek. Kawał drogi przez pola...

– Nie szkodzi – roześmiała się zadowolona z siebie Wiera – chciałam nabrać po drodze siły, od wiatru z łąk i od tutejszych lasów. Śpi jeszcze ziemia, co? Niedobre macie dla mnie wieści? Co z tobą, Anuszka? Pokaż no mi swoje ręce i oczy... Ojoj, białe od wewnątrz jak płatki śniegu, może ty

anemię masz po prostu?

Zamknęły się w sypialni. Berta siedziała w kuchni przy stole z głową opartą na rękach, nie odbierała SMS-ów ani od Maćka, ani od Kacpra. Jej ojciec, Jerzy, chodził niespokojnie po kuchni, zatrzymywał się przy oknie, sięgał wspomnieniami do czasów, gdy byli młodzi. Czy nie dbał o nią dostatecznie? Za dużo pracowała, była delikatną kobietą... Ale Wiera zawsze miała radę, powtarzał sobie w duchu, zawsze miała radę na wszystko.

– Nie tym razem. – Wiera zasmucona zawołała ich do Anny. – Mam zioła na wzmocnienie, na lepszą energię życia. Ale nie umiem poradzić na złą krew. Anna musi iść do szpitala. Ja wiem jedno – zwróciła się nagle do Berty – że miłość może pomóc i ty będziesz mogła pomóc, ale... Anno, Jerzy, tajemnica truje i duszę, i krew. Całe życie przeszedł z tą trucizną w duszy, Ania, myślisz, że ona nie osłabia ciała, nie niszczy zdrowego snu, nie zabiera życiodajnej siły? Nadszedł czas. Powiedźcie Beacie Irinie prawdę o chwili jej urodzin. Nadszedł czas.

Rodzice Berty jednakże milczeli, a ona sama, rozczarowana wyrokiem, bo nosiła w sercu nadzieję, że Wiera przybędzie, chuchnie na matkę, odprawi modły i widmo szpitala odejdzie w przeszłość, wruszyła ramionami.

– No czas. Mówcie wreszcie, po ostatnich wiadomościach nie zabije mnie przecież opowieść sprzed tylu lat.

Wiera wysunęła się cicho z pokoju. Ojciec Berty przysiadł w kącie, a matka przyciągnęła do siebie dłoń córki, przytuliła do policzka wąskie palce z pierścionkiem od Macieja na serdecznym.

– To już będzie prawie dwadzieścia dziewięć lat temu – szepnęła – we wrześniu tyle skończysz, Beatko, prawda? Zamkniesz w przyszłym roku trzeci krzyżyk, może i czas. Za mąż wyjdiesz zaraz, tak, czas. Widzisz, przed wielu, wielu laty...

Berta przeniosła się z nią w przeszłość. Ciepły wrzesień z lat osiemdziesiątych. Kalinowie nie mieli wtedy samochodu, dom był w budowie, a Anna poczuła pierwsze bóle porodowe, kiedy wracała z ogrodu, jesiennego, pełnego śliwek i spadających na ziemię gruszek. Drzewo pełne owocu chyliło dwie gałęzie ku ziemi i Anna chciała pomóc mu, by nie złamały się od ciężaru. „Obie rodzimy, co?” – szepnęła do gruszy i zdołała nawet otrząsnąć jedną gałąź, ale zaraz poczuła ból w dole brzucha, krzyknęła, uchwyciła się drugiej i ta gałąź trzasnęła ze zgrzytem, obłamała się. Potem Anna zawsze myślała, że to był znak. Jerzy usłyszał ją i już biegł z pola, a jej matka pospieszyła do

sołtysa dzwonić po pogotowie, bo wtedy tylko w sołectwie był jedyny we wsi telefon. Karetka wiozła Annę Kalinę do Białegostoku, do kliniki, szosą w budowie i przez zaułki przedmieścia. Potem zaczęła się najgorsza noc w jej życiu. Godziny mijały, ból odchodził i powracał, chwilami traciła od tego bólu przytomność, lekarze zastanawiali się nad cesarskim cięciem. Nad ranem, kiedy zaświtało, a Anna mocno chwyciła za rękaw fartucha położnej, na świat wydostała się główka, a potem całe ciało drobnej dziewczynki.

– Beatka – szepnęła matka, szczęśliwa, zalana falą endorfin. Chwilowe poczucie ulgi i szczęścia zmąciło nowe, ostre uderzenie bólu. Spodziewała się go, wiedziała, że nosi ciężą bliźniaczą, zebrała siły.

– Spokojnie – powiedziała lekarka – drugie zawsze idzie już łatwiej... a jednak nie szło. Lekarka nacisnęła w końcu brzuch Anny i pojawiła się druga dziewczynka, dziwnie cicha, bez pierwszego okrzyku, na który czekali, jak zawsze czekają ludzie przyjmujący nowego człowieka na ten świat.

– O Jezu! – krzyknęła lekarka. – Szybko tlen, szybko, po ordynatora, mała nie oddycha. Zaczął się ruch, bieganie, pielęgniarki ciągnęły tlen, ale wiedziały, że jest za późno.

– Druga nie będzie żyła – powiedziała położna dużo bardziej doświadczona od lekarki. Jęk matki przywołał je do porządku, przecięły pępowinę, próbowały wywołać pierwszy oddech, lecz maleństwo zgasło w ich rękach, zanim zaczęło żyć. Położna podała je matce, Anna przycisnęła do piersi i do ust...

– Jeszcze teraz, po tylu latach, nie mogę przeżywać tej chwili bez bólu – mówiła Anna, ściskając rękę swojej dorosłej córki Berty. Łzy płynęły po jej policzkach potokiem, znów przeżywała stratę dziecka, sztywniejącego na jej piersi. Gdyby Berta odwróciła się ku ojcu, widziałyby, że on też płacze. Po chwili milczenia Anna powiedziała: i to cała tajemnica, Beatko. Nie przysłaś na świat sama. Miałaś siostrę bliźniaczkę, Irenkę, nazwaną po siostrze babci. Zmarła zaraz po urodzeniu i w pewnym sensie zabrała radość twoich narodzin. Trzymałam jej ciało tak mocno, że położna nie mogła mi go wyjąć z ramion, dotąd nie mogę o tym mówić. W tym czasie tobą zajmowała się pielęgniarka i kiedy wreszcie, kiedy mi ją zabrano, podała mi ciebie. Byłaś wielką pociechą, ale i ciągłym wspomnieniem tamtej. Dałam ci na drugie imię siostry, żeby żyła w tobie chociaż trochę. Ty też byłaś słaba...

– Nie myśl, że mniej cię przez to kochaliśmy – odezwał się Jerzy.

– Chyba nawet podwójne – dodała Anna – ale każde twoje urodziny, każdą

radość z nowego osiągnięcia przyćmiewał ból. A to zaczęłaś chodzić, a to pierwsze słowo, a to pojechałaś rowerem, poszłaś do szkoły... a ona? Ciągle widziałam was dwie. Czy też by już mówiła? Czy byłaby podobna do ciebie? Lekarka powiedziała mi, że tak, bardzo, byliście jednojajowe. Czy teraz rysowałyby jak ty? W dodatku oznajmiłaś, że nie jesteś Beatą tylko Bertą, że łączysz swoje imiona. A drugie nie było twoje...

Berta nie wiedziała, co myśleć i co z tym zrobić. Dowiedziała się nagle, że miała siostrę, że całe życie nosi na sobie piętno tej, która przeżyła, jakby wyrzut sumienia. Głuchy ból zakwitł w jej duszy, poczuła się winna wobec tej siostrzyczki, z którą współistniała w łonie matki, ale los rozdzielił je na samym wstępie życia. Berta wstała, nie mówiła nic, podeszła do okna. Słyszała, że matka wciąż płacze, ale wiedziała, że to z żalu za tamtym dzieckiem. Wiedziała też, że ona sama nie będzie już dawną Bertą. Wiele rzeczy zaczęła rozumieć, tę dwoistość w sobie, czasem poczucie, że ktoś w niej patrzy na świat inaczej. Może ona kochała Maćka, a częśćka Ireny w niej pokochała Michała Boryłowa? Nie rozumiała tego i świat posypał się jej w drobne kawałeczki.

– Beatka, ty niczemu nie zawiniłaś – zaczął mówić ojciec, lecz Berta zapragnęła wyjść, iść przez pola, iść, iść i nie myśleć wcale, tylko żeby wiatr wywiał z jej głowy ból. Podeszła do drzwi.

– Dla was Irena zmarła dwadzieścia osiem lat temu – powiedziała – dla mnie dzisiaj. Muszę to przemyśleć po swojemu.

Narzuciła kurtkę, schowała głowę w kaptur i poszła w kierunku pól. Jerzy chciał pójść za nią, ale zatrzymała go Wiera.

– To jest taka chwila – powiedziała – że człowiek musi być sam. Zerknęła na pozostawiony na stole telefon Berty. Nieodebrane połączenia, kilkanaście SMS-ów. Gdzieś tam daleko tętniła życiem Warszawa, w biurowcu na piątym piętrze, w mieszkaniu w praskim wieżowcu, w przepelnionych autobusach przemierzających mosty na Wiśle. Daleko.

W zaciszu miasta

W biurowcu na piątym piętrze panowała nieprzyjemna atmosfera nieufności i wzajemnych podejrzeń. Kacper zakazał wchodzenia do swojego gabinetu wszystkim poza Gosią i Marcinem. Miał za sobą naradę z Boryłowem, postanowili nie zaprzestawać pracy nad Wenetami. Od znajomych z tajnego forum szefów wydawnictw game-devowych nadchodziły krzepiące informacje. Środowisko samo broniło się przed podobnymi kradzieżami i konkurencyjna firma pod naciskiem nieznanymi sił zmieniała koncepcję swojej nowej gry, dziwnie oddalając ją od słowiańskiego pomysłu. Kacper podejrzewał, że „nieznane siły” miały coś wspólnego z Miszą Boryłowem, znajomością rosyjskiego rynku i jego finansami. Uspokoił się, ale nie informował zespołu, na razie zajęli się rysunkami do hopów i przygotowaniem do Gameareny w Krakowie. Wiedział doskonale, że trzeba będzie zapłacić za to wzmożoną pracą i ścisłym crunchem, ale na razie pochłaniało go co innego. Nie zamierzał darować zdrajcy, prowadził własne śledztwo. Ten, kto wyniósł i sprzedał ich projekt, nie znajdzie pracy w całej Europie, nawet jeśli to chory Wiesiek. Obstawiony w gabinecie dwunastoma ekranami obserwował pracowników jak Hawkins mieszkańców swojej kamienicy, czyli Baldwin w filmie *Silver*. Zaczynał poznawać ich problemy, analizował motywy, naruszał intymne tajemnice i wnikał w ich dusze. Powążył się nawet zawiesić kamerę w łazienkach, nie w samych toaletach wprawdzie, lecz przy lustrach, wpatrywał się, jak myją ręce, kobiety malują powieki i rzęsy, potrafią robić przed lustrem głupie miny, w nieskończoność poprawiać jeden kosmyk, oglądać się z boku, wykręcać, by jakoś dojrzeć tył... Potrafiły także bekać i dłubać w nosie. Podniecało go to, odezwała się w nim pasja podglądacza, a historie wizyt na stronach internetowych i korespondencję na ich komputerach sprawdził osobiście. Zaczynał rozumieć, że to nie ułomny Wiesio sprzedał ich pomysł, choć może zrobiłby to, gdyby mógł dzięki temu odzyskać władzę w członkach swojego ciała. Nie Justyna i nie utalentowany Gucio, oni mieli inne tajemnice. Umykał od nich, zatapiając się w przestrzeniach VR, gogle przenosiły go w całkiem inny świat, szczególnie upodobał sobie gry kosmiczne. Boryłow mocno go pocieszył, od nowa zaczął wierzyć, że

sukces nadchodzi. No i w związku z tym zaczynał coraz bardziej potrzebować Berty Kalinianki, więc wysyłał ponaglące SMS-y.

*

W wieżowcu na Pradze Maciej plątał się po mieszkaniu i też brakowało mu Berty. Czuł się nieswojo, czuł się trochę winny, zastanawiał się, czy nie odwołać wszystkich treningów i pojechać do Krukowa. Był już niemal gotów, ale Berta nie odbierała ani telefonów, ani nie odpowiadała na wiadomości. Dostał natomiast SMS z pytaniem, czy możliwy byłby indywidualny trening na siłowni, o osiemnastej, według stawek trenera oczywiście. Maciej odpowiedział „oczywiście” i nie byłoby w tym nic dziwnego ani emocjonującego, gdyby nie to, że pytanie przysłała Nora van Morenz.

– Chciałabym też porozmawiać po treningu, jeśli się zgodzisz – powiedziała na wstępie, kiedy tylko wyszła z szatni przebrana w srebrną sportową koszulkę i czarne połyskujące legginsy. Maciej czekał na nią w korytarzu, przy dużym oknie z widokiem na splątane ulice. Zapytał, skąd ten pomysł, żeby akurat z nim ćwiczyć... Zwykle pytał o cel, jaki stawia sobie klientka: czy chce schudnąć, czy wzmocnić mięśnie. Wiedział, że ważna jest motywacja. Nora nie potrzebowała chudnąć, wydawała się wygimnastykowana i sprężysta. Obcisły strój bajecznie podkreślał jej figurę: duże piersi i zgrabne pośladki, kobiece biodra przy wąskiej talii.

– Chciałam się poruszać pod fachowym okiem – odparła – doskwiera mi ostatnio kręgosłup. W Berlinie ćwiczę regularnie, tu od przyjazdu ani razu. A wiesz, jak jest z kręgosłupem, lepiej pod okiem fachowca.

Zaprosił ją do rozgrzewki, a potem na piłki. W ćwiczeniach rozciągających pomagał przyjąć prawidłową postawę, podtrzymywał też, gdy próbowała stanąć na rękach przy drabinkach. Nieprzypadkowo oparła się na nim kilka razy, skórę miała mimo potu atłasową.

– Nie wiem, czy potrzebny ci trener – powiedział w pewnej chwili – dawno nie miałem tak giętkiej uczennicy. Śmiało możesz zrobić szpagat, sporo ćwiczysz w tym Berlinie.

– I też z trenerem, żebyś wiedział. Uwe ma na imię. Chodzę też na dżudo, zobacz! – Chwyciła go z zaskoczenia i powaliła na materac. Zanim Maciej się zorientował, leżał twarzą do ziemi z rękami na plecach, przygnieciony Norą.

Ale opamiętał się szybko, też był bardzo wysportowany, silniejszy i honor nie pozwalał mu pozostać w podobnej pozycji. Szybko odwinął się na plecy, teraz on wykręcił jej ręce nad głowę, nagle błękitnooka blondynka, z lokami wilgotnymi nad przepaską, kropelką potu nad ustami, znalazła się pod nim. Tak jak wtedy w tańcu czuł kształt jej piersi, przyspieszony oddech, białe zęby połyskiwały w uśmiechu. Uniósł się na łokciach, cały czas więził przeguby jej rąk. Najwyraźniej nie przeszkadzało jej, że jest spocona i pokonana, uśmiechała się prowokująco. Gdyby byli sami... ale nie byli, o tej porze w zwykły dzień tygodnia całkiem sporo osób zaglądało do fitness klubu. Z drugiej sali przyglądali się im inni ćwiczący, właściwie przyglądali się Norze, była zmysłowa i kusząca w tym srebrno-czarnym stroju, który pokazywał każde zagięcie jej ciała, a teraz dokładnie oblepiał sterczące sutki. Była bardzo ładnie zbudowana.

– No to chyba starczy na dzisiaj – powiedział wesoło Maciej. – Dobra z ciebie zawodniczka, Noro. I pewnie marzysz o prysznicu.

– Pójdziemy na kolację po treningu? – zapytała przyciszonym głosem, obejmując go w pasie. – Chciałam się popytać o to i owo. Berty nie ma, prawda?

– Wyjechała do Krukowa. – Wydostał się z jej rąk i zawiązywał już buty, wściekły na siebie, bo pożałował tej kobiety i z trudem udawało się to ukryć. Próbował przypomnieć sobie oczy Berty, ale nie pomagało, oczy były daleko, apetyczne piersi Nory blisko. Na wyciągnięcie dłoni. Odwrócił oczy i niemal zawołał: kolacja? No pewnie, że tak, no to chodźmy do szatni.

Szatnie męskie były oddzielne, a tuż obok nich drzwi do pryszniców i sauny. Skoczył pod prysznic i wszedł na chwilę do sauny po stronie męskiej. Wiedział, że ma czas, nie spotkał kobiety, która wyszłaby spod prysznicza po treningu szybciej niż po piętnastu minutach. Polał gorący kamień wodą z ziołami, położył się na chwilę owinięty białym ręcznikiem na biodrach, zamknął oczy. Skrzypnęły drzwi, ktoś usiadł obok. Maciek zdziwił się, bo męskie szatnie były puste, wszyscy ćwiczyli.

– Można się przyłączyć? – Usłyszał głos Nory, zmysłowy, niski jak na tak drobną kobietę. Co ona tu, u licha, robi? Czemu weszła do męskiej sauny, babki miały swoją po drugiej stronie. Okrył się szczelniej ręcznikiem, usłyszał jej przyciszony śmiech.

– Już byłaś pod prysznicem, tak szybko? – zapytał. Zaskakiwała go na każdym kroku.

– Nie byłam wcale – odpowiedziała bezwstydnie – uważam, że mój pot ładnie pachnie. Że kobieta ładnie pachnie bez mydeł i pianek.

Siedziała obok naga, figlarna. Wsunęła rękę pod biały ręcznik i zaczęła bawić się dotykiem. Pomasowała delikatnie łydki Maćka, potem obdarzyła uwagą kolana, posuwając się nieuchronnie ku górze. Maciek, zbity z tropu, znieruchomiał, leżał i wsłuchiwał się w siebie. Nie całkiem jednak zamarł, bo kiedy miękka dłoń Nory wkradła się między uda i ogarnęła jego jądra, nie miał wpływu na swoje podniecenie i gwałtowną erekcję. Roześmiała się znowu.

– Jesteś wspaniały – szepnęła – ale ja też, zobacz. Poprowadziła rękę Maćka w swoje najintymniejsze miejsce, pod kępkę krótko przyciętych włosów, tam, gdzie kryło się gładkie, wilgotne wnętrze.

– Tylko dotknij – szepnęła – poczuj to ciepło. Cudowny zakamarek, no nie?

Mógł tylko potwierdzić i poczuł się jeszcze bardziej naprężony i spragniony. Odgadywała jego myśli. Chciał ją pocałować. Pochyliła się nad nim i wpiła mokre wargi w jego usta, cały czas masując jego nabrzmiałą męskość. Nie wytrzymał, też pieścił jej zakamarek, obrysowywał palcem i delikatnie uciskał łechtaczkę. Nagle przestała go całować, zsunęła się z jego ręki, zsunęła wargi z jego ust, sięgnęła po olejek stojący przy konchach z ziołami. Cały czas naga, on cały czas w ręczniku i oszołomiony tym, co się działo. Nie był w stanie jej powstrzymać. Szepnął jednak:

– Co ty robisz, Nora? Nie powinniśmy. Drzwi od sauny nie zamykają się od środka...

– Tym większy fan – odparła, smarując olejkiem swoje piersi. Nie bądź tchórzem. Tylko się trochę popieścimy. Ty zresztą wcale się nie ruszaj, tylko ja, tylko pieszczoty, obiecuję.

Zastanawiał się, czy przetrwa te pieszczoty i nie rzuci się na nią. Pieściła go dłońmi gładkimi od olejku, jej ręce tańczyły, zachwycaly się jego prężną erekcją, skupiła się tylko na członku, zaczęła dotykać go śliskimi piersiami, wsuwać go między nie i wysuwać, a kiedy uniósł się i sięgnął do niej, stanowczo odsunęła jego ręce na boki i uklękła nad nim, kolanami obejmując biodra.

– Nie wytrzymam tego – sapnął Maciej. Czuł, że chce ją przewrócić i pojąć, być w niej, chociaż raz, a potem wielokrotnie aż do ugaszenia pożądania, do zejścia tego napięcia, które wciąż w nim rosło. Nieważne już było, czy ktoś wejdzie, nawet nieważne, czy Berta dowie się o tym, czy nie. Nora ujęła główkę penisa w palce, dotykała się nim delikatnie, pocierała

wnętrze warg sromowych, na sekundę zanurzyła w sobie płytko, ale gdy chciał to powtórzyć, wycofała się szybko i nie wpuściła go w siebie. Zadośćuczyniła jego pragnieniom inaczej.

– Jesteś wielki – szepnęła, obejmując główkę członka miękkimi wargami, przesuając w górę swoje biodra. Zamierzała ułożyć się tak, by oboje mogli popieścić się oralnie, ale wtedy za drzwiami dał się słyszeć szum wody i szuranie kłapek. Nora błyskawicznie zmieniła pozycję, położyła się niewinnie i grzecznie obok Maćka i przykryła ich oboje ręcznikiem. Intruz nie wchodził do sauny, kręcił się przy umywalkach. Nora pochyliła się nad Maćkiem, pulchne piersi łaskotały go w pierś, jedną dłonią zasłoniła mu usta, a drugą gładko i rytmicznie znów pracowała przy jego męskości, aż doprowadziła go do orgazmu przy zduszonym pod pocałunkiem jęku. Sama sapnęła solidarnie, bo jego rozkosz sprawiała przyjemność także jej. Intruz nasłuchiwał chwilę, po czym wyszedł. Nora roześmiała się, wstała, owinęła się jego ręcznikiem i pocałowała w podbrzusze, ale nie dała złapać się i przyciągnąć do siebie.

– Jesteś mi teraz coś winien. Myśl tylko o tym – odsłoniła ręcznik, uniosła nogę wysoko w nieprzyzwoitym geście odsłaniającym białe ciało ukryte w owłosionym łonie. Zobaczył jasny puch z zaróżowionym wcięciem jak przekrojony owoc – będzie niespełniona czekać na ciebie, tylko o tym myśl. Ale teraz kolacja, obiecałeś.

Myślał tylko o tym, jakby rzuciła klątwę. Bezczelnie ubrała się, nie korzystając z prysznic, wydawało mu się, że cały czas czuje od niej zapach seksu. Już ochłonał, już rozmawiali tylko o przeszłości, jej obecnym życiu w Berlinie, aukcjach sztuki, już powiedział jej nawet, że przeprasza, że dał się ponieść, żeni się i w ogóle to się nie powtórzy. Ona na to, że nic nie szkodzi i tak naprawdę nic się przecież nie stało, nic poza drobną pieśczołą nie miało miejsca.

– Macanka bez znaczenia, Maciek, przestań, nawet nie byłeś w środku, prawie mogłeś zrobić to sam. – Uśmiechnęła się filuternie nad szklanką z zimnym koktajlem, pogłaskała go pod stołem po rozporoku. – No nie? Nie zamierzam cię zabrać Bercie, jestem absolutnie niegroźna. Tylko trochę niedopieczona, na wyjazdach potrzebuję małej rozrywki. Ale wiesz... – Ujęła w drobne palce winogrono i podała je Maćkowi do ust. – Jak to: się nie powtórzy? Jesteś mi coś winien. Jeden orgazm, bez penetracji, tylko przez pieśczołą... ciekawe, jak to zrobisz. Będę o tym śnić.

Nie mógł spać, jeść i nie mógł myśleć o niczym innym jak te słowa, jasny trójkąt włosów z widocznymi wargami sromowymi, prężne okrągłe uda, śliskie piersi. Małe, zarozumiałe usta, chciał je także zasłonić dłonią, by zagłuszyć krzyk rozkoszy. Pożądanie splatało się w nim z wyrzutami sumienia. Czuł się podły, ale wiedział, że chce spotkać się z tą seksowną malarką drugi raz. Umówili się zresztą na trening nazajutrz. Obmyślił plan. Postanowił zabrać ją do hotelu, rozebrać i posadzić naga gdziekolwiek, na łóżku, fotelu, na parapecie okna, rozsunąć jej nogi i spenetrować mocno, aż będzie krzyczeć z rozkoszy, bez głupot z pieszczotami za zasłonką prysznicza. Już miał zamówiony pokój, ale nie przyszła na trening. Zadzwoił, nie odebrała. Po kwadransie dostał SMS: „Przepraszam, musiałam pilnie wyjechać. Ale pamiętam o twoim długu. Ściskam cię, dotykam, całuję, pieszczę tam, gdzie wiesz. Mocno. Nora”.

Nie skasował tego SMS-a i wiedział, że nie skasuje tego epizodu ze swojej pamięci. Niemniej, kiedy mijały dni, chodził po mieszkaniu, w którym spinki Berty przewracały się na półce pod lusterkiem, jej rajstopy wyskakiwały z szuflad, a malowidła zerkały ze ścian, śmiech chwilowej kochanki zniknął, a strach o utratę tego, co w życiu ważne, narastał. Słyszał jej słowa, ale coraz wyraźniej: „Nic nie było”, a to: „Jesteś coś mi winien” coraz słabiej. Zaczął wstydzic się swoich myśli, martwić się o Bertę, dzwonić i dzwonić do niej, aż odebrała.

– Wracaj albo zaraz biorę od matki samochód i jadę po ciebie! – zagroził.
– Wystarczy, jak wyjdiesz na dworzec – odpowiedziała – jestem w pociągu, właśnie miałam dzwonić.

Całował ją jak wariat już na peronie, w usta, policzki, powieki i w czubek głowy, niemal zaniósł do taksówki, w taksówce jak szaleniec przytulał i znów całował szyję i włosy.

– Tak bardzo cię kocham – mówił – nie możesz wyjeżdżać na tak długo.

Berta była zadowolona, ale myśli jej wciąż krążyły wokół tego, co wydarzyło się w domu, co powiedziała Wiera. Nawet kiedy kochali się gwałtownie, zaczynając już drzwiach mieszkania, nawet wtedy najważniejszą sprawą było to, czy matka wymknie się szponom choroby. Przemykając oczy do snu, przypominała sobie ten dzień.

Anna Kalina po tym, jak wyznała córce tajemnicę jej narodzin i głośno opowiedziała o śmierci jej bliźniaczej siostry, uspokoila się i zasnęła. Berta wyszła wtedy do kuchni, w której Wiera zarządziła sprzątanie, bo przy chorobie Anny schludna zwykle kuchnia zmieniała się w magazyn brudnych naczyń i rozrzuconych przedmiotów. Przez głowę Berty przebiegł pomysł, że mogłoby to być zadanie w grze: dopasuj przedmioty do swoich miejsc, niech przestrzeń odzyska dawny ład. Zdobyty przedmiot: rondel z pożywieniem. Wiera znakomicie wykonała zadanie: jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki pozmywała, poustawiała sprzęty, zamiotła. Przyrządziła herbatę i podała w malutkich filiżankach.

– Chcesz pewnie pogadać, co? – zapytała Bertę – coś ci powiem, moja krasawico. Siadaj. Nie płacz. Dobrze, że ty wiesz, co się stało. Mieć porońca w rodzinie trudna rzecz. Ty rysujesz świat słowiański, więc wiesz, ty żyjesz już tyle lat jak ta strzyga... dwie dusze w sobie nosisz, dwa serca, a to trudne. Ja chciałam, żebyś ty od dawna znała prawdę, od małego. Dlatego może Anna nie chciała mnie widzieć prze te lata...

– Wiero, czy ona umrze? – zapytała Berta przez łyzy. Dlatego strzyga nad Wasylią tak była do niej podobna. Ale strzygi i porońce tak bardzo jej nie martwiły jak stan matki.

– Każdy umrze – odparła Wiera – ale kiedy? Dużo zależy od tego, czy ona zechce żyć. Anna to matka. Żona dobra z niej, gospodyni, ale jej treść życia to matka. Trudno jej było żyć po stracie dziecka. Może poszłaby z nim... a tu drugie wołało, więc została. Ale nie pożegnała się porządnie, truła duszę i może dlatego choroba ją dopadła. A może i bez tego by przyszła. Kto wie, może ona chce już iść w zaświaty, teraz, jak ty dorosła, tamtą się zająć... Niezbadane wyroki. Ale zobaczysz, wyznanie prawdy zmniejszy poczucie winy i tobie też łatwiej będzie...

– Jakiej winy? Kto temu winien? No chyba nie ja? – Berta przez chwilę poczuła niechęć do zmarłej siostry, Wiery, a nawet do matki.

– Winy, winy – pokiwała głowa Wiera – jednemu dane życie, drugiemu nie. Ty zabrałaś wszystko: dom, rodziców, ty dostałaś noce i dni, przyjaźń, talent, a teraz miłość... imię jej dostałaś. Urodziłyście się we wrześniu, ona umarła, ty przeżyłaś. Dlatego nie bierz ślubu we wrześniu, Beato.

– Nie wiem, czy w ogóle wezmę w tej sytuacji – westchnęła Berta. – Jak mama nie wyjdzie z choroby, to żadnych ślubów nie będzie, bo jak? Nie możesz jej pomóc?

– Będę pomagać, no tak. – Wiera zamglonym wzrokiem popatrzyła w okno.
– Dam jej zioła i energię. Dam napar dobry. Ale najbardziej pomożesz jej ty i miłość. Daj mi rękę, powrózę ci.

Wiera stała się nagle szeptuchą, trzymała swoją chrześnicę za puls, spłotły palce, rytm krwi wyrównał się w obu ciałach, przez chwilę splątała się nitka życia obu kobiet. Mówiła jak w transie:

– Najtrudniej będzie dokonać wyboru. Kilka jest dróg przed tobą i zadań do wykonania. Miłości wokół ciebie dużo. Będziesz potrzebować mądrości i wybaczenia. Pan moźny koło ciebie, on pomoże, ale ty mu za to nie płac miłością, bo miłość to nie grosz... Ułomny obok ciebie, za nim nie płacz. Zdradziła was kobieta. Fałszywej przyjaciółce przebac, nie jest szczęśliwa. Będziesz musiała uciekać, uciekać. – Nagle Wiera popatrzyła rozumnie, jakby się przebudziła, i przetarła oczy. Berta, zdumiona, niepewnie zabrała rękę. Prawdę mówiąc, niewiele rozumiała z tej gadaniny, herbata wystygła, a dwóch najważniejszych spraw: zdrowia matki i kwestii ślubu z Maćkiem szeptucha nie wyjaśniła wcale.

– Bo to ty sama je wyjaśnisz – roześmiała się. Od czasu do czasu jednak czytała ludziom w myślach. – Nie dziękuj, dawaj grosik, za wróżbę trzeba. Mnie pora wracać do siebie, Jerzy, obiecałeś odwiedzić. Te zioła jej podawajcie, dwa razy dziennie po posiłku, a jak będą wyniki z laboratorium, powiadomcie i mnie. Moim zdaniem, najważniejsze znaleźć dobry szpital. Nie martw się, Jerzy, krew Beaty zgodzi się z krwią Anny, jeśli będzie trzeba.

Czy zadziałały zioła Wiery, czy ulga po wyznaniu tajemnicy, dość, że Anna Kalina poczuła się lepiej, nabrała nawet apetytu, a stwierdziwszy, że dania przygotowane przez córkę i męża przypominają bibułę, wstała i zaczęła krzątać się w kuchni. Rozpoznała rękę Wiery, nad pachnącym sosem z grzybów wspominała dawne czasy, gdy były młodymi kobietami i matkami, gotowały razem, śmiały się i płakały. Westchnęła, obiad zrobiła znakomity, a potem przytuliła córkę.

– Całe życie byłaś mi pociechą i nie umrę, zanim nie zobaczę cię w ślubnym welonie, Beatko – oznajmiła spokojnie, poprawiając córce włosy. – A teraz jedź do siebie, do Warszawy, bo widzę, że wciąż coś czytasz w komórce i pewnie masz mnóstwo spraw. I Maciej... – Maciej Maciejem – pomyślała Berta – ale Game Starsi wzywają mnie już poważnie. Kacper alarmuje, jakby przeczuwał apokalipsę.

Uściskała matkę i ojca, obiecała dzwonić codziennie, oni, że natychmiast

dadzą znać o następnych wynikach, i tak znalazła się w pociągu, potem w objęciach Maćka na dworcu, potem w tychże objęciach w mieszkaniu na ósmym piętrze, a nazajutrz w objęciach Marcina i kolegów na piątym piętrze biurowca. A potem na szlaku Wasylii, która przecież weszła do domu szeptuchy.

Masz dwa serca

W jasnym pokoju, przy płomieniach z pieca, przy stole okrytym barwną serwetą, Wasylia prosi odmłodniałą szeptuchę o wspomnienie. O opowieść z dawnych czasów, kiedy groźba rycerzy z zachodu i łuna nowej wiary nie zagrażały jeszcze Wenetom, Cyryl i Metody ledwie wyruszyli na swoją misję, spokój panował na polanach i przy ogniskach, a dzieci bawiły się pod lasem w pliszki. Panował wówczas młody książę Budrym, który pojął za żonę śliczną córkę władcy dalekiego koczowniczego plemienia. Wzbudzała powszechny zachwyt, bo plemię to różniło się od Wenetów urodą, i tak jak dziewczęta Wenetów były błękitnookie i Inianowłose, tamtejsze kobiety i mężczyźni często rodzili się obdarzeni rudymi krętymi włosami, oczami zielonymi lub o barwie orzecha. Taką rudą księżniczką o mlecznej skórze ozdobionej piegami była młoda żona księcia Budryma... Szeptucha godzi się na to wspomnienie. Graczka Mary ogląda film z przeszłości. Nad słonecznymi łąkami Wenetów gromadzą się stada ptaków. Przez pole idzie Południca, jasnowłosa dziewczyna w białej sukni, z sierpem w dłoni. Towarzyszy jej siedem czarnych psów. Zbliża się do polany, na której tańczą i bawią się panny Wenetów z młodą żoną Budryma w środku kręgu. Południca widzi, że ruda kobieta oczekuje dziecka, mruży oczy, księżna potyka się o kamień. Jest samo południe upalnego letniego dnia. Psy szczerzą zęby, gotowe dopaść dziewcząt, ale Południca zatrzymuje je gestem ręki. Wpatruje się w młódki, szepce nieznanne słowa, odwraca się i znika. Odchodzą za nią psy, ptaki odsłaniają niebo, ale szczęście umyka z wioski Wenetów. Żona księcia rodzi długo i bardzo cierpi. Rodzi dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Chłopiec jest słaby i chory, umierający. Zjawia się Południca, będzie żył, mówi, ale za życie żądam życia. Żona księcia umiera, Południca zabiera chłopca i znika, a kobiety podają księciu córeczkę. Dziewczynka dostaje imię Wasylia. Jest prężna i zdrowa. Jednak rośnie odcięta od swojej drugiej połowy, mówi czasem, że ma dwa serca, dwie dusze jak strzyga, czym budzi

postrach i przerażenie, bo ludzie boją się strzyg. Podobna do matki dziewczyna zachowuje się jak chłopiec, znakomicie strzela z łuku, poluje i bierze udział w pojedynkach. Wciąż jednak ma poczucie niedosytu, szuka czegoś lub kogoś.

– Co się stało z chłopcem, co z moim bratem? – pyta Wasylia szeptuchę w chacie, kiedy wracają z kadru wspomnienia – czy żyje?

– Żyje i jemu należy się władza po ojcu. Ty musisz go odnaleźć. Ty musisz pokonać Południcę, inaczej ona pokona ciebie, zwiedzie i zauroczy rycerza i misjonarza i twojego narzeczonego...

– Czemu mnie nienawidzi, kim jest?

Szeptucha pochyla się nisko nad twarzą Wasylii. Południca to panna młoda, która zmarła tuż przed ślubem. Z żalu za utraconym życiem i miłością mści się na ludziach. Każda.

– Ta Południca... – Szeptucha ścisza głos. – ...Ta miała być żoną twojego ojca, póki Żertwa nie znalazł mu bardziej politycznego ożenku, twojej matki. Zmarła z żalu i miłości, a teraz zabrała mu syna.

– Jak ją pokonać? – szepcze Wasylia.

– Masz dwa serca, masz dwie dusze w sobie. Szukaj swojego brata Wasyla.

*

– No, no, to ty też masz niezłą wyobraźnię – przyznał Wiesiek, kiedy Berta zaproponowała taką wersję zdarzeń. – To nie ja, to życie – westchnęła zadowolona Kalinianka. Marcin chwycił ją za rękę i zapytał, nagle poważny i zaniepokojony, co się stało w Krukowie. Coś nie tak w domu?

– Nie, nic takiego. – Berta roześmiała się sztywno. – Może po prostu miałam czas na poczytanie o słowiańskich wierzeniach? Może wychodzę za mąż i przeraża mnie mit o Południcy, nie chcę umierać przed ślubem. Może boję się o kogoś bliskiego? Nic takiego...

Zgromadzili się nad nią ciekawi, a Berta nie zniosła dłużej napięcia i nagle wybuchła płaczem. Z gabinetu wyszedł jak niedźwiedź z jamy zaciekawiony Kacper, dopytując się, co się, u diabła, stało, że nie pracują, a żeby dopełnić miary jej wpadki, w drzwiach sali stanął Misza Boryłow. Berta zanosła się

płaczem jeszcze głośniej i chciała uciec, ale Marcin zatrzymał ją, mówiąc: „wypłacz się, wypłacz, dziewczyno, kto cię gorzej pocieszy niż my, ludzie gry?”. Kacper chciał dyskretnie odciągnąć Boryłow do gabinetu.

– Nie, nie – powiedział Misza – jestem w zespole, no tak? Mów Berto, co się stało?

Czuła się jak mała dziewczynka, opowiadając im przez łzy o chorobie matki i o tajemnicy, jaką poznała w czasie pobytu w domu. Słowa płynęły potokiem, Berta poczuła, że taki team to druga rodzina, chciała, by ją zrozumieli, żeby wymyślili natychmiast, co robić z tym wszystkim, bo nagle spadło jej na głowę jak sopel lodu... Nie wspomniała jedynie o chrestnej matce, nie była pewna, czy nie uznaliby szeptuchy w tej roli za ciemny zabobon. Dziwnie byłoby mówić o tym na piątym piętrze nowoczesnego biurowca o szklanych i metalowych ścianach, pełnego komputerów, tajemniczych sygnalizacji i elektroniki. Być może ci ludzie – istoty jutra – pomyśleliby, że miesza się Bercie świat gry z realnym. Ale z zazdrością i żalem w głosie opowiedziała o wernisażu szkolnej przyjaciółki.

– Nora van Morenz to twoja koleżanka? – zapytał zaciekawiony Misza Boryłow. – No, no! A ja znam jej męża. Słynny marszand, ona też jest już dość znana w Berlinie. Utalentowana i namiętna kobieta, tak mówią.

– A tak – z goryczą rzuciła Berta – koleżanka. Siedziałyśmy w jednej ławce i mieszkaliśmy w jednym pokoju w internacie. Jest z tego samego plastycznego ogólniaka co ja. Pamiętam jej pierwsze romanse i kace. Mirosława Norkowicz tak naprawdę. Tylko ona lata po wernisażach i zgarnia jakąś megakasę za obrazy, a ja...

– A ty robisz gry? Z takimi artystami jak my? – zapytał drwiąco Marcin.

– Nie to chciałam powiedzieć. – Głupio się jej zrobiło. – To zresztą najmniej ważne, oddam wszystkie wystawy za zdrowie mamy. Podejrzewają białaczkę, rozumiecie to? Białaczkę, raka!

– I to jest prawdziwy problem – zgodził się z nią Misza. – Ale nie płacz już, Berta, może ja coś pomogę. Przynajmniej w dobrej diagnozie.

– Jak możesz pomóc? – Zrezygnowana Berta chciała już zakończyć swoje zwierzenia. Teraz zaznała ulgi, ale i zażenowania. Że też tak puściły jej nerwy, przed wszystkimi, z tym całym Miszą na czele. Wstyd.

– O, mam znajomości wykraczające poza świat gier – rzekł z uśmiechem. – Mój rodzony brat jest lekarzem w Szwajcarii. Szefem oddziału. A poza tym mam spore wpływy w prokuraturze i organach zwalczających przestępstwa

przemysłowe. I z tym do was przybywam... Prace konkurencji nad plagiatem naszej gry zostały definitywnie zatrzymane. Konkurenci dostali oficjalny zakaz. To oni teraz przekształcają projekt, w obawie przed odszkodowaniem. Wracamy do Wenetów. Zadowoleni?

Szmer aprobaty przebiegł przez pokój. Misza spotkał się wzrokiem z Kacprem, skinął głową i wyszli do gabinetu szefa. Pytanie, kto wyniósł tajemnice, pozostało nadal bez odpowiedzi. Wyglądało na to, że Boryłow wie i że oświeci zaraz Kacpra. Wszyscy zatem czekali, aż panowie wyjdą i wskażą winnego. Nie doczekali się jednak. Kacper owszem, odprowadzając gościa, rozgonił ich do komputerów, bo w tej sytuacji trzeba nadrobić stracony czas i nie wiadomo po co robią zgromadzenie w sali zamiast pracować, pracować... Misza podszedł do Berty i podał jej adresy mejlowe, na które miała wysłać skany wyników matki. Uścisnął jej dłoń, jakby nic wielkiego nie robił, a ona popatrzyła na niego z wdzięcznością. Kacper gorączkował się w sekretariacie, przypominał o targach w Krakowie, po raz kolejny zmieniał skład delegacji. Misza Aleksandrowicz roześmiał się i szepnął Bercie, że też będzie na targach, i dodał: „Miejmy nadzieję spotkać się tam w lepszych humorach, Berta Jurjewna”. Wiele będzie za nami, ot, wiele.

Miał trochę racji, bo sporo spraw wyjaśniło się do czasu krakowskiej Gameareny, ale nawet on nie wiedział, jak wiele jeszcze przed nimi.

*

Wsiadali do pendolino w naprawdę świetnym nastroju. Berta pożegnała Maćka rano, spał jeszcze, kiedy odcisnęła mu solidny pocałunek na ramieniu, a potem musnęła po ustach. Zamruczał, ale nie przebudził się, odwrócił się na drugi bok. Zastanowiła się nawet, czy przypadkiem ostatnio, odkąd wróciła z Krukowa, odkąd ślub jest pewny, nie przygasł nieco ogień ich namiętności? Jeszcze pół roku temu, po takim pocałunku, Maciej nie spałby ani chwili, znieścacka pochwyciłby ją i wciągnął do łóżka. Nie wypuściłby jej do Krakowa bez choćby krótkiego, szybkiego, ale intensywnego seksualnego spięcia, „pospieszny” albo chociaż „ekspres,” jak mawiał. Mimo przeżyć ostatnich tygodni chyba tego oczekiwała, dlatego pochyliła się nad nim jeszcze niekompletnie ubrana, z pewnym zapasem czasu. Liczyła na jego prędkie ręce, sportową gotowość, ale się nie przebudził, a ona nie miała czasu na dłuższe

kuszenie. Wskoczyła w dżinsy, dopięła pasek i znikła w drzwiach, usiłując przypomnieć sobie, ile razy kochali się od jej powrotu, od tego gwałtownego, zmysłowego powitania... Najpierw ona nie miała do tego głowy, bo wciąż myślała o matce. Potem Maciek wyjeżdżał na turniej, teraz ona ma tę Gamearenę... Raz. Tylko raz. Obudzili się razem przed świtaniem, szukali się przez chwilę i pieścili tradycyjnie, a potem poddali się harmonii misjonarskiego seksu i spleceni jak zwykle, usnęli.

– O co chodzi? Czy tak zmienia intymność ludzi kwestia ślubu – zastanawiała się Berta już w taksówce. – Czy jako „pewniak” jestem mniej atrakcyjna?

Nie miała czasu na dalsze refleksje, bo na peronie witała ją głośniejszymi okrzykami grupa Starsów. Byli już wszyscy, z plecakami lub walizkami na kółkach, Edzia ziewająca w kołnierz prochowca, Gucio gadający do komórki jak katarynka, Liszka w słuchawkach, Marcin ze szkicownikiem. Weszli do przedziału i całkowicie pochłonęła ich tematyka targów, stoiska, koszulek z logiem i promocji gry. Berta z ulgą poddała się dyktatowi pracy, mogła jechać z lżejszym sercem. Wyniki badań krwi, które w przeddzień przysły ze szpitala w Białymstoku, nie były jednoznaczne, ale nie były też wyrokiem, i poleciały internetem do kliniki w Szwajcarii na konsultacje z tamtejszymi specjalistami. Boryłow wbiegł lekko spóźniony, wskoczył lekko na schodki pociągu, niemal w ostatniej chwili, ale powiedział jej od razu, że brat już dzwonił: na pierwszy rzut oka nie jest źle. Berta omal nie rzuciła mu się na szyję, teraz naprawdę mogła oddać się przyjemności podróży do grodu Kraka, i z wdzięcznością rozmawiać z Boryłowem, który zdecydował się jechać z nimi pendolino, wziął od niej bagaże, umieścił je na półce, zabawiał ją przy oknie niezobowiązującą rozmową. Był lekiem na każde zło, wyraźnie wyróżniał Bertę i zwracał na siebie uwagę kobiet w całym wagonie.

Kraków przywitał ich mgłą i wiatrem. Kacper w swojej manii oszczędzania sprawdzał linie autobusowe, ale Boryłow zawołał szybko dwie taksówki, dzięki czemu zaraz znaleźli się w hotelu, sieciówce średniej klasy. Za to zamieszkało tu chyba całe środowisko gamedevu z Polski i Europy, bowiem konwent był imprezą międzynarodową. Pełno rozgadanych ludzi w holach i w recepcji, pełno barw i dźwięków. Bercie podobał się ten klimat, cudzoziemcy w windzie, ich otwartość, angielskie, niemieckie słowa, dziwaczne stroje. Ogromna przestrzeń w pawilonach areny. Tu, w hali wystawienniczej, napracowały się mocno. Przygotowanie stoiska, plakat

z logo firmy w tle, stosy ulotek – wszystko to przypadło w udziale dziewczynom, bo mężczyźni, od Gucia począwszy, na dyrektorze Boryłowie skończywszy, znikli gdzieś jak kamienie potopione w słowiańskim stawie. Dziewczęta uwijały się szybko, bo miały wprawę po konwencie w Poznaniu. Ułożyły wokół stoiska gwiazdną ścieżkę na wzór planszówek, rozwiesiły plakaty sławiące Game Starsów i Wriemia Igrы, po czym wyruszyły na przegląd innych stoisk. Impreza dopiero się rozkręcała, szczyt odwiedzających przewidywano na sobotę, ale ogromny ekran w centralnej sali już działał i ukazywał reklamy i recenzje gier wyprodukowanych w minionym roku. Gromadzili się pod nim ludzie z branży. Bertę pociągały stanowiska do gry w VR, fotele i specjalne gogle, które zabierają gracza w inny świat.

– Zobacz – powiedziała do Edyty – podróż teraz przybrała nowy wymiar. Kacper jest fanem VR, opowiadał, że w takiej grze *Dark Travel* znajdujesz się w ciemnym korytarzu i musisz wybrać odpowiednie drzwi. Trafiasz, dobrze, przemierzasz piękne ogrody, szukasz ukrytych owoców. Nie trafiasz – spadasz w tunelu w czarny dół, dół, dół...

– To podobne do Kacpra – westchnęła Edzia. Była ostatnio cicha i smutna. Berta zastanawiała się, czy może jest w ciąży albo przeciwnie – zerwała z tym dobrze rokującym facetem, ale Edyta była skrytą osobą i nie opowiadała tak łatwo o swoich sprawach. Zajmowały pokój hotelowy we trzy z Gosią, może wieczorem dadzą się skusić na zwierzenia, myślała Berta. Tymczasem zerkały na hostessy organizatora konwentu w przedziwnych kostiumach. Mijały je ogoniaste lisice o uszach trolli w gorsetach i rękawiczkach za łokcie oraz bojowniczkę w kozaczkach z pejcem w ręku rozdające ulotki. Postaci z gier i komiksów żyły tu na równych prawach z istotami jak najnudniej realnymi.

– Wszystko uszyłam sama – opowiadała dziennikarzowi do kamery dziewczyna w kociej masce na twarzy, srebrnej sexy zbroi, oparta na mieczu. Pokazywała kunsztowny ogon, poruszający się majestatycznie wraz z ruchem jej bioder. Tłum narastał, wokół kociej wojowniczkę zebrała się grupka ciekawskich. Kocica zaczęła pozować do zdjęć Japończykowi, przyjmując bojowe postawy i mierząc mieczem w pierś dziennikarza.

– Zobaczysz jutro, co tu się będzie działo – szepnęła Edyta.

– Jutro utoniemy w fali ludzkich i nieludzkich ciał – odpowiedziała Berta – Brr. Jutro umrę, bo w sali dwieście dwadzieścia trzy mam wygłosić wykład, po angielsku, o innowacyjnych inwersjach w naszej grze, a wierz mi, mało miałam serca do tematu... zemdleję jak student nad mózgiem w prosektorium,

nie?

– To ja cię ocucę – obiecała Edzia – wracajmy, bo kolacja z teamem czeka na nas w Piwnicach, jeśli chłopcy wrócili już z nocnej wycieczki.

Chłopcy wrócili, kolacja w restauracji ukrytej w podziemiach hotelu okazała się imprezą integracyjną, bo kilkanaście ekip wpadło na podobny pomysł, by właśnie w Piwnicach spotkać się wieczorem. Ludzie z różnych miast i państw zawierali znajomości. Ci, którzy tworzyli strzelanki i przygodówki, hopy i wojny robotów, gracze z Londynu i z Łądką, padali sobie w ramiona, opowiadali, pili bruderszafty. Byli różni, ale łączyła ich namiętność do gier. Kacper, już lekko pijany, królował nad wszystkimi, obnosząc się polskim gestem, stawiał kolejne kolejki, pokrzykiwał i falował rękami nad złączonymi stolikami. Berta poczuła zmęczenie. Podróż, przeżycia ostatnich dni, huśtawka emocji sprawiły, że znużenie ogarnęło tak jej duszę, jak i ciało. Edytę chyba też, wymknęły się więc po angielsku do pokoju i bez żadnych zwierzeń zanurkowały pod kołdrami.

– Życie jest nieźle popieprzone, nie, Edzia? – powiedziała Berta przed zaśnięciem.

– Mnie to mówisz! – westchnęła Edyta – jest popierdolone, jak się tylko da.

*

Misza Boryłow nie eksponował szczególnie swojej osoby, nie narzuczał się i nie tłumaczył z nieobecności. Pojawiał się i znikał, spotykał z setkami osób z branży, negocjował we wszystkich obecnych tu językach. Z Bertą zagadał tylko raz: znalazł się nagle koło niej, gdy butny i pewny siebie koleś z Poznania zaczepiał ją zbyt napastliwie. Pijany, podniecony luźną atmosferą zaczął prezentować nieprzystojne gesty, ciągnął ją przemocą do tańca, głosił niewybredne żarty o sterczących cyckach i rudych włosach. Misza zawołał ochronę, delikwenta zabrano z pola rażenia, a Berta nie zdołała nawet podziękować, bo Boryłow już w innym końcu sali popijał wódkę z potencjalnymi kontrahentami. Kątem oka dostrzegła go na sali wykładowej, gdy ledwie żywa ze zdenerwowania wygłaszała swój wykład. Pomyślała, że jej angielski przy jego poliglotyzmie jest very poor i jeszcze bardziej się zdenerwowała. Był tylko przez chwilę, stał w drzwiach, posłał jej porozumiewawcze mrugnięcie, wspierający gest ręką i znów zniknął.

– Ciekawe – myślała potem Berta – od czasu rozmowy w biurówcu ani razu nie zbliżył się do mnie, a zarazem jakby był ciągle blisko. Interesuje się mną, to pewne. A co z tą Swietłową? Żeni się czy nie? O Maćku pomyślała: ten się żeni, to też pewne. Ze mną.

Edyta i Gosia też udzielały się jako panelistki, poza tym odpowiedziały na dwa miliony pytań przy stoisku. Drugiej nocy wróciły do pokoju nad ranem z mocnym postanowieniem nauki japońskiego, rzuciły się spać, nie analizując, gdzie mogą być ich koledzy. Nie było czasu na babskie zwierzenia ani na plotki. Kiedy zamykały oczy, nadal widziały przechodzące przez salę tłumy, dzieci w goglach VR wołające do rodziców z głębin wirtualnego świata: „Gdzie ja jestem, gdzie ja jestem, tato! Płynę w morzu. Delfiny obok mnie”, przebranych fanów cosplaya⁶ i graczy okupujących stanowiska gier demo. Weekend przemknął błyskawicznie. W pociągu powrotnym Gosia, zmęczona, spała z ustami otwartymi na popielniczkę, Edzia oparła się o nią, panowie poszli do wagonu restauracyjnego, a Berta została nagle sama w korytarzu, z nosem przyklepionym do szyby. Ktoś stanął za nią. Wiedziała, że to Michał Boryłow. Też był zmęczony, cieniutkie nitki przy oczach stały się wyraźniejsze, pobladł, przetaił oczy, wzruszyło ją to.

– Zmęczona? – zapytał z troską. – Takie weekendy są inspirujące, ale chyba zbyt głośne dla mnie. Za stary jestem na te hordy dzieci.

– Ależ skąd. – Berta uśmiechnęła się i położyła rękę na jego dłoni opartej o framugę okna. – Jesteś w sam raz. Nawet nie wiesz, jaka jestem ci...

– Nie dziękuj. – Przyłożył czoło do chłodnej szyby. – Kiedy skończymy tę grę, ja wyjadę, Berto. Już na stałe do Europy. Nie będziemy kontynuować biznesu w Warszawie, chcę, żebyś wiedziała. To wszystko, gra, Kraków, ty, będą już tylko wspomnieniem... Był moment, gdy chciałem cię prosić: jedź ze mną... Wiem, że nie nada. Ja muszę odejść. Dziękuję ci, polska damo, za to wspomnienie.

– To przez tę wpadkę, przez to, że ktoś sypnął? – spytała cicho, zasmucona.

– Nie, nie – Boryłow przymknął powieki – nie. To się okazało głupstwo. Łatwo było zażegnać mały pożar... ale są inne. Duże, sprawy finansowe.

– Ale ty wiesz, kto to zrobił, prawda?

– Tak, Berta, wiem. Ona sama powie. Widzisz, wszystko i jak zawsze pro lubow'. Zbrodnia i heroizm, wrażliwość i tak wsio przez miłość. – Płatał języki, kiedy się wzruszał.

Pendolino pędziło, zawrotna szybkość sprawiała, że właściwie nie

wiadomo było, gdzie się znajdują. W wagonie, który mknął nad polami, Michaił Aleksandrowicz Boryłow stał za Bertą, wyższy o głowę, patrzył nad nią w te same pędzące przestrzenie. Oparł ramiona o szklaną ścianę tak, że zmieściła się w małym świetle stworzonym na chwilę tylko dla niej. Nikt ich nie widział, nic nie mówili, patrzyli i patrzyli na bieg świata za oknem. Berta odwróciła się nagle i wtuliła twarz w miękki sweter mężczyzny, trwała tak cicho, udając, że nie czuje, jak pochylił się i całuje jej włosy. A może głaskał je tylko w przyjaznym geście. Jak zwykle potargane i wielokolorowe, łaskotały go w policzek.

„Czy można kochać dwie osoby? – pomyślała Berta – kocham przecież Maćka, prawie od zawsze, ale teraz mogłabym przysiąc, że kocham też tego oto mężczyznę, pachnącego dobrą wodą kolońską, koniakiem i sobą. A on? Pewnie kocha też Lenę Swietłową”. Pocałowała go delikatnie w odsłonięty fragment szyi w rozchyleniu koszuli, a on mocniej ją do siebie przytulił. Jechali tak w ciszy i nic więcej się nie wydarzyło.

Mowa SMS-ów

Zeszli się do pracy później, dopiero około południa. Kacper już był w biurze, już ustalał harmonogramy, które Gosia skrętnie spisywała, dodając swoje uwagi. Wodził za swoją asystentką zadowolonym wzrokiem. Berta pomyślała, że oboje byli tu wcześniej, może nawet przyjechali wczoraj, prosto z dworca. No jasne, razem wsiadali do taksówki, teraz przypomniała sobie, że wielokrotnie wchodzili razem do biura lub z niego wychodzili. Więc to tak. Taki układ. Kacper ma w jednej osobie sekretarkę, kochankę i opiekunkę, bo niewątpliwie Gosia pilnowała jego snu, kiedy przedawkował koniak, zamawiała taksówkę, pilnowała go jak dziecka. Co dostawała w zamian? Pospieszny seks w jego gabinecie, pewnie zdawkowy komplement. Czy to jej wystarczało? Miłość krętymi chodzi ścieżkami. Byli parą. Dlaczego Kacper to ukrywał? Ba, a czy ona, gdyby rozwinęła znajomość z Miszą, opowiadałaby o tym przy kawie i na naradzie? Berta nieswojo czuła się wobec kolegów, wiedząc, że Wriemia Igry nie przedłużą z nimi kontraktu. Czy Kacper o tym wiedział? Czy powinna mu powiedzieć? Kiedy koło południa zwołał ich na zebranie, zrozumiała, że wie i że od powodzenia *Skarbu Wenetów* tak wiele zależy, teraz jeszcze więcej niż poprzednio. Sukces, sprzedaż milionów egzemplarzy, dałby im niezależność od wszelkich partnerów, własną pozycję na rynku. Wie, z pewnością. No tak, to też było do przewidzenia, Misza nie był krętaczem, znając decyzje swoich władz, uprzedził Kacpra, że nie przedłużą kontraktu. Jakie powody mogły być ważniejsze niż szpiegostwo i przeciek o ich pomysle do konkurencji? Kto ich zdradził? Widocznie był to dzień olśnień Berty Kaliniani albo odezwał się w niej dar jasnowidztwa odziedziczony po matce chrzestnej. Popatrzyła na spuchnięte od płaczu oczy Edyty. Wspomniała słowa Miszy: „Wsio pro lubow’... Sama powie”. Czy po to Kacper zwołał zebranie? Nie, chyba nie. A jednak zaczęło się od wystąpienia Edzi.

– Słuchajcie, muszę wam coś powiedzieć. – Edyta zagryzła wargi, nie płakała, ale głos jej drżał – to ja sypnęłam nasz pomysł. Dariusz, mój facet, wyciągnął ode mnie wszystko. On... on był związany z konkurencją, płacili mu. Opowiadałam mu ze szczegółami, nawet o kolorze skrzydełek moich ptaków.

Nie wiedziałam, nie przyszły mi do głowy konsekwencje, przepraszam. Kacper, ciebie przepraszam, wiem, ile to dla ciebie znaczy. Wszystkich was przepraszam. No i odchodzę, oczywiście...

Kacper drgnął w krześle, wszyscy popatrzyli na niego, a potem na Edytę.

– A kto cię wygania? – zapytał. – Wiem o wszystkim od dawna. I wiem też, że nie jesteś już z tym skurwielem. Przecież Misza zadziałał i odstąpili od zerznięcia naszego projektu... to po co? Gdzie masz iść? Kto mi lepiej narysuje jaszczurki i prosiaki?

Edyta uśmiechnęła się smutno.

– Tak, odszedł. Najgorsze jest to, że tylko dlatego przyszedł... tylko dlatego się ze mną związał. Na tej imprezie w Circo mnie sobie wybrał, licząc, na moją naiwność. Smutne, nie? Kiedy wyciągnął wszystko, kopnął mnie w dupę, a kiedy Misza użył swoich wpływów, to w ogóle gdzieś zniknął. Naprawdę nie chcesz, żebym spadała z firmy?

– Nikt tego nie chce – powiedziała żywo Berta. – I nie po to Kacper zwołał zebranie. Prawda Kac?

– Tak. Edzia, zapomniny o tym, ja już dawno wszystko wiem. I ciebie, Wiesiek, przepraszam, byłeś moim głównym podejrzanym. Przez te mejle z klinikami miałeś motyw jak cholera. Potem dopiero zorientowałem się, że na leczenie to ty... inaczej zdobywasz fundusze. Chłopie, jak nam *Skarb Wenetów* zagra, wyprawimy się do najlepszej kliniki w Kanadzie!

– A uda się wypromować? Bez...? – zaryzykowała Berta.

– O tym chcę mówić. Wriemia Igry zmieniają strategię, wychodzą z gamedevu. Sprzedają akcje, a potem firma ulegnie fuzji z silnym przedsiębiorstwem przemysłu morskiego. To sprawy polityki finansowej, a Misza Boryłow od nich odchodzi. Tę grę jeszcze z nami skończy, potem wyjeżdża. Motywy służbowe i prywatne. Ważne to dla nas, bo jak pomoże wypromować Wenetów, to bez niczyjej pomocy będziemy mocarni na tym rynku. Mocarni jak nikt! I dlatego musimy się spiąć i...

– O rety! Znowu totalny crunch? Znowu chcesz nas tu zamknąć? Od kiedy?

– Od soboty. Do końca czerwca. Starczy wam cztery dni na uporządkowanie spraw na tamtym świecie? – Wskazał okno i wszyscy popatrzyli w prostokąt szkła. Akurat rozjaśniony słońcem, bo kończył się maj. Wiosna tego roku nadrabiała spóźnienie, natychmiast przekształcała się w lato. Każdy ze Starsów przebiegał w myślach swoje sprawy na „tamtym” realnym świecie. Edyta nie miała czego żałować, Guccio cieszył się z izolacji od matki, trójca:

Marcin, Liszka i Wiesio już kombinowała wycieczki do kasyna. Pola i Justyna miały zaznać totalnego crunchu pierwszy raz, patrzyły na pomysł jak na dobrą przygodę. Cały świat Goni i tak był tutaj, przy szefie, a Berta?

Berta pomyślała o obrazie, który zaczęła malować jeszcze przed targami. O matce czekającej na interpretację wyników. O Maćku, który ostatnio dziwnie się zachowywał – to niby stęskniony i zakochany jak szaleniec, to znów drażliwy i obraźliwy. Stał się nagle jakiś krytyczny. Mało mówił o ślubie, po czym z nieufnością dopytywał o to, co ona dokładnie robi w pracy. Czy znów będzie zazdrosny o jej czas? Berta miała dzień olśnień i nabrała dziwnej pewności, że tym razem nie czeka ją gorący protest narzeczonego. Poczwała nagle, z pewnością godną szeptuchy, że coś się dzieje z Maćkiem, i to coś jest bardzo nie w porządku. Ale nie miała doświadczenia swojej matki chrzestnej, nie umiała też czytać ani w przyszłości, ani w przeszłości, więc pojąć, o co chodzi, nie mogła.

*

Maj zaczął przypominać lipiec, i to w wydaniu tropikalnym. W mieszkaniu od północnej strony na szczęście nie odczuwało się tego zbyt mocno. Berta kończyła pakowanie, podśpiewywała sobie pod nosem, bo bardzo rada była z obrotu wypadków. Brat Miszy okazał się cudownym człowiekiem, zaprosił Annę Kalinę do szpitala w ramach własnych miejsc dla rodziny, błyskawicznie zorganizowali przelot. Starczyło oszczędności jej rodziców, ale Misza zapytał cicho Bertę, czy nie potrzebuje pożyczki, i mimo że nie skorzystała, postanowiła pamiętać mu to na całe życie. Matka więc od kilku dni przebywała w pięknym miejscu za miastem Grass i miała być poddana eksperymentalnej kuracji odnowy tkanki. Wiera doradzała spróbować. Rokowania były bardzo dobre, Anna dzwoniła podekscytowana, a Berta pojęła, że matka chce jednak żyć, chce wrócić do niej i do Jerzego, obojętne, czy na skutek uwolnienia od starego bólu, czy codziennych szeptów Wiery odprawianych nad zdjęciem przyjaciółki. Źródło nie było najważniejsze. Tak jak przeczuła, Maciej nie boczył się wcale na wiadomość o kolejnym zamknięciu w firmie, zdawało się nawet Bercie, że przeszły mu jego rozterki, bo znów ją adorował, przygotowywał pyszne kolacje, po których kochali się jak za dawnych czasów. Maciek wyczałowywał jej malinki na szyi, żeby

zabrała do biurowca „jego pieczęcie”. I znów więcej mówił o weselu. Sławek potwierdził przyjazd i entuzjastyczną chęć świadkowania Maćkowi, a Maciej cieszył się z tego jak mały chłopiec. Bardziej niż Berta przejmował się jej gośćmi i zastanawiał się, kto ma być jej świadkiem. Czy Nora? Nie chciał, by w ogóle była obecna na ich ślubie, najchętniej nie oglądałby jej nigdy. Namiętność przeminęła, pozostał wstyd, żałował, że w ogóle ma to wspomnienie z sauny, że nie może wykasować go z głowy jak uszkodzonego pliku. Tak jak i całej Nory van Morenz, ponętnej, łatwo oddzielającej seks do emocji, ale zupełnie mu obcej. Na szczęście Berta też nie widziała jej w roli tak bliskiej osoby.

– Co było, minęło – szepnęła – teraz bliższa mi jest Gonia, Edyta nawet niż Mirka... Pomyślę. – Nie chciała na razie o tym zdecydować. – Po crunchu, jak wrócę...

Dopinała torbę i kierowała się ku talerzowi kanapek, ozdobionych ketchupem i pomidorkami koktajlowymi – wyraz uczuć jej narzeczonego. Maciej śpiewał gromko pod prysznicem. Jego komórka leżała beztrosko na tapczanie i właśnie zadzwiała.

– Maciu, SMS – zawołała Berta w kierunku łazienki. Odpowiedział jej tylko plusk wody i refren jakiegoś popowego przeboju. Maciej fałszował z zapalem.

– Nie słyszysz – mruknęła do siebie i wróciła do pakowania. Ale SMS powtarzał się upierdliwie i nadszedł już chyba czwarty. Berta westchnęła i podeszła do tapczanu, jeszcze ciepłego od ich porannych igraszek. Ciekawe, kto go tak szuka? Może mamuśka? Popatrzyła w ekranik.

Kiedy Maciek wyszedł z łazienki owinięty ręcznikiem, zadowolony z siebie, pachnący i piękny jak młody bóg, ujrzał Bertę bladą i zeszywniałą, skuloną na tapczanie z jego komórką w ręku. Chyba powstrzymywała płacz, popatrzyła na niego w milczeniu i Maciek Znikomski pomyślał, że nie zapomni tego wzroku do końca życia i że nigdy już nic nie będzie między nimi takie samo. Zerknął w telefon i zrozumiał, co się stało.

Jest jedno banalne, idiotyczne zdanie, którego ludzie używają w takich sytuacjach, i Maciej też to zrobił:

– To nie jest tak, jak wygląda – powiedział szybko. – Wszystko ci wyjaśnię.

I wówczas druga osoba, pewna swojej krzywdy powiada: „Co tu wyjaśniać, wszystko widać jak dłoni”. Berta jednak powiedziała: „Słucham”.

Maciej zaczął się jąkać, bo tak naprawdę czuł się winowajcą, a winowajcy nie są przygotowani na wyjaśnienia. Trzymał się prawdy do momentu,

w którym Nora van Morenz goła wchodzi za nim do sauny. Do tej chwili właściwie wszystko grało: umówiła się z nim na trening, to nic takiego, kusiła go, nie ona jedna spośród klientek. „Przyczepiła się do mnie jak rzep” – rzekł, udając zniecierpliwienie i niezbyt rycersko przesunął odpowiedzialność na Norę, nie wspomniawszy, że fascynowała go i śniła mu się jeszcze dwa tygodnie po incydencie w saunie. I oczywiście, że incydent był wybitnie erotyczny i przyjemny.

– No i tyle. – Wzruszył ramionami. – W tej saunie trochę próbowała, no wiesz, ale w końcu do niczego nie doszło, a ja nie chcę jej oglądać i żałuję, że w ogóle ją poznałem. – Udało mu się zakończyć prawdą, co przyniosło niejaka ulgę obojgu. – Nie wiem, co jej odbiło, żeby pisać.

– No cóż, tęskni – odpowiedziała Berta ironicznie – wierzy, że ty też tęsknisz, macie podobno coś dokończyć? – Berta głośno czytała cztery gwałtowne i pełne zachęty SMS-y, wysłane w ciągu pięciu minut z telefonu Mirki vel Nory, która właśnie powróciła z zagranicy i przypomniał się jej dług Maćka... – Jesteś jej winien jakąś pieszczotę? Czyli co? Czytajmy wyżej... data wskazuje na dzień, kiedy byłam u matki, dodajmy: chorej matki, i oto: „Nie mogłam przyjść, całuję cię tam, gdzie wiesz?”, czyli gdzie? Gdzie przyjść? Gdzie cię całuje?

Milczenie bolało oboje.

– Dobrze – powiedziała Berta – opowiedz mi dokładnie, co stało się w saunie. Jeśli możesz mi to opowiedzieć, uwierzę ci i zapomnę. Pozostawała mu albo prawda, albo obrona przez atak.

– Ciągłe cię nie ma! – powiedział. – O ślubie tylko ja myślę. Czasem nie wiem, czy tam w Starsach nie masz kogoś bliższego niż ja!

Berta pomyślała o zapachu Miszy Boryłowa i na chwilę złagodniała.

– Co było, Maciek? – powtórzyła uparcie. – Pocałunek ci wybaczę. – Nic nie było! – krzyknął. – Przyczepiła się i trochę... mnie wciągnęła, taka tam głupia macanka. Nic nie było. Prawie.

– Przyczepiła się, zrobiła mi laskę, ale ja jej nie zdążyłem wsadzić ani wyjąć – ordynarnie, drwiąco, znów w nagłym olśnieniu krzyknęła Berta. – Prawie. Bo co, ktoś wszedł? I teraz masz się odwdzińczyć. Ty draniu. Wynos się.

Chciał coś powiedzieć. Ale powtórzyła tylko: „Wynos się. Dobrze, że mam crunch. Przez ten czas wyprowadź się do matki. Potem pomyślimy, co z mieszkaniem, marzeniami i tak dalej. Teraz tylko wyjdź”.

Westchnął i wyniósł się, z telefonem i kluczami. W windzie przeczytał jeszcze raz te SMS-y. Nie pozostawiały wątpliwości.

„Nie mogę się doczekać – pisała Nora – teraz ty mi to zrobisz, ciekawe, jak? Otwieram się, pulsuję...” – Zwariowała, żeby pisać takie rzeczy. Nie pomyślała, że ktoś może to przeczytać? A może właśnie pomyślała?

Kiedy Maciej wyszedł z bloku i nie bardzo wiedział, gdzie się udać, do matki czy na siłownię, Berta poczuła w sobie wściekłość i potworny ból. Upokorzona i odrzucona, wiedziała jedno: jakiś etap w jej życiu zamknął się bezpowrotnie. Tym samym poczuła, jak był piękny i cenny. Powoli podeszła do swoich prac na ścianach. Pochodziły z etapu życia z Maćkiem. Chwyliła nóż, którym kroił chleb, by robić jej kanapki – teraz miał spełnić inny cel. Cięła nim systematycznie płótna i kartony, zamieniała kolaże z materiałów i papiery w strzępy. Ostatni obraz też. Porozbijała wszystkie rzeźby i połamała sztalugi. Podarła szmacianą lalkę, którą kupił jej kiedyś na wycieczce. Tak nożem odcięła się od swojego życia w Maćkiem, pierścionek położyła ostentacyjnie na stole. Potem zaś, na stercie tych strzępów, na ruinach tego, co było tak ważne, usiadła i płakała. Każdy płacz jednakże ma swój kres, pozostawia spuchnięte oczy, ból głowy i mało romantycznie zapchany nos. Berta postanowiła przestać płakać, pozbierała swoje rzeczy, nos wydmuchała porządnie, chusteczkę rzuciła obok pierścionka, zamknęła mieszkanie i ruszyła na przystanek autobusu czterysta dwa.

*

„Co teraz będzie” – rozmyślał Maciek, kiedy chodził bez celu po parku Skaryszewskim, sam bliski płaczu, ale każda wiewiórka zadowolona z wiosennego lata, każda biegaczka na ścieżkach przypominała mu, że chłopaki nie płaczą. Ostatecznie do niczego nie doszło, przekonywał sam siebie. Ale, gdyby to Berta tak „prawie do niczego nie doszła” z kimś w pracy? Wybaczyłby jej? Ciężko. Na myśl, że sam zawinił, żołądek zwijał mu się w bolesny węzeł. Najchętniej poszedłby z tym wszystkim do swojej matki, ale rozumiał, że to nie jest stłuczona piłką szyba w garażu sąsiada i już nie będzie tak, że matka westchnie, pójdzie wyjaśnić i zapłaci. Kto wie, co by powiedziała. Świętej pamięci ojciec pewnie nie miał takich przygód. Maciej rozmyślał i cierpiał, a jego telefon kontynuował kuszenie. Nora van Morenz

dzwoniła kolejny raz. Nie odebrał. Napisała: „Jutro o szesnastej mam czas i ochotę na wyczerpujący trening. Okej?”.

Nie odpowiedział, ale błysnęło mu w głowie, że skoro i tak się wszystko posypało... Znienawidził się za tę myśl. Zorientował się nagle, że minęły dwie godziny, odkąd snuje się po parku. Szybko zawrócił do mieszkania, w którym Berty już nie było, a to, co zastał, sprawiło, że na chwilę stracił oddech, oparł się o ścianę i patrzył na pobojuwisko, które jeszcze przed kilkoma godzinami było fajnym wspólnym życiem w miłym mieszkaniu. Być może żalosna mina szmacianej lalki, z której wyleciały trociny, sprawiła, że Maciej Znikomski wydorósł, nagle przybyło mu kilka lat. Zadzzwonił do Nory, odebrała zadowolona, ale nie dał jej dojść do głosu.

„Nora – powiedział – jesteś wspaniałą kobietą, ale to była pomyłka. Nigdy się już nie spotkamy. Proszę, skasuj mój numer” i szybko przerwał połączenie. W tym czasie Berta wyrzuciła go ze znajomych na Facebooku, zlikwidowała jego imię na liście kontaktów i założyła blokadę na SMS-y i połączenia od niego. Zatopiła się w świat pracy, bo zaczął się crunch, wielodniowy, wyczerpujący, wymagający skupienia nad każdą sceną. Zamawiali catering, przerywali robotę tylko na sen i jedzenie, czasem na używki. Gra wciągała i pochłaniała, Berta pracowała jak nawiedzona i olśniewała pomysłami. Wiesio przesuwiał ramkę na kalendarzu po kolejnych dniach czerwca, a oni dziwili się, że tak szybko przemieszcza się ta czerwona krataczka. Z każdym jej ruchem powstawały kolejne minuty gry, czyli życia Wasylii i zdarzeń w świecie Wenetów.

Crunch drugi

Graczka Mary przeszła do lokacji w pieczarach. Ciemnooki rycerz pozostał na zewnątrz, pokonuje jaszczury pięknie wykonane przez Edytę, zbiera gałęzie na ognisko. Drogi rycerza i Wasylii nie mogą się spotkać, chociaż Mary próbuje usilnie do tego doprowadzić. Najwyraźniej księżniczka sama musi odnaleźć brata. „Pomóż jej – mówi wskazówka do Mary – sporządź miksturę z białego błota, ono uśpi psy Południcy... Gdzie jest białe błoto?”. – Mary szuka go według podpowiedzi – za potokiem i za wsią. Tu widzi przygodę misjonarza, który też próbuje odnaleźć Wasylię. Kiedy w samo południe idzie przez pole, spotyka wśród kłosów piękną Południcę. To jej teren i czas, kusi go tak jak żniwiarzy. Ukazuje się powabna, piękna, podchodzi bardzo blisko i rozchyła swoje szaty. Kiedy jednak misjonarz łapie gładkie kolano, zjawia staje się śliska, pokryta śluzem ropuchy i rozpada się w pył, bo jest tylko ułudą. Misjonarz dotknął jej – zamienia się w kamień, pozostaje oszukany i samotny, jak wielu przed nim...

Opowieść o nim to tylko dodatkowy bonus dla graczy. Mary podąża dalej, własnym szlakiem według runicznych znaków. Odnajduje szereg rysunków ukrytych na skałach, z nadzieją, że wśród nich skrywa się ostatni archeolog. Znajduje wyschłe jezioro, które musi napełnić wodą, a potem zamrozić, by Wasylia mogła po nim przejść. Kawałki lodu porozrzucane jak puzzle, gra zaprasza do łamigłówek. Mary lubi ten moment: prawidłowo rozwiązana układanka rozpada się przy dźwiękach fanfarów, a przed graczką otwierają się dwa wejścia: do tajemniczego ogrodu skalnego lub polanę pełną kozic. „Do skalnego ogrodu!”, decyduje Mary, i słusznie. Pod warstwą gałęzi, którą łatwo ściąć toporkiem Wasylii, odnajduje posąg bliźniaczych braci, zrosniętych kamiennym ramieniem. Aby ich ożywić, należy wpisać kod: imiona bliźniaków. Mary nie bez przyczyny jest mediewistką. Bliźnięta, legendarni władcy Wenetów, to Lelum i Polelum. Jest! Na filmie zapada ciemność, w świetle Wenetów zrywa

się wichura, spadają liście, czerwienieje woda w jeziorze, zaraz nadejdzie szkwał. Ale po chwili przyroda cichnie, bracia bliźniacy odrywają się od siebie, klękają dwornie, by podziękować za zdjęcie kłątwy. Żaden z nich nie jest jednak ani bratem Wasylii, ani zaginionym archeologiem. Nagradzają za to sownie Wasylię rumakiem, który wie, gdzie mieszka Południca, i zawiezie ją tam na swoim grzbiecie. I oto jest pożądana lokacja: dom ze zbóż i ziół, ze studnią z żurawiem, przy nim kolekcja kamiennych postaci włącznie z ostatnim trofeum: zastygłym misjonarzem. Jest też bajoro i pomost nad wodą, przy którym rudowłosey młodzian pozbawiony pamięci rzuca kamieniami w fale.

– Wasyl – krzyczy księżniczka. – Wasyl. Ale młodzieniec nie odwraca się do niej, nie słyszy. Strzeże go siedem czarnych psów Południcy.

– I zostało nam piętnaście minut gry – oznajmił Kacper. – Może skończymy do Nocy Kupały? Urządzimy sobie cosplay, firma stawia trunki. Co na to zespół?

Nie zareagowali tak entuzjastycznie, jak się spodziewał. Dwa tygodnie zamknięcia uczyniły swoje – byli zmęczeni, pracą i sobą, a zarazem jakby zaczarowani przez grę. Na ekranie biały rumak niósł Wasylię, a Berta, która stworzyła całą animację, czuła, jakby sama szarżowała konno przez knieje, jakby szukała wśród słowiańskich lasów miejsca dla siebie. Czy była wtedy sobą, czy Wasylią? Szukała Wasyla – brata bliźniaka, ale może pragnęła odnaleźć i wskrzesić swoją bliźniaczą siostrę Irkę? Marcin był podobnie wciągnięty w sztuczny świat, ale najwyraźniej był z tego zadowolony. Jego alter ego stanowił rycerz, który podążał śladem Wasylii, a w rzeczywistości usiłował być jak najbliżej Berty, lecz tak samo jak w grze, nie mógł przeniknąć do jej serca.

Kacper patrzył na nich zadowolony. Zza szklanej szyby oddzielającej pokój socjalny od korytarza, i przez kamery w swojej kamerze widział, jak krok po kroku spełniało się jego marzenie: gra przyrastała, zespół się zintegrował, biuro stało się ich światem, zapominali powoli o tamtym, prawdziwym. Tego chciał, przyjemne poczucie spełnienia rozlewało się po jego duszy. Najchętniej zamknąłby ich tutaj na zawsze, w państewku, w którym mógłby rządzić niepodzielnie. Pragnął mieć tych ludzi tylko dla siebie, bo od dziecka,

od pierwszych chwil, które pamiętał, jego, Kacpra Broga, nikt nie chciał. Trapiła go samotność, niszcząca go tak samo jak jego ulubioną postać – misjonarza. Kacper także zaczął w fabule gry oglądać swój los. Wiodła go przez życie misja, śnił o sukcesie, sławie i finansach, nie myślał jednak nigdy, co z nimi zrobi. Teraz miał poczucie, że zawładnął życiem tych kilku osób, ale nie zmniejszyło to jego poczucia samotności. Pragnienie bliskości mylił z chęcią posiadania, podglądał z czułą ciekawością, myślał też błędnie, że kiedy wszystko o nich wie, to ich zna. Od kilku miesięcy żył z Gosią, ale i to nie zmniejszyło jego poczucia samotności. Ich seks ukrywany przed zespołem odbywał się jak w tanim romansie: pospiesznie, wstydliwie, jakby to były zapasy, nie intymne chwile we dwoje. Gosia, mocna w gadaniu, w samej rzeczy, kiedy dochodziło do zbliżeń, była nieśmiała, oddana i chciała tylko, żeby Kacper był zadowolony. Pierwszy raz zbliżył się do niej, kiedy rozstawali się przed Wielkanocą. „Szefie, to ja idę – powiedziała wtedy, zaglądając do gabinetu. – Wesołego Alleluja!”. Nie słyszał i dopiero kiedy wyjął słuchawki z uszu, wstał i podszedł do niej. „Wesołych Świąt” – powiedział, uściskali się po koleżeńsku, lecz nie wypuścił jej z uścisku, przytulił mocniej i nagle zaczął całować w szyję, zupełnie już nie po koleżeńsku.

– Chcesz mnie, Gosia, chcesz, no nie? – pytał, klękając i tuląc głowę do jej bioder. – Od dawna – odpowiedziała, rozpinając kurtkę. Oboje nie mieli gdzie pójść... więc zostali. Mimo to wciąż czuł się nieszczęśliwy. Sam już nie wiedział, czy jest szaleńcem, czy pijakiem, który wyolbrzymia swoje tragedie. Był porzuconym dzieckiem, ale przecież nie on jeden. Setki noworodków niezabranych ze szpitala wychowywane były przez przytułki, znał tak wielu przyszywanych braci i sióstr, ale nikogo innego, kto zaszedł aż tak wysoko jak on. Miał firmę, miał talent, fundusze, pomysł i pasję. Oddałby jednak wszystko, by grupa Starsów, przybywająca co dzień z różnych dzielnic miasta, złożona z tak różnych charakterów, została tu na zawsze. Kiedy myślał o tym racjonalnie, zamykał natychmiast na cztery zamki drzwi do pakamery za gabinetem. Bo gdyby wiedzieli, że śledzi ich oczami dwunastu kamer, powodowany ciekawością i swoistą miłością... Nie zrozumieliby tego. Czemu ludzie tak bardzo chcą mieć tajemnice? Chcieli, nie mógł na to poradzić, i wiedział też, że w końcu nadejdzie koniec gry, zabawią się w cosplay i znikną. Teraz zaczęli svirować, zgodził się więc na wolne popołudnie. Wiedział doskonale, co zrobią. Marcin, Wiesio, Liszka, Gutek pójdą grać do

kasyna w podziemiach. Justyna zawinie się w śpiwór i będzie spać, wciąż brakowało jej snu. Jej koleżanka Pola posprząta biurko, kuchnię i będzie czekać na Marcina. Zaczęła go po cichutku wielbić za talent i jeszcze dlatego, że w ogóle jej nie zauważał. Zauważał tylko Bertę, to także wiedział bóg Starsów. A ona, Berta, najzdolniejsza z całego zespołu, gryzła się tym, że jej narzeczony zdradził ją ze sławną koleżanką. Kacper wyrobił sobie mglisty obraz sprawy – trochę wyczytał z jej ruchów na Facebooku i tego, co mówiła, trochę się domyślił. Idiotka. Następna: Edyta jak przetrącony ptak, pracowała cicho i pilnie, od czasu i do czasu pozwalała sobie na oglądanie stron erotycznych, po których zarumieniona udawała się pod prysznic. Nie mogła przeboleć upokorzenia z Darkiem, martwiła się też, bo jej synek, słabszy z bliźniaków, nie dostał się do upragnionej grupy przedszkolnej. Może był przygłupi? Że też chciało im się wracać do tego wszystkiego, przejmować się problemami, które nie wiadomo kto wymyślił. Mogliby tu, w izolacji, stworzyć własny świat i żyć według reguł, które wymyśliliby sami. Berta. Znalazłaby tu pocieszenie, ktoś zapewniłby jej to, czego szukała – poczucie bezpieczeństwa, spokoju. Kacper wiedział jednak, że tym kimś nie byłby Marcin ani on sam. To mógł być tylko Michaił Boryłow, ten jednakże przebywał w Moskwie i miał wrócić dopiero na weekend. Kacper dostrzegł, że Berta nie była obojętna dyrektorowi. Może dla niej zostałby tutaj? Czemu nie chcieli sprawdzić, czemu woleli wszystko, co było tak trudne, tam na zewnątrz?

Berta pierwsza zareagowała na jego słowa o Nocy Kupały.

Miała podkrążone oczy, przechodziła kryzys kreatywności, chciała pojechać do Krukowa, do domu...

– Daj spokój – powiedziała – nie wiem jak wy, ale ja nie mam sił na imprezy. Jestem wyczerpana.

– Skosztuj i połóż się – odpowiedział Marcin wytwornie. Podał jej jakiś środek i szklankę wody do popicia.

– A co to jest, daje kopa, czy co? – spytała niepewnie.

– Nie, kopa daje coś innego, ale tego nie mam. – Marcin uśmiechnął się. – Po tym pośpisz i po prostu odpoczniesz. Tylko mała pomarańczowa tabletką na dobry sen.

Posłuchała go i zadziałało. Spała długo, mocno, nikt jej nie budził, ocknęła u schyłku następnej nocy. Marcin, z podnieceniem w ciemnych oczach, pochylał się nad nią i delikatnie poruszał jej ramieniem.

– Wypałaś się? – szepnął. – To chodź. Przyda nam się trochę odmiany. Zabieram cię na małą wycieczkę.

– Gdzie? – Przetarła oczy. – Chcesz wyjść na zewnątrz?

– Nie. Nie opuścimy murów tej więziennej twierdzy, przysięgam – zakpił. – Wstawaj, biegnij siusiu i idziemy.

„Sen dobrze mi zrobił. Krótka wycieczka zadziała jeszcze lepiej” – pomyślała i całkiem zaciekawiona dała się Marcinowi wziąć za rękę i poprowadzić, nie do windy, lecz bocznym wyjściem ewakuacyjnym, jak powiedział, schodami ku górze.

– Zaczniemy odwrotnie niż Dante – wciąż w żartobliwym tonie szeptał Marcin – pójdziemy od samego szczytu ku dołowi.

– Ale to Beatrycze go prowadziła. – Berta ziewnęła.

Marcin zaśmiał się, ścisnął mocno jej dłoń. – No właśnie. My napiszemy odwrotną historię tej wędrówki.

*

Schody za drzwiami wyjścia ewakuacyjnego były wąskie i kręte. Ponury tunel, niezliczone szare stopnie. Berta nigdy dotąd z nich nie korzystała, nie sądziła, że mogą być tak staromodne: drewniane poręcze, dziwny zapach pleśni i panująca tu ciemność nie pasowały do nowoczesnego budynku. „Jakbym była w grze – pomyślała. – Tak muszą wyglądać przestrzenie VR”. Marcin ciągnął ją za sobą, wreszcie otworzył jakieś drzwiczki w dachu. Uderzyła ich słodka fala powietrza, świeżego, ale miejskiego, musiał padać ciepły deszcz, bo wokół unosił się zapach mokrego betonu, letniego świtu, niebo nad Warszawą szarzało. „Witaj na dachu naszego świata – cicho powiedział Marcin – tu wszystko się zaczyna”. Berta przetarła oczy ze zdumienia. Była w ogrodzie, stała na kamiennych płytkach prowadzących ku najprawdziwшему zielonemu trawnikowi. Drewniane pergole, porośnięte pnączem, oddzielały odrębne mniejsze ogródki, w donicach stały róże i oleandry. To kwiaty dawały ów zapach. Ujrzała obok stoliki, krzesła i plażowe leżaki. Marcin poprowadził ją do bujanego fotela z rattanu. Pomocował się chwilę z drzwiami drewnianej szafki, która okazała się lodówką, wyjął chłodny cydr i nalał do wysokiej szklanki. Podał jej z ukłonem.

– To niezwykle, niewyobrażalne. To mi się śni – oznajmiła Berta.

– Nie – odpowiedział Marcin. – To się dzieje naprawdę.

Sam popijał bursztynowy płyn z pękatego kieliszka na krótkiej nóżce. – To tylko zielone tarasy na dachu naszego biurowca. Należą do mieszkańców apartamentów z dwunastego piętra. Być może korzystamy właśnie z kwatery należącej do Miszy Boryłowa... On przynajmniej by się nie pogniewał, co? – Popatrzył uważnie na Bertę. Nie słuchała go. Oparta o bezpieczną balustradę wpatrywała się w miasto, coraz konkretniejsze, jaśniejsze, wspaniałe. Leżało pod nimi jak żywy stwór, budziło się do życia. Setki dachów i okien wylały się z nocy, już było widać splątane szyny tramwajowe. Uświadomiła sobie, że lubi Warszawę. „Przecież to całkiem duże miasto” – zanuciła. Marcin objął ją ramieniem. „Jesteśmy bardzo wysoko – powiedział – dwanaście pięter nad wszelkimi problemami. Witam na dachu miasta, oto poziom ultraluksusu. Zobacz”.

Otwierał szklane drzwi. Prowadziły do klatki schodowej i niższego piętra. Szereg drzwi do mieszkań na dwunastym już kiedyś widziała, pamiętała numer dwadzieścia trzy. Kto wie, gdyby wtedy poszła do Michała, może mieszkałaby tu teraz? Korytarz błyszczał jak w najlepszym hotelu, ładny waniliowy dywan głużył kroki, wielkie lustro zdobiło ścianę między dwoma skrzydłami piętra. Berta dotknęła palcami złoczonej ramy, zajrzała do lustrzanej tafli. Patrzyła na nią blada kobieta, młoda, o podkrążonych kocich oczach, rudobrazowych włosach związanych w bezkształtny koczek na czubku głowy. Nie poznawała siebie. Ciemnowłosy, zarosnięty lekko męczyzna tuż za nią też wyglądał inaczej niż codzienny Marcin: przystojny, ale obcy, bardziej nierealny, jakby wziął się z filmu o szatańskim kuszeniu. Oczy płonęły mu niezdrowym blaskiem.

– Ładna z nas para – powiedział i przytulił policzek do jej twarzy.

– Jak stąd wyjdziemy? – zapytała. Pamiętała swoje przygody z identyfikatorem, winda zjeżdżała do garaży bezszelestnie, błyskawicznie, nawet w pół sekundy, ale trzeba było do niej wsiąść.

– Niezmiennie i zawsze wyjściem ewakuacyjnym – uspokoił ją Marcin. – Ten biurowiec przypomina labirynt. Zajęło mi trochę czasu, zanim poznałem jego tajemnice, ale uparłem się. Mam nawet plany, projekt architektów. Uwierz mi, jest zbudowany jak sztuczny organizm, są otwory wejścia i wyjścia, są kuchnie i toalety, są sanktuaria twórcze i ośrodki przyjemności. Jest jak społeczność, bo ma swoją hierarchię. Jest jak odrębna planeta w konstelacji innych biurowców, krążących po swoich torach,

w odpowiedniej odległości. Niby podobne, ale zamknięte, każdy otoczony swoją stratosferą... pływają jak osobne planety w kosmosie miasta. Przekrój naszego biurowca wyglądałby jak kawałek sękacza, kolejne piętra bardziej złote, żółte brązowe. Kiedyś chciałbym zrobić taką grę, gdzie musisz przemierzyć te poziomy. I zrobię. Będzie miała ostrzeżenie: „Wejście w tę grę szkodzi twojemu życiu i zdrowiu...”. Życiu, bo zechcesz je zmienić, zdrowiu, bo możesz oszaleć... Albo VR: nakładasz gogle i chodzisz po kolejnych piętrach jak my teraz, tylko w wyobraźni. Ty, Berta, nie uważasz, że to stare zdanie Szekspira powinno być mottem współczesnych produktów gamedevu: „Widzę oczami duszy mojej...”? Chodźmy.

Zbiegali schodami i zaglądali do poziomów biurowych. Te przestrzenie spały jeszcze, czekały na pierwszych pracowników, tych, co uruchomią faksy i drukarki, ekspres do kawy i spłuczki w łazienkach.

– Zobacz, Marcin, wszędzie open space. – Berta odtańczyła walca na korytarzu, trzymając palcami dres na biodrach jak rąbek spódnicy. Zrzuciła baleriny, bosy krążyła przed pustą recepcją jakiejś dużej firmy zajmującej się developerką.

– Ci to dopiero chytrusy, siedzą tu na naszej planecie, a handlują innymi lokalami – powiedział Marcin, śmiejąc się. – Tu nie jest tak ciekawie, biura, biura – istny czyściec, który musisz przetrwać do siedemnastej, by dostać się do prywatnego nieba. Wiedziałem, że cię nie zaciekawia. Im bliżej piekieł, tym robi się goręcej.

Berta już całkiem rozbudzona, teraz zaintrygowana i ogarnięta nagłym poczuciem humoru, wyciągnęła szminkę z kieszeni bluzy i napisała na drzwiach tego biura: „Porzućcie nadzieję, którzy tu wchodzić”. Czowała podniecenie, obudził się w niej mały łobuz. Chętnie podbiegła do swojego przewodnika i jak sztubacy ruszyli schodami w dół, trzymając się za ręce.

– Jesteśmy na naszym poziomie, cicho, cicho – konspiracyjnie wyszeptał Marcin. – A tu niżej palmy i skrzynie z ziemią, jakbyśmy nagle byli na zielonej wyspie. Jak pierwsi ludzie: Adam i Ewa.

– Ależ oni chodzili goli – zachichotała Berta – i niewinnie grzeszyli.

Marcin popatrzył na nią z pożądaniem, ale skryła się za palmami. Niżej rozciągały się kawiarenki, one ożywały dopiero o dziewiątej rano, bo oferowały gorącą kawę i śniadania złożone z kanapek, rogalików, croissantów i modne ostatnio owsianki, zaparzone wrzątkiem. Za kawiarenkami coś ciekawego – studio fotograficzne, także jeszcze ciche, takie studia nie

uznawały życia o siódmej rano. Ściany obwieszono tutaj pracami współpracujących fotografów – widniała wśród nich wielka mucha, maski azjatyckie, nieprzyzwoite akty nagich modelek. Jeszcze niżej rozciągał się poziom usług. Przyjęła to z zaskoczeniem. „Salon masażu, makijaż i manicure, fryzjer” – czytała napisy na poszczególnych drzwiach, także jeszcze zamkniętych.

– Nie rozumiem, Marcin, dlaczego to piętro nie jest ogólnie dostępne... i ja bym może poszła do fryzjera, a nie wiedziałam, że tu jest. O rety, gabinet stomatologiczny? Lekarz też? Psychoanalityk? Mała intymna kozetka, na której spotykasz się ze swoją nieznaną naturą? Czemu nie wiemy o tym? O co chodzi?

– To piętro usług, ale tylko dla wybranych. Musisz mieć karnet. Masz tu też fitness i saunę.

Wzmianka o saunie popsowała jej humor.

– I co, taki drogi ten karnet?

– Drogi to jedno, ale poza tym musisz należeć do grupy. To elitarny klub, nie biorą każdego. Trzeba spełnić warunki wieku, zamożności, poglądów... trzeba przejść kolejne stopnie wtajemniczenia...

– Nie wierzę! Jak masoni? Coś takiego w naszych czasach! Co tu jeszcze mają?

– Własny basen, małe kino, kręgle i pokoje uciech. To naprawdę dobry klub.

– Wkręcasz mnie. – Ale zagłądała z ciekawością. Znów nikogo, widocznie wszyscy, już po nocnym masażu, przeglądzie lekarskim i ćwiczeniach, skryli się w małych gabinetach z wybranymi towarzyszkami. Myśl, że właśnie w tej chwili oddają się wyuzdanym praktykom, wydała się Bercie perwersyjna i zabawna. Chciałaby zajrzeć, zobaczyć, jak to robią, lecz Marcin już ciągnął ją dalej, znów schodami w dół.

– Sklepy – mówił – sklepy spożywcze, kosmetyki, ciuchy, stołówka, nic takiego. Żeby dotknąć prawdy i ciekawych rzeczy, zawsze trzeba zejść niżej albo wyżej od linii poziomu.

– Filozof! – podsumowała, ale posłusznie szła za nim. Przez uchylone drzwi, właściwie bramy, zobaczyła samochody. Więc szli pod garaże? Nie przypuszczała, że jest coś niżej. Popatrzyła pytająco.

– Jeszcze dwa poziomy – odpowiedział Marcin – był teraz jakiś inny, zadowolony, pewny siebie. – Zobacz – powiedział – tutaj przegrywamy duszę.

A dokładniej pieniądze, wciąż z tą głupią nadzieją, że kiedyś się odegramy. Tu Wiesio próbuje zdobyć fundusze na leczenie. A Gucio na panienki. Guciovi los sprzyja chętniej.

Salon gier nigdy nie kładł się spać, pachniało tu alkoholem, dymem cygar i papierosów. Berta chciała wejść, ogarnęła ją fantazja hazardzisty, ale Marcin odciągnął ją z tego miejsca. Niżej było jeszcze ciemniej i ciszej. – Jesteśmy tylko turystami – ostrzegł ją. – Jak w życiu. Tu też się nie zatrzymamy, chociaż akurat w to miejsce chciałbym cię zaprosić.

Sala widoczna przez szklane drzwi tonęła w fioletowym świetle, rozłożyste kanapy, muzyka dochodziła do korytarza.

– Co to? – Berta nie mogła zgadnąć. – Czemu nie możesz mnie tu zaprosić? Nie należysz do klubu?

– To dom schadzek – odpowiedział – tu przychodzą poszukiwacze przygód seksualnych. Chciałbym cię zaprosić, ale... ty nie chcesz, prawda, Berto?

Wciąż trzymał ją za rękę, ale dopiero teraz poczuła jego mocny uścisk. Pokazał jej głową mały pokój, otwarty, jakby poczekalnia przed wejściem do tego dziwnego przybytku. Pusty, materac pod ścianą i lampka stanowiły jedyne wyposażenie. Berta, zaintrygowana, usiadła po turecku na materacu, a Marcin usadowił się naprzeciwko.

– Nie jesteś już z narzeczonym? – zapytał.

– Nie – odrzekła.

– Podoba ci się Boryłow?

– Może.

– Jest nieosiągalny. – Marcin przysunął się do niej. – Podobasz mu się, wszyscy to wiedzą, za to ty nie wiesz wszystkiego, Berto. To facet nie stąd. Zaraz wyjedzie, pieniądze, polityka, nie wchodź w to.

– Nie wchodzę – odparła zmęczona – zatrzymałam się w odpowiednim momencie. Na wskazanym piętrze... Nie wchodzę teraz w żadne układy z wami, facetami.

Marcin roześmiał się.

– Więc nie mam szans? – zapytał. – Nawet na niezobowiązujący seks?

Uśmiechnęła się.

– Nigdy z kolegami z pracy – oznajmiła. – Słuchaj, co to za świat? Dziwny ten gmach. Brakuje tylko kaplicy...

– Jest – powiedział – z drugiej strony, po przybytku miłości możesz przejść i zaznać ukojenia. A niżej...

– Jeszcze niżej?

– Tak, tam są już katakumby, w których dzieje się coś dziwnego. Tajemniczego i myślę, nielegalnego. To mózg budynku. I tam nie wejdziemy, nawet moja władza tam nie sięga.

– Czemu, Marcin? Czemu mi to wszystko pokazujesz?

– Bo cierpisz. Chcę pokazać ci, jak różnie można żyć. W jednym biurowcu, co jest jak soczewka świata, widać wszystko jak na dłoni. Nigdy nie zmienisz zdania?

– Nie wiem! – Berta poczuła się kompletnie rozbita, skrzywdzona, akurat na Marcina spłynęła jej fala czułości. Przysunęła się do niego, pocałowała go delikatnie. „Może kiedyś – pomyślała. – Może, gdy najdzie mnie na niezobowiązujący seks”.

Przestraszyła się. Nie powinna była go całować. Zmienił się nagle, w oczach błysnął mu jakiś zły ogień, złapał ją mocno za ramiona, przycisnął do ściany, poczuła, że jest podniecony, ociera się o nią. Pocałował ją mokrymi ustami. Czowała się przyduszona. Zaczęła się wyrywać.

– Spokojnie – powiedział – tylko oddałem pocałunek. Tym razem tylko to, ale nigdy więcej nie wódź mnie na pokuszenie, Berto...

Wracali do garaży w milczeniu, stamtąd Marcin miał już możliwość wejścia do windy. Otrzeźwiał. Roześmiał się jeszcze raz, mrugnął porozumiewawczo.

– Zacznijmy od nowa: jestem Marcin Romer, pracuję na piątym, miło panią poznać.

Na widok rzędu samochodów i Berta odetchnęła. Oto ustawione szeregiem dowody, że można też stąd wyjechać. Właściwie burza w szklance wody, jest historyczką, wszystko miesza się w głowie od tego zamknięcia.

– A ja, Berta Kalinianka, chyba będziemy pracować razem... Wzięła go pod rękę i szli jak dobrzy koledzy.

– Kiedy wyjdziemy – powiedziała – stawiam ci dobry obiad. Kiedy wyjdziemy, możemy zacząć wszystko od nowa.

Kiedy wyjdziemy – brzmiało jak oczekiwanie na kres wyroku.

– Kiedy wyjdziemy? – powtórzył zdziwiony. – A wyjdziemy?

Światy równoległe

„Ludzie zamknięci w ograniczonej przestrzeni, nawet jeśli dobrowolnie, w określonym celu, zaczynają żyć odmienną egzystencją, życiem grupy. To grupa staje się najważniejszym lustrem jakości swojego członka, grupa wyznacza rolę i zadania, staje się miernikiem i instancją wymagającą. Syndrom zamknięcia polega na podporządkowaniu grupie indywidualnych potrzeb i interesów. Nagrodą jest poczucie przynależności i bezpieczeństwa. Ceną – podległość normom i wymaganiom grupy”.

Jolanta Znikomska sięgnęła do notatek z własnych wykładów. Zmartwiona patrzyła na syna, który w ostatnich dwóch tygodniach postarzał się jakoś i zmienił się na niekorzyść. Maciej – różne niedobre rzeczy można było o nim powiedzieć, bo wyprowadził się z domu i odmówił studiowania prawa, architektury lub medycyny, ale zawsze o siebie dbał. O ciało, które dostał od natury zgrabne, sprawne, nie tylko karmić, kochać i trenować. O duszę też dbał, on rzekłby: „o dobry nastrój”, był przecież optymistą, miał poczucie humoru, lubił swoje życie. Zdawała sobie sprawę, że to ona uczyniła go trochę maminsynkiem, ale rozgrzeszała się jako matka samotnie wychowująca syna. Był jej dumą, cieszyły ją także uwagi znajomych, którzy twierdzili, że Maciej jest do niej podobny i kiedy razem idą ulicą, wyglądają jak brat z siostrą, nie syn z matką. Co z tego? Dawny Maciej, zdobywca świata, znikł, a naprzeciwko przy stole, siedział i grzebał widelcem w makaronie z parmezanem Maćko spod budki z piwem. Zaniedbał się, zarósł, przetłuszczone włosy sięgały mu już ramion. Wołała nie dociekać, kiedy się ostatnio kąpał, a koszulę miał przybrudzoną przy kołnierzyku, co było według jej norm niedopuszczalne.

– Czytam ci to – powiedziała – bo chcę, żebyś miał świadomość, że takie eksperymenty są niebezpieczne. Psychologia zna różne konsekwencje izolacji w grupie, nie życzyłabym żadnych naszej Bercie. Kiedy kończą ten, jak to nazywasz: crunch?

– Nie wiem. – Maciek wzruszył ramionami. – Nic nie wiem. Przestała się odzywać.

– A jak ci z tym? – zapytała. – Aż tak tęsknisz? Może byłoby lepiej, gdybyś

mi opowiedział, co czujesz?

– Mamo! – Maciej rzucił widelcem po stole, niegrzecznie i niehigienicznie.
– Mamo, nie praktykuj na mnie. Znam twoje techniki, nic nie staje się złejsze od mówienia... Zresztą nie ma co gadać, przepraszam.

– Synu, no, ale... mimo wszystko, po co taka histeria? Przecież Berta wróci, mają terminy.

– Nie wróci, w tym sęk. Raczej ja wrócę do ciebie. Przyniosłem kilka rzeczy już dziś. Zadowolona? Prawda? Nigdy jej nie lubiłaś.

I otóż wcale nie była zadowolona. Nie pokochała Berty, bardziej polubiła jej rodziców, ale doskonale zdawała sobie sprawę, że to nie ona miała ją kochać. Syn jej jeszcze na Wielkanoc wyglądał na naprawdę szczęśliwego, szykującego się do upragnionego ślubu młodego człowieka. Pogodziła się zatem z takim wariantem, wszystko sobie już opracowała. Nie zrezygnowała z kariery zagranicznej Maćka, obmyślała, jak wyprawić ich razem i odnawiała kontakty w Europie. A teraz, proszę bardzo, oszalał czy co?

– Jak to nie wróci? Czemu? Czego ja nie wiem? – zapytała zirytowana.

Maciek patrzył na nią zrezygnowany. Czy miał jej powiedzieć? Właściwie co? Że Berta nie daruje mu zdrady, nawet jeśli był to niedokończony, nic nieznaczący epizod w saunie. Może miał powiedzieć matce, że zauroczyła go blond artystka, ponętna i niepruderyjna przyjaciółka Berty, że jeszcze teraz ma w oczach jej sylwetkę w drzwiach sauny, z podniesioną nogą jak baletnica, bez majtek z widoczną szparką. Nie nadawało się to do opowiadania matce ani nikomu. Berta miała rację, świętą rację: jeśli to zrobił, to pewnie nie był gotowy na poważny związek. Ale od tego czasu dorósł o tyle, że musiał sam dać sobie radę z tym tematem. Nie powiedział matce niczego, nie dojadł, wstał i wyszedł. Jola Znikomska zrozumiała, że coś się stało, ale że teraz nie dowie się co. Może to tylko kryzys, ale nie pamiętała Maćka w takim stanie. Rozpoznawała symptomy depresji. Ogarnął ją lęk: żeby sobie nic nie zrobił. Swoim klientkom lękającym się o bliskich mawiała w takich sytuacjach: spokojnie, to się tak szybko nie dzieje, ale... Z nagłą niechęcią popatrzyła na portret zmarłego męża. Ten jak zawsze nie pomoże. Do Kalinów też nie mogła się zwrócić, bo Anna wciąż była w szpitalu w Szwajcarii. Postanowiła skonsultować się z docentem Faszkiem, swoim przyjacielem z katedry. Rysio Faszke od wielu lat umiał jej pomóc w podobnych chwilach strachu i zwątpienia. Zadzwoiła.

Maciek w tym czasie łąził nad Wisłą, kopnął kamień ze złością, wreszcie

przysiadł na jakiejś ławce. „Co robić, co robić? – myślał. – Wyprowadzić się, zanim wróci? Rozbić obóz przed jej biurowcem? Napisać sprayem na wszystkich billboardach widocznych z trasy czterysta dwa: «Wybacz, Berta! Kocham cię!»”. Wciąż nie odwołał uroczystości ślubnych, natomiast przez te wykłady matki gryzł się jeszcze bardziej. Do tęsknoty, upokorzenia, poczucia winy i miłości dołączyło jeszcze jedno uczucie: strach o Bertę, okropny strach, pytanie, co się tam z nią dzieje? Zawył i walnął pięścią w ławkę. Przechodząca para wzięła go za trzeźwiejącego kloszarda, ale nic go to nie obchodziło. Myślał, czy warto walczyć, czy nie. A jeśli nie będzie o nią walczyć, to czy warto żyć. Bez Berty?

*

Dni zwały się z nocą, zwłaszcza że były to najdłuższe dni w roku, a krótkich, jasnych nocy nikt właściwie nie zauważał. Kacper Brog nabierał pewności, że skończą grę do kupały, najdalej do końca czerwca. Wiedział też, że będzie to koniec tego stanu izolacji, który tak lubił, ale rozumiał, że każdy crunch ma swój kres, więc ten także. Nie był wariatem, był tylko zapaleńcem i podglądaczem. Połączył to sobie w jedno: zamykał się przed dwunastoma ekranami, sprawdzał kamerkami stan ducha i ciała, a także poczynania swoich pracowników. Większość tego, co doświadczała, była nudna. Skupili się na tym, by jak najszybciej skończyć pracę, rzadko więc wymyślali rozrywki albo umilali sobie życie cokolwiek poza muzyką. Słuchawki w uszach, oczy w ekranach, codzienny pakiet rysunków, testy, połączenia animacji. Przyznałby rację matce Maćka – cel grupy stał się ważniejszy niż własne ja. Dodałby do tego syndromu jeszcze postępujące przemieszanie światów: zaczęli żyć w grze. I to podniecało go najbardziej, bardziej nawet niż kamera w garderobie młodych graficzek, dzięki której wiedział, co robiły i jaką nosiły bieliznę. Pola – tylko czarne biustonosze i minimalistyczne figi. Justyna ucięła sobie z Wiesiem coś więcej niż mały romansik. Widział, jak pozwalała mu na przytulanki, potem sama wymyślała masaże i ugniatała mu erogenne miejsca, w końcu znikali gdzieś w korytarzach, a tam już nie miał kamer, nie mógł dowiedzieć się, do czego doszło, czy Wiesio przynajmniej to marzenie spełni i zanim zeschnie się jak wiórek, zazna miłości z kobietą. Żyli tu wszyscy w zwolnionym tempie, na jednym z ekranów Edyta mieszała jakąś zupę przy

mikrofalówce, mieszała i mieszała, patrzyła w miskę, jakby była uśpiona. Na drugim Berta sumiennie rysowała, a nad nią stał Marcin i pokazywał jej coś piórką. Po mowie ciała mężczyzny widać było, że ta kobieta nie jest mu obojętna. Kacper kiwał głową ze smutkiem, bo wiedział, że z tej mąki chleba nie będzie. Miał ekran specjalny dla Gosi, siedziała za biurkiem, malowała paznokcie śmierzącym, niebieskim lakierem. Zastanawiała go, wydawała się ostatnio zmieniona. Nie rzucała jak zwykle sprośnymi żartami o latających penisach. Zamyślała się często. Nie krytykowała pomysłów ani kolejnych etapów gry, dla dobra grupy zgadzała się na wszystkie fabularne i wizualne rozwiązania i bardzo dbała o catering. Postanowił więc przejrzeć jej listy zakupów i rachunki, one tak wiele mówią o kobietach... Dbała też o to, by wieczorami dostępne były rozmaite alkohole, także inne używki, bo Kacper wierzył, że wszystkie wielkie dzieła powstały pod wpływem opium i absyntu. Chciał, by trunki były czymś w rodzaju nektaru zapominania o wszystkim, co nie jest ich grą, a gra wciągała, im bliżej końca, tym bardziej. Nie dziwił się, że Wiesio używa dopalaczy, że Berta ubiera się w zieleń i czesze jak Wasylia, że pokłócili się o posąg bliźniaczych braci. Niepokoił go tylko Marcin. Jeśli był tu szaleniec, to był nim on, designer, genialny, ale czasem dziwny, nieobliczalny. Bo tylko on serio uznawał przestrzeń gry za lepszą od rzeczywistej. Powstawało pytanie, czy czuł się rycerzem, czy już nim był.

*

Siedem psów Południcy to nie jest szczęśliwa siódemka rozkosznych szczeniactków. Nawet jeśli kiedyś były kulami czarnego puchu, teraz warczą i szczerzą kły w stronę Wasylii. Księżniczka napina łuk, niepotrzebnie, nie trzeba ich zabijać, szepcze Mary, ich oczy dowodzą, że mogłyby być z nich całkiem dobre pieski... Graczka Mary ma już w inwentarzu dwa garnce białego błota, znalazła je na dnie osuszonego jeziora. Gdy sypie białym błotem, psy zaczynają skomleć i węszyć zaciekawione. Woń błota jest dla nich niczym waleriana dla kotów, używką szczęścia, wciągają w nosy jak narkoman kokainę, błoto usypia je skutecznie. Być może przenosi je w lata szczenięce, bo groźne brytany zwijają się w kłębki i pomrukują przez sen z zadowolenia. Rudy młodzian, zaciekawiony, zbliża się do płotu,

przyzwyczajony do groźnej sfory, nie wie, co się dzieje. Staje twarzą w twarz z Wasylią, a graczka widzi teraz podobieństwo postaci. Mają identyczne profile. Nie może być pomyłki, to jest książę Wasyl, syn Budryma, prawowity spadkobierca władzy w plemieniu. Jak przywrócić mu pamięć i świadomość? Mary jeszcze tego nie wie, kieruje się w stronę skamieniałych ofiar Południcy. Żeńcy w półukłonach zastygli z sierpami w rękach, przejezdni kupcy z ustami otwartymi z pożądania, giermkowie spragnieni nauki w sztuce miłości. Posągi. Jest tu także Kamienny Chłopiec. Ma twarz podobną do Wiesia i podobny, beznadziejny smutek w oczach. Ostatnie zadanie Mary to ożywić tych nieszczęśników. Ostatnie zadanie Wasylii to obudzić brata z letargu, oddać mu władzę, a samej zniknąć w ramionach rycerza Jaro. Trzeba się spieszyć, Południca może wrócić w każdej chwili. Bajoro marszczy się niespokojnie, żuraw przy studni trzeszczy. Wskazówka pokazuje plac wyłożony kamieniami, wyrysowane na nich znaki runiczne nie składają się w logiczny ciąg. Mary przesuwa je wszechmogącą rączką, jeden do drugiego. Szlak zyskuje czytelny kod, który wprawia w ruch wszystkie kamienie w przestrzeni. Porusza się nawet młyńskie koło. Posąg Światowida obraca się powoli wokół własnej osi, jak reflektor zalewa światłem kolejne powracające do życia postacie. Bryły posągów w dziwacznych drgawkach chwytają za swoje sierpy i za kosze, worki, zwoje materii, wszyscy przeciągają się, jakby powstali ze snu, lecz Kamienny Chłopiec ani drgnie, a i misjonarz stoi nieruchomy. Nikt za nimi nie tęskni, a to najważniejszy czar, który zdejmuje klątwę. Mary wie to ze znalezionej w dziupli listu. A jednak jest na to rada, można zdjąć kaptur, rozwiązać sznur misjonarza. Spod kaptura wyłania się twarz, którą zna, ostatniego zaginionego archeologa, szybko wpisuje w tablicę postumentu jego imię. Fanfary i chmury informują, że wykonała ostatnie zadanie, archeolog ożył, co więcej, wie, czyj grobowiec odkryła ekipa przy starej wiosce. Zanim jednak tam powróci, Mary cofa się złotą strzałką. Wstecz i wstecz, wraca przez bajoro, znów jest w obejściu domu Południcy. Wasylia i Wasyl w tej samej pozie nieruchomo trzymają się cały czas za ręce. Kto kogo pociągnie na swoją stronę? Ona wróci go do życia czy on wciągnie ją w śmiertelny letarg? Nadlatuje Południca, ze wściekłości gubi suknie,

piękne sploty warkoczy, mięśnie, obnaża się jako przerażający kościotrup z resztkami ciała przy kościach. Z drugiej strony rycerz, nadciąga konno ze wzniesionym mieczem. Jak zwykle przybywa, by ratować Wasylię z tarapatów i jak zwykle ona woli być samodzielna. „Wskaż podobieństwa między rodzeństwem” – nakazuje komunikat. Mary błyskawicznie klika w profil, ucho, wzrost, rude włosy, układ piegów na policzku, wreszcie najtrudniejsze: zamię, maleńka literka W na ramieniu obojga. Wasyl przytomnieje, ale nogi młodzieńca grzęzną w błocie. Imię matki – żąda gra. Zupełnie jak weryfikacja w call center banku. Mary nie zna imienia matki bliźnięt, lecz po coś uwolniła archeologa. On wie, ma to imię w notesie. „Welena” – wpisuje Mary w tablicę nad drzewem. Teraz wszystko się zgadza, rycerz odcina Południcy głowę, która jest już tylko pustą czaszką. Z kręgosłupa wypływa życiodajny rdzeń, dociera do Kamiennego Chłopca i oddaje mu sprawność w członkach. Wasylia wita się z bratem, a potem rycerz pada jej do stóp. Ona kładzie mu ręce na głowę, gestem przyzwolenia. Odwraca twarz ku graczce i dziękuje jej. Gra skończona? Prawie. Trójka głównych bohaterów odchodzi w swoją stronę, po miłość, po władzę, po zwycięstwo. Mary z ostatnim archeologiem wracają do schroniska, witani radośnie przez resztę zespołu. Mogą kontynuować pracę, ona jako mediewistka ma nadzieję na materiał do doktoratu. Naukowcy wznoszą kieliszki na cześć swojej szefowej Mary Ronney, czyli każdej z was, każdej graczki Skarbu Wenetów.

Game is finished

– Brawo, brawo, brawo! – Kacper odwrócił się na kręconym krzeselku i z dumą popatrzył na zespół skupiony wokół wielkiego ekranu na ścianie. Mocno zaklaskał w dłonie, a nawet przyciągnął Gosię i posadził ją sobie na kolanach. Testowali ostatni etap. Wyglądało na to, że gra skończona. Wyglądało na to, że Kacper publicznie przyznaje się do związku ze swoją asystentką. No i że teraz tylko impreza na zakończenie, happy end dla wszystkich zainteresowanych, po czym powrót do domu. Powinni skakać z radości, tańczyć i wywijać hołubce. Ale jakoś nie czuli euforii.

– Gdzie ja teraz wrócę? – pomyślała Berta. Gra kończyła się szczęśliwie dla postaci, ale prywatne fabuły twórców biegły różnie. Wiesio, bleśny ostatnio i bardziej otumaniony lekami, patrzył w ekran z żalem, bo ubrdał sobie, że dopóki nie skończą gry, nie może umrzeć ani nawet stracić władzy w rękach. Marcin patrzył w ten sam ekran z gniewem. Jego rycerz zdobył Wasylię, ale on sam, wraz z końcem gry i zamknięcia, tracił ją na zawsze.

– A co z dodatkową przygodą? – zapytała przytomnie Edyta. – Zawsze robiliśmy...

– No i robimy! Mamy na to budżet! – Zadowolony Kacper właśnie tego pytania oczekiwał. – Ale utkniemy tu jeszcze do końca czerwca. Wchodzicie w to?

– No jasne – odpowiedział żywo Marcin – kilka dodatkowych dni nikogo nie zbawi, prawda, Berto? – Dotknął jej uda. Zmęczona, spragniona czulego gestu, odebrała dotyk Marcina z chęcią, z przyjemnym prądem w skórze, zaniepokoiła się.

„Czemu to tak jest – pomyślała – że w grze ratuje mnie i pomaga, a w życiu odwrotnie, wciąga w jakieś odmęty, czarne podróże, seksualne doznania”. Odsunęła się ostentacyjnie.

– Czyli – wróciła do tematu dodatkowej przygody – tak jak planowaliśmy, bitwa Wenetów z zakonnikami?

– Owszem. – Kacper cmoknął Gosię w policzek i poprosił o kawę. Wyglądali na szczęśliwych, Berta westchnęła, a szef kontynuował. Już to widział: konie i zbroje, całe stosy broni, tu dzidy, tam topory...

– Hop, hop, Kac, nie rozpędzaj się... nie zdążymy zrobić tylu detali. – Marcin miał inny pomysł: – Najlepiej. jak skorzystamy ze starego pomysłu Olgi, księżnej ruskiej. Wysłała na chaty wrogiego plemienia całe stada płonących ptaszków. Najpierw zażyczyła ich sobie jako daniny za pokój: z każdego domu gołębie, wróble. Oddali je z ulgą. Olga wiedziała, że gdy je wypuści z klatek, wrócą pod rodzime strzechy. Przyczepiła ptakom do skrzydeł płonące strzałki...

– Nie!!! – krzyknęły gromko Berta i Edyta, jednocześnie, Gosia omal nie wylała kawy.

– Nigdy – twardo powiedziała Edyta – nie narysuję ci żadnych płonących żywych stworzeń.

– I ja nie przyłożę do tego ręki – poparła ją Berta – muszą sami się pozbijać, skoro już chcecie krwawej jatki na koniec.

– Chcemy. – W oku Marcina błysnęła złośliwość. – Nie ma seksu, to chcemy krwi i przemocy.

– Jeszcze jedno – zauważył Guccio – czy nie mamy niewyjaśnionej sprawy? Marcin, to ty jesteś designerem, zaczęło się od odnalezionego grobu... Tego dziwnego: niby stos, a obudowany kamieniem, kości dwóch kobiet. Czyje?

– I to się okaże w dodatkowej przygodzie! – zamruczał zadowolony Marcin. – Wszystkiego mi tu odmówiono. Nie ma łez, spermy i krwi, to chociaż trupy mi pozostają...

– I cosplay – szybko wtrącił Kacper, widząc niesmak i oburzenie na twarzach graficzek, nawet Gosi – obiecana impreza na kupałę, przebieranki, hulanki, swawole... co wy na to?

– Postacie z kreskówek, bajki animowane?

– Tak, ale tylko lata osiemdziesiąte...

– Nie, no nie, byliśmy wtedy dziećmi.

– O to właśnie chodzi, wrócimy do źródeł... a może my coś ogłosimy? – Pochwyił rękę Gosi, uśmiechnął się do wszystkich promiennie. Był przystojny, pełen energii i trzeźwy jak laptop. Nigdy jeszcze takim go nie widzieli.

– Brawo, brawo, brawo! – powtórzyli monotonnym chórem jego własne słowa.

Cosplay

Nie odczuwali upału, z którym zmagał się świat na zewnątrz. Klimatyzacja działała bez zarzutu, nie należało tylko otwierać okien, bo wpadał wówczas do pomieszczeń żar, oddech miasta spalonego słońcem.

– Tak niezdrowo, i tak niezdrowo – marudziła Gosia, zmagając się z klamką u okna – klima to nic dobrego, ale to piekło tam...

Nie miała jednak czasu na okna i klimy, przygotowywała cosplay. Noc Kupały wypadła z soboty na niedzielę i nikt nie zamierzał spać. Wszystkich Game Starsów ogarnęło podniecenie, siedzieli już tutaj ponad trzy tygodnie i chcieli odmiany, byli młodzi i zmęczeni jednostajnością pracy. Przy posiłkach ze śmiechem przypominali sobie kreskówki z dzieciństwa, zachwyty disneyowskimi produkcjami, różnorodne hity: *Smerfy*, *Gumisie* i *Pszczółkę Maję*. Usiłowali utrzymać w tajemnicy swoje kostiumy, bo cała przyjemność potem w rozpoznawaniu, ale Gosia była po trochu wtajemniczona we wszystkie, bo część materiałów po prostu trzeba było kupić. Edyta konspiracyjnym szeptem zamówiła u niej druty, miękkie, wyginające się druty. Zajrzały do sekretariatu – tam chichoczące graficzki pytały, czy nie będzie zamawiać czegoś w aptece albo w kosmetyku... Oczywiście, że będzie, miała ostatnio własne interesy w tej branży. Poprosiły o trzy paczki waty, gencjanę, farby. Guccio zapragnął szminki bardzo czerwonej, a Marcin zielonych szmatek. Gosia zastanawiała się chwilami, czy nie powariowali w tym zamknięciu. Albo czy na pewno byli dorośli? Nagle w trzydziestolatkach obudziły się dzieci. Ich pragnienia sprowadziły się do tego, jak zaskoczyć, zachwycić grupę przebraniem. Nawet Wiesio ożywił się trochę i tworzył w swoim kącie jakiś kostium. Gosia sama postanowiła wystąpić jak najprościej, ostatnio czuła się doroślejsza od nich wszystkich, a już na pewno od swojego szefa i kochanka w jednym – Kacpra Broga. Rada była, że traktował ją trochę poważniej, flirtował, przestał kryć się przed zespołem, że są parą, bo chyba byli, skoro kochali się regularnie w jego gabinecie, najczęściej na wykładzinie pod biurkiem, czasem na jego fotelu za biurkiem, a raz nawet na biurku. Nigdy w pakamerze, tam nawet Gosia nie mogła wchodzić. Zastanawiała się dlaczego, ale Kacper prosił ją o to tak bardzo, a każdy ma swoje tajemnice.

Ona też miała swoją i nie bardzo wiedziała, co z nią zrobić. Najchętniej przebrałaby się za Śpiącą Królową i przespała całą imprezę, a także następne dni i decyzje, które ją czekały. Co innego niż strój na cosplay zajmowało teraz jej myśli. A tu niespodziewanie sam Kacper wkręcił się bardzo w temat i poprosił szeptem szpiega, by pomogła mu przyszykować strój...

– Jaki? – zapytała, a kiedy usłyszała odpowiedź, nie wiedziała: śmiać się czy płakać.

– Dextera, ostatniego dinozaura – szeptał przejęty szef. – Trochę zielonej farby, wiesz, pysk i tak mam podobny... Kiedy zdumiona pokręciła głowę, niespodziewanie pocałował ją w rękę i powiedział: – Goniu, to tylko zabawa, nawet nie gra... nie przejmuj się tak, nie przejmuj się wcale.

Postanowiła, zgodnie ze stanem duszy, przebrać się za Matkę Naturę.

Bawili się świetnie, wejście Dextera rozbawiło ich do łez, Liszka ze śmiechu tarzał się po wykładzinie. Kaper – Dexter podskakiwał i seplenił, patrzył na nich zza wielkich okularów, i wszyscy natychmiast zgadli, kim jest. Kiedy wsunęła się za nim Gosia, porwał ją w objęcia i błękitne szaty Matki Natury omal się nie rozleciały. Była tak nieudolnie przebrana, że długo nie mogli zgadnąć, czy chodzi o gnijącą narzeczoną, czy o poczciwą sojuszniczkę Papy Smerfa. Wjechał na swoim wózku Wiesio z czułkami na głowie i w sweterku w paski, pogrubiony poduchą i cudownie leniwy. Rozszyfrowali go natychmiast, a Wiesio, zadowolony, z zapałem opowiadał, że przecież mógł być tylko pszczołą – Guciem, szkoda tylko, że unosi się na wózku, a nie na wielkim zielonym liściu nenufaru. Edyta miała płomienny ogon wiewiórki, wykonany na stelażu z drutów, majestatycznie falujący przy każdym kroku, do tego mocny makijaż słynnej myszy Gadżet z Brygady RR. Oczywiście, musiała przebrać się za jakieś zwierzę. Najbardziej rozbawiły ich graficzki i Liszka, bo przeistoczyli się w trzy słynne Atomówki. A po nich wtoczył się do salki prawdziwy Pokemon z tamtych lat, Pikachu – to rozszyfrowali od razu, ale ledwie rozpoznali w nim Gucia. I oto z korytarza wszedł wysoki, mężczyzna w pelerynie. Czarno-srebrna maska na oczach, sztuczne wąsy i peleryna na białej koszuli były jedynym przebraniem. Nie mówił nic, a Gośka liczyła ludzi i wychodziło jej o jednego mężczyznę za dużo. To mógł być tylko...

– Misza Boryłow – krzyknął uradowany Kacper-Dexter, ostatni dinozaur – jednak przyjechałeś, brachu!

– Konkwistador, Konkwistador – skandowały graficzki.

Ale gość odmownie kręcił głową. Nie był Boryłowem, nie był

konkwistadorem, może słynnym Zorro? Także nie.

– Don Juan! – krzyknął ktoś, a wówczas gość zdjął maskę z oczu, i przyznał się, iż jest jednak Michailem Boryłowem. Zaskoczył ich poczuciem humoru, nie sądzili, że weźmie udział w cosplayu, a tu proszę, jak najbardziej, już siedział z nimi na materacach, lśnił białą koszulą, pił razem z nimi i śmiał się głośno. Na improwizowaną scenę wbiegła ostatnia postać. Tancerka, szczupła, giętka, w srebrnych pończochach, balerinkach i czepku na włosach ściągniętych w ciasny kok. Miała białą koronkową spódniczkę prawdziwej baletnicy i odtańczyła śliczne rondo z arabeską, zgięła się w ukłonie i złożyła jakby do snu.

Czekała na odpowiedzi, ale Starsi patrzyli na siebie niepewnie. Nikt nie kojarzył tej bajki. Berta podniosła wzrok i uśmiechała się triumfująco, gotowa pokazać im język. Nigdy nie wiedziała, czy w cosplayu chodzi o to, by trudno było zgadnąć, czy właśnie trzeba przebrać się tak, że wszyscy natychmiast odgadują, kim jesteś, zanim na dobre wejdiesz na scenę.

– Mała Mi? – zakpił Liszka. Pokręciła przecząco głową, poderwała się, cofnęła, wykonała drobne pas de bourrée, zakręciła fouette i piruet, i pozostała w ukłonie. Proszę bardzo, jak przydały się jej lekcje baletu, jeszcze w liceum.

– To może to z *Jeziora Łabędziego*?

– Albo z *Dziadka do orzechów*, Disney zrobił... Berta, tak?

Pokręciła głową, że nie. Wtedy lekko wzruszony, niski głos Miszy oznajmił: – Ja wiem. Z Andersena. Dzielny ołowiany żołnierz, czy tak? Tancerczka z bibuły?

Berta wykonała reverence, czyli ostatni ukłon, zaczęła bić brawo i skłoniła się przed Miszą z zaproszeniem do tańca. Muzyka przybrała na sile za sprawą manipulacji Gucia przy głośniku, zaczęli więc wirować. Najpierw Don Juan i Baletnica, a po chwili dołączyła reszta. Stanowili przedziwną grupę przebierańców, ogon Edyty przeszkadzał wszystkim, Pokemon Pikachu popiskiwał i podrygiwał w tańcu, Wiesiek-Gucio kręcił się wózkami dookoła własnej osi. Dla przybysza z obcej planety byłoby to widowisko absurdalne, nie zrozumiałby tego barwnego tańca. Żaden przybysz z obcej planety jednak nie nawiedził ich biura, z zewnątrz był jedynie Misza, który tańczył ze wszystkimi dziewczynami Starsów po kolei. A i on nie był z innej planety, tylko z Moskwy, i przybył, by się z nimi pożegnać. To była pierwsza informacja, którą opijali hucznie, z żalem, ale bez rozpacz, bo Boryłow wróżył im znakomitą przyszłość i samodzielny rozwój. Sam zaczynał karierę

w zupełnie nowej dla siebie branży.

– Będę musiał jeździć po świecie, z placówki na placówkę – mówił – ale lubię to!

– I to tak samotnie? – dopytywała Edyta. Misza uśmiechał się tajemniczo, wzdychał, że te kobiety to tylko jednym, o lubwi...

– No nie sam – odpowiedział – żenię się jesienią. Pani mojego serca i tak wytrwała dość długo – dodał – czeka na moje uspokojenie, stabilizację znaczit, sześć lat. Pracuje w dyplomacji.

Berta przypomniała sobie Lenę Swietłową i swoje wyobrażenie o kobiecie łabędziu. Więc Boryłow wyjeżdża i żeni się jesienią. Dlaczego tak ją to ukłuło? Gdyby nie ta niesmaczna historia z Maćkiem i Mirką, mogłaby teraz powiedzieć: „Ja też wychodzę za mąż!”. Mocno zabolą ją myśl, że jednak nie, ani za mąż, ani nawet do domu, bo nie miała pojęcia, gdzie pójdzie po crunchu. Zateęskniła za czasem, kiedy była tak pewna, że i na nią ktoś z czeka w jednym z tysięcy mieszkań w tym mieście. Jeszcze miesiąc temu... Nowina o weselu byłaby aktualna i przyjemna. Tymczasem przyjemność nie należała do niej, lecz do Kacpra.

– My też – zaczął, a ponieważ nikt go nie słuchał, postukał łyżką w butelkę. Uciszyli się. – My z Gosią też bierzemy ślub – oznajmił Kacper. – Bo chyba nie odmówisz mi swojej ręki, Małgorzato, kobieto o imieniu godnym asystentki mistrza, skoro proszę cię o nią przy całym naszym zespole Game Stars? Biorę was za świadków. Wyjdiesz za mnie, Gonia, powiedz?

Gosia stała jak posag z ich gry, ale posąg Matki Natury, bo tak była przebrana. Ostatni Dinozaur, jeszcze gdzieniegdzie zielonkawy, klęknął przed nią na jedno kolano i ponaglił ją trochę, ciągnąc za rąbek szaty.

– No, powiedz: „tak”.

– Tak – automatycznie zgodziła się Gosia. Kacper skoczył na równe nogi i pocałował ją przy wszystkich. Ktoś krzyknął: „hurra” i „nalejcie” – a Kacper cicho szepnął do ucha Matki Natury: „A o dziecku mogę powiedzieć?”. Automatycznie powiedziała znowu: – Tak.

Kacper podziękował pocałunkiem i dodał, jak gdyby nigdy nic.

– I będziemy mieli dziecko, w grudniu, akurat na koniec roku, a na początek sezonu gry!

– Goniu, to prawda? – Płeć żeńska opadła ją z uściskami.

– Brawo, Gonia! Brawoo, Kac! – krzyczała część męska. – To z zamrożonego jajeczka?

– Z żadnej mrożonki – oburzył się Marcin, głaszcząc brzuch Gosi – wszystko na świeżo, siedzi tutaj mały, złoty strzał Kacperka Broga.

– Ja chcę przemawiać – wrzasnął Marcin, a gdy ścichli, podjął uroczyste i poważnie:

– A zatem wszystko się zgadza. Chciałem wam uświadomić, że tak a nie inaczej powinno być w Noc Kupały, noc przesilenia letniego, które w tej chwili następuje w kosmosie. To było i będzie święto Swarożycy. Tej nocy winno nastąpić poczęcie dzieci i wiązanie się par. Niektórzy się pospieszyli, Kacper, ty zawsze po swojemu, lecz nie szkodzi. Świętujmy Noc Kupały! Kult płodności i miłości. Pamiętajcie, że tylko tej nocy wolno pannom udać się z chłopakami w las, w poszukiwaniu kwiatu paproci. Że tylko dziś można płodzić, kto z kim chce bez żadnej kary... Zgadza się na to Swarożyc, a także święty Antoni, patron panien na wydaniu, i święta Katarzyna, patronka kawalerów. Raz w roku można się puścić, to znaczy wodze zmysłów i fantazji.

– Bredzi? – szepnęła Edyta, podając Bercie kawał tarty z truskawkami. – A ja ci powiem, że jest sezon truskawkowy, a my o tym nie wiemy... i że ta Pola to byłaby chętna spróbować z nim czaru jedynej nocy.

– Wcale tak bardzo nie bredzi – szepnęła Berta i łyzy zakreśliły się w jej oczach. – Edziu, takie były słowiańskie tradycje... Młodzieńcy polowali na wybranki, one puszczały wieńce z biegiem rzeki...

– Ale on wolałby upolować twój wianuszek, kochana. Powiem ci, że całkiem jest przystojny ten Marcin z ogniem obłądu w oku...

– I pijany. – Berta zaśmiała się, sama już pod wpływem trunków. – Dziś chyba gotów upolować nas wszystkie. A ja jestem też trochę wstawiona, Edziu, i zmęczona. Miłościami, zdradami, chorobami.

– Jak mama? – zapytał Boryłow, który widocznie usłyszał ostatnie słowa.

– Ach, taka jestem ci wdzięczna – rzekła, obracając się ku niemu. – Pobyt w klinice doskonale jej zrobił... Ma dobre wyniki, wraca niedługo i wiesz, raczej nie będzie potrzebny przeszczep, przynajmniej na razie.

– To czemu płaczesz, Berto?

Rzeczywiście płakała, zła, że Michał zawsze ją widzi taką rozmazaną. Edzia gdzieś zniknęła. Syndrom zamknięcia i tej dziwnej nocy, a może też używki sprawiały, że w sali zapanowała psychodeliczna atmosfera. Gosia i Kacper znikli, Marcin obejmował Polę... Tańczyli jakoś dziwnie, rozciągali się w abstrakcyjne figury. Jak w grze, jak cienie postaci na tle sztucznych świateł. Nastawał świt i cienie bladły.

– Historia się powtarza – powiedział Misza, wyjmując chusteczkę – zawsze żałowałem, że nie przyjechałaś wtedy mojego pocieszenia, znaczy zaproszenia do apartamentu dwadzieścia trzy. Może teraz chociaż kawa o poranku? Mały koniak na osuszenie łez?

Nikt nie widział, jak się wymknęli, a winda śmignęła w ułamku sekundy. Misza przeciągnął kartą przy zamku, przyćmione światła w pokoju zapaliły się automatycznie. Michaił Aleksandrowicz, który miał wyjechać na zawsze, pochylił się nad barkiem, by sięgnąć po dwa kieliszki. Wyglądał wspaniale na tle złotych zasłon i różowego świtu, Berta poczuła pożądanie. Chciała nagle tylko jednego: zobaczyć, jak on wygląda nagi. Czar najkrótszej nocy działał, chciała poczuć jego dotyk. Sprawnie nalał trunek, podał Bercie, umoczyła usta w słodkawym ostrym koniak.

– Pro lubow'! – Przeszła nagle na rosyjski, a on się roześmiał z jej akcentu. – Pocałuj mnie na pożegnanie, Michaił Aleksandrowiczu.

Delikatnie wyjął kieliszek z jej rąk. Wziął za rękę i bez słowa zaprowadził na łóżko, miękkie, szerokie łóżko, które do tej pory zajmował sam. Nie mówili nic, w ciszy szybko zrzucił z siebie ubranie, lecz powoli zdejmował z niej strój tancerki, baleriny i pończochy, sztywną spódnicę łabędzia i skąpe stringi, i dopiero kiedy jej nagość odcięła się białym kształtem od brązowej narzuty, pochylił się, pocałował, obrysował dłońmi oczekujące go, rozgrzane ciało Berty. Przywarła do niego zaskakująco gwałtownie, objęła i bez żadnej gry wstępnej wchłonęła go w siebie. Oboje natychmiast doznali orgazmu, dlatego po chwili Misza z zawadiackim uśmiechem podniósł głowę z jej ramienia, odgarnął włosy z twarzy, przesunął palcem po jej ustach i sięgnął piersi. Powiedział cicho: „To za szybko, madame Berta. To był krzyk tęsknoty, teraz pozwól mi się kochać”.

Odpowiedziała mu uśmiechem i całkowitą gotowością, przesunęła jego ręce pod swoje pośladki i poddała się całkowicie kupałowej nocy, która zresztą stawała się właśnie najdłuższym dniem w roku.

Miał w ramionach kobietę gładką i namiętą, odważną i zarazem uległą, przyjmującą go z zaciekawieniem i pomysłowością. Nigdy by nie uwierzył, że był drugim mężczyzną w jej życiu, a ona, że to może tak być zarazem podobnie, ale inaczej, niż kiedy kochała się z Maćkiem. Kiedy po krótkim odpoczynku, zwabiony pieśczętą rąk znów w nią wniknął, westchnęła i podjęła rytmiczny taniec. Z każdym mocniejszym ruchem czuła go w sobie silniej, narastał w niej dreszcz i miała nadzieję, że to się nigdy nie skończy. Widziała, że on też się

zapamiętał i kiedy finał jednak nadszedł, krzyczeli oboje niezrozumiałe słowa, obojętni, czy ktoś ich może usłyszeć.

– Nie wypuszczę ciebie stąd, Berta – powiedział po drzemce, całując jej kark. Dzień trwał już w pełni. Wiedziała, że powinna wstać, że powinna się ubrać, wyjść, zejść tych kilka pięter w dół. Czuła spełnienie i lekką gorycz, że nie ma przed kim czuć się winna. Palce Miszy wędrowały po jej intymnych zakamarkach jak po klawiaturze pianina. Wiedziała, że nie powinna porównywać kochanków, ale nie mogła się przed tym powstrzymać. Michał Boryłow był dojrzalszy, to, co przeżywała z nim tej nocy, było doznaniem silnego, całkowitego zespolenia, jakby spłotyły się korzenie dwóch drzew. Z Maciejem było więcej zabawy, flirtu, poszukiwań i śmiechu. Misza niczego nie szukał, wiedział, czego chce, i odgadywał znakomicie, czego może chcieć jego partnerka. Uświadomiła sobie, że on kłamie, nie zatrzyma jej tutaj, nie zostanie im nic prócz wspomnienia. Przecież pamiętała, że ma inne plany, ślub, Swietłową, że jeszcze dziś wyjeżdża, nie pyta wcale, czy z nim pojedzie... ale nie czuła żalu i nie chciała myśleć o tym. W końcu w Noc Kupały wszystko wolno. Był taki poważny, skupiony, jakby jej ciepłe stopy i chłodne łokcie, potem wzgórek łonowy, potem pulsujący i śliski czuły punkt ukryty w głębi warg sromowych był jednym godnym uwagi tematem na świecie. Oboje znów ogarniało pragnienie, w pokoju pachniało miłością. Odwróciła się na brzuch, uniosła biodra.

– Jeszcze raz, Misza – powiedziała bezwstydnie – weź mnie ostatni raz, ale mocno, do bólu, tak wiesz, na prawdziwe pożegnanie.

*

Praca w ostatnich dniach czerwca postępowała szybko, sekwencje fabuły przyrastały, gra pochłonęła zespół. Najbardziej cieszyły ich spektakularne filmiki: scena batalistyczna, w której płonące strzały wysłane z łuków spaliły całą wioskę, a ptaszęta za sprawą żmudnej pracy Berty i Edyty, które ślęczały nad strzałkami, dało się ocalić. Przepięknie udała się im animacja ukazująca rozbicie lodowej skały w gromie. Najpierw rysy, pęknięcia, trzask i całe tafle kry, ostre sopte lodu z hukiem kruszyły się jak srebrne szkło. Scenę taką ujrzała Berta we śnie, czy to było proroctwo? Nie umiała tego zinterpretować, ale koniecznie chciała upamiętnić. Efekt lodowej apokalipsy uzyskali w 3D,

biegłością w programie zaskoczył ich cichy Liszka. Gra stała się ich jedyną rzeczywistością. Jak na finiszu każdego biegu, mocą ostatniego zrywu wkładali w nią najwięcej sił i najbardziej odczuwali zmęczenie. Po Nocy Kupały stali się sobie bliżsi, ale też trochę zawstydzeni. Berta wolała nie dociekać, co działo się w biurze, gdy wyszła z Boryłowem, sama też nie chciała zwierzać się ze swojej przygody, i tak wszyscy się domyślali, że coś zaszło między nią a dyrektorem. Edyta mrugnęła do niej porozumiewawczo i szepnęła, że Marcin szukał jej nad ranem..

„Ale nie znalazł – pomyślała Berta – i jest najwyraźniej zły”.

Rzeczywiście rycerz Marcin przestał być nagle rycerski, a stał się niegrzeczny, a nawet napastliwy wobec Berty. Między nim a Polą zawiązał się jawny romans, przytulał dziewczynę i ostentacyjnie, długo całował przy wszystkich, ale Berta czuła, że nie jest to szczere. Nie zwracała na niego uwagi, tym bardziej jej dogryzał. Krytykował rysunki, bałagan na biurku, zaniedbane włosy.

– Cichodajka. Berta wie, komu dawać – rzucił raz, kiedy przechodziła, i wówczas Liszka stanął w obronie Berty.

– Przestań – powiedział – czego ty od niej chcesz? To już podchodzi pod mobbing.

Marcin rzucił się ku niemu z pięściami, Gucio z Polą powstrzymali go z trudem. Otarł pot z czoła, powiększone źrenice wskazywały, że był na prochach. Wysyczał jednak: „przepraszam” i zniknął.

– Co się z nami dzieje? – krzyknęła Edyta. – Kończmy już tę przygodę, niech już Wasylia zwycięży, bo powariujemy.

Bitwę rozstrzygnięto zatem na korzyść plemienia Wenetów, mimo przestróg Żertwy, który przepowiadał klęskę. Inaczej jednak być miało według wróżby konnej, którą przeprowadzić musiała graczka, tak sterując koniem, by przeszedł przez labirynt z włóczni. Gonia sterowała dzielnie i koń wywróżył zwycięstwo. Bitwa rozegrała się pomiędzy plemieniem Burzyma a księcia Taghora, niedoszłego męża Wasylii. Taghor nie chciał nowej wiary, chciał pomsty za upokorzenie. Weneci jednakże zdawali sobie sprawę, że mogą ocalić się przed naporem nowego tylko wtedy, gdy je przyjmą. Po ich stronie walczył także misjonarz, który oczami wyobraźni widział już kościoły i kaplice w miejscach starych kurhanów. Zwycięstwo, jak wiadomo, przypadło Wenetom. Rządy objął młody Wasyl, a rycerz Jaro pojął za żonę Wasylię. Zapragnął zabrać ją do swojej ojczyzny, pokazać rodzinny zameczek i ukryty

wśród wzgórz klasztor, ojca i siostrę, która była małym dzieckiem, gdy wyruszał szerzyć wiarę na wschodnich rubieżach Europy. Czy grube romańskie mury, chłodne sale i rycerskie obyczaje spodobają się dzikiej księżniczce? Chciała to sprawdzić, rycerz opowiadał jej barwnie o kniejach za murami siedziby, turniejach i polowaniach z sokołami. Na wszelki wypadek nie napomknął młodej żonie, że tam kobiety w turniejach nie walczą, lecz zajmują miejsce w loży. Zakochana Wasylia nie snuła rozważań, podążała za tym, kogo wybrało jej serce. Przed wyjazdem podeszła do kurhanu, w którym spoczywały kości dwóch kobiet. Czyje?

– Matki oczywiście. – Marcin na haju wyjaśniał wszystkie zagadki swojego świata. – Zmarła musiała być znaczącą osobą, nie każdemu zabezpieczano stos kamieniami.

– Oczywiście. A druga kobieta, pochowana razem z rudowłosą Weleną?

Zapadła cisza. Czy Welena miała siostrę? Wierną służkę? Przyjaciółkę?

– Druga kobieta poszła za nią na śmierć z rozpacz. Z bólu po tym, co uczyniła. To ona popchnęła ciężarną Welenę, z zemsty za krzywdę swojej siostry, Południcy. Nie mogła jednak żyć z takim ciężarem w duszy. Gra to nie życie, tutaj zawsze musi dokonać się sprawiedliwość, jak w baśni... i taki niech będzie finał.

Fanfary finału potwierdziły słowa Marcina. Przez ostatni kadr, na tle płonących ognisk Wenetów, zaczęły płynąć nazwiska twórców gry. Wzruszeni nie dostrzegli, że Marcin wygląda tak, jakby trawiła go wysoka gorączka. Nie umiał pogodzić się z końcem swojego świata.

Okiem kamery

W dniu, w którym zamknęli prace i mieli opuścić biuro, zdarzyły się dwie rzeczy rujnujące triumf i poczucie ulgi, te miłe uczucia, które zawsze towarzyszą ukończeniu projektu. Oba wydarzenia ściągnęły na piąte piętro policję i nie były miłe ani przyjemne.

Pod koniec czerwca, w czwartek, w samo południe, na korytarzu siedziby Game Starsów rozległ się kobiecy krzyk. Krzyczała Justyna, tak przeraźliwie, że wszyscy wybiegli ze swoich dziupli i zgromadzili się przy kuchennych drzwiach, bo stąd dobiegał jej głos. Justa zakrywała usta rękami i z krzyku przechodziła w szloch. Kacper wyciągnął ją z kuchni, wbiegł tam i zrozumiał. Na podłodze leżał, w dziwnej pozycji: na boku, ale jakby w półprzykłąku, zastygły nagle, szary na twarzy Wiesio, wyjęty z wózka, jak żółw pozbawiony domku. Wózek odepchnięty pod ścianę, samotny i pusty, stanowił smutny widok. Kacper pochylił się nad twarzą Wiesia, dotknął skroni, zbadał puls, ale wszyscy wiedzieli, że stało się coś nieodwracalnego, totalnie odwrotnego niż w grze o Wenetach. Kamienny Chłopiec nie ożył, przeciwnie, leżał tutaj sztywny i był już tylko trupem, ze szklanym wzrokiem skierowanym w sufit. Kacper usiadł obok zwłok zrezygnowany i zamknął mu oczy.

- Nie żyje.
- Wygląda, jakby chciał zejść z wózka, upadł, uderzył głową?
- Skąd, co wy gadacie, jak sam z wózka?
- Strzelił sobie w żyłę, nie wytrzymał.
- A może choróbsko sięgnęło serca...
- Zobacz, jest krew przy głowie, nie ruszajcie...

Kacper urwał wszelkie domysły, sięgając po telefon. Tak czy inaczej trzeba było zawołać karetkę pogotowia i policję.

Pogotowie nie miało już nic do roboty. Lekarz stwierdził zgon, pęknięcie podstawy czaszki, najpewniej od uderzenia, ale obdukcja nie wskazywała jednoznacznie na przyczynę śmierci. Zadysponowano przewiezienie do prosektorium.

– Sekcja w takich przypadkach jest konieczna. A państwa zechcemy przesłuchać – oznajmił oficer policji.

– Ale my mieliśmy dzisiaj wyjść na świat – zaprotestowała Edyta. Policjant popatrzył na nią zdziwiony.

– Ależ wyjdziecie państwo, będziemy przesłuchiwać u nas, na komisariacie, no i nie wszystkich naraz...

Policja odjechała, ciało zabrano. Kacper, poblądły, znużony, stanął w drzwiach i poprosił:

– Nie rozchodźcie się jeszcze. Chcę wam coś pokazać. Ogluszeni zdarzeniem, zdenerwowani i tak nie czuli się gotowi do exodusu z biurowca na świat, mimo że szykowali się do tego od kilku dni. Poszli za nim chętnie, chociaż ze spuszczoneymi głowami.

– Chciałem ucieszyć was premią – powiedział Kacper. Bardzo był poruszony, mieli wrażenie, że zdesperowany. – W tych okolicznościach jednak... kasa schodzi na dalszy plan. Wiesiek ani się nie otruł, ani nie przedawkował. Ktoś go tak urządził... – powiedział głucho Kacper – i ja wiem kto. Proszę za mną.

W gabinecie włączył ekran na ścianie i zniknął w pakamerze. Po chwili ujrzeli film. Patrzyli na wnętrze kuchni, ciemne, pomieszczenie nie miało okna, a nikt nie zapalił świetlówek. Ani Berta, która weszła tam na chwilę, by zalać herbatę wrzątkiem, pomedytowała krótko nad szklanką i wyszła. Ani Gosia, która pojawiła się kilka minut potem, zabrała z lodówki mleko. Zapanowała cisza, Kacper przesunął film, bo długo nic się nie działo. Kamera wskazywała czwartą nad ranem, kiedy do kuchni wjechał Wiesio, rozmawiał z kimś przez komórkę. Rzucił telefon na stół, nalał sobie wody. Znow minęło trochę czasu, może kwadrans. Drzwi cicho zaskrzypiały, wszedł mężczyzna, masywny, ale silny, widać, że wysportowany.

– Skąd ja go znam? – szeptem spytała Berta. – No jasne, cieć – odpowiedziała sama sobie, chociaż wszyscy już rozpoznali faceta. Był jednym z pracowników ochrony biurowca, on akurat mógł wejść wszędzie. Wsunął się do ich kuchni cicho jak kot, zgrabnie jak na takiego dużego mężczyznę. Przywitał Wiesia. Rozmawiali, początkowo spokojnie. Dialog był ledwie słyszalny, ale widać było po gestach, że gość czegoś chce od Wiesia, irytuje się coraz bardziej, zaczyna potrząsać nim, pochylony jak Goliat nad chuchrem w wózku.

– Poznajesz go, Gutek? – zapytał cicho Kacper.

– To ten ochroniarz, Radek chyba? – rzuciła Gosia.

– Nie, nie tylko ochroniarz... – Kacper teraz przeniósł wzrok na Marcina. –

Panowie znają go w innej roli.

Na filmie facet wyraźnie groził Wieškowi, ten rozkładał ręce bezradnie, „oddam, oddam, poradzę sobie” – to jeszcze usłyszeli. Piąta sześć, żył jeszcze. Nagle ochroniarz wyjął go z wózka jak worek i rzucił na ziemię. Coś głucho puknęło, Wiesio nie wydał żadnego dźwięku, okrzyku czy przekleństwa, nic. Leżał na błyszczącej podłodze, ochroniarz kopnął go w bok. – Jak sobie teraz poradzisz, sukinsynu? – padło dość wyraźnie. – Płacisz czy nie?

Wiesiek nie tylko nie płacił, ale także się nie poruszał. Ochroniarz pochylił się, zobaczył strużkę krwi na szarym kwadracie terakoty. Zaklął brzydko, rozejrzał się i zniknął.

– Ten pan Radek – powiedział Kacper – jest nie tylko ochroniarzem. Jest też najskuteczniejszym specem od windykacji, a pracuje dla naszych sąsiadów z poziomu minus dwa, czyli... Liszko, dla kogo?

– Czyli dla szefów kasyna – szepnął Liszka.

– Ile miał długu? – dociskał Kacper. – Kto z nim chodził grać?

– My trzej – powiedział Marcin – graliśmy, na początku tylko tak dla rozrywki, po trochu. Jednoręki bandyta, ruleta... Skumaliśmy potem, że to nie żarty. Zwłaszcza odkąd oberwałem w garażach za dług. Wypłaciłem się, ale Wiesio... On poszedł na całość. Mówił, że nie ma nic do stracenia, a może zarobić na klinię. Nie miał szczęścia w grze. Wiedziałeś, Kacper, wiedziałeś o tym.

– Tak... że grał i po co grał, ale nie o dług. Ile?

– Ponad sto tysięcy. Za to już można zabić...

– Nie, nie warto. – Kacper pokręcił głową. – Raczej opłacałoby im się odzyskać kasę. Co im po trupie? To był wypadek przy pracy, chciał go nastraszyć, nie przewidział... nie przewidział kruchości naszego Kamiennego Chłopca.

Milczenie stało się nieznośne.

– Powiadomisz policję? O tym nagraniu?

– Tak, oczywiście. – Kacper westchnął. – Źle, że tak się stało, źle. Akurat skończyliśmy... tak na sam finał gry...

– Daj spokój z grą, Kac – odezwała się Gosia. – Tak gadasz, kiedy Wiesiek leży obok. Ale słuchaj, skąd masz ten filmik? Nie wiedziałam, że w kuchni jest kamera.

Popatrzyli pytająco i nieufnie na Kacpra, nic nie mówił. Nadchodziło drugie wydarzenie dnia.

– Musimy się rozejść – powiedział szybko Marcin – chyba do domów, no bo gdzie? Jakby nigdy nic, idziemy, gra skończona. Ty, szefie, wezwij tego oficera. To nagranie i inne... musisz obgadać z nim sam.

– Może ja zostanę z wami? – zaoferowała się Berta. – Może i ty, Marcin? Nasze zeznania mogą być potrzebne, ja przecież widziałam to kasyno. Wiesz, kiedy poszliśmy tym przejściem ewakuacyjnym...

Wpatrywali się w nią dziwnie. Marcin z potępieniem, że zdradza ich tajemnicę. Kacper ze szczerym zdziwieniem.

– Berto – powiedział – co ty gadasz? Tu nie ma żadnego przejścia ewakuacyjnego. Wiem to na pewno. Potarł czoło i zniknął w czeluściach swojego gabinetu.

Berta poczuła się dziwnie. Ciemne płatki zawirowały jej w oczach i zrobiło się jej niedobrze.

Słyszała jeszcze, jak Edyta mówi: „Wody, dajcie jej wody, prędko, bo mdleje”, a Marcin: „Idźcie do siebie, zbierać rzeczy, ja się nią zajmę”. Nie zemdląca, ocucił ją rumor brutalnie rujnowanego pokoju. Podążyła razem ze wszystkimi tam, skąd dobiegał hałas, bolesny dźwięk tłuczonego szkła. Gdyby to była gra, strzałka prowadziłaby nich do gabinetu szefa i w bok, tajnym przejściem do ukrytej pakamery. Tam wściekły na siebie i rozszalały z żalu Kacper niszczył łomem ekrany dwunastu komputerów. Skąd miał łom? Jak w grze, zgromadził potrzebny inwentarz i łom, i linę, i kotwicę... Zgrzyt plastiku, jęk szkła przypomniawszy Bercie lawinę lodowej groty z gry i z jej snu. Miała więc przebicia w świadomości, widziała to, wyśniła. Game Starsi patrzyli oniemiała, jak ustawione wokół biurka ekrany w liczbie dwunastu ulegają unicestwieniu, wraz z nimi zarejestrowany kawałek ich życia. Na tych, które jeszcze ocalały, przesuwali się miejsca ich pracy, kuchnia, łazienka. Ich rozmowy, pocałunki, dłubanie w nosie. Poczuli się okradzeni, odarci z prywatności.

– To ty nas podglądałeś? – zapytała Edyta.

– Tak – krzyknął Kacper – jestem podły. Chciałem rządzić, grą, naszym światem, waszym życiem. Chciałem być mocarzem dusz. I widzisz, Edzia: chuj w bombki strzelił. Nie mam żadnej siły, żadnej władzy... Wiesiek nie żyje, a ja nic nie mogę. Jestem pajac, niewart ciebie, Gosia...

Kacper pokonał gniew, ukląkł wśród ruiny, której dokonał, ukrył twarz w dłoniach i płakał z bezsilności. Gosia usiadła obok niego. Marcin nagle wydał się najbardziej przytomnym i racjonalnym człowiekiem.

– Słuchajcie – powiedział – zaraz wpadnie tu ochrona, wezwą policję. Zmywajcie się do domów, nie było nas przy tym dziele zniszczenia. Mamy przerwę po zakończeniu projektu. Szefowi pękły nerwy, wszystko się wyjaśni, idźcie do swoich domów, do domu, do domu. Idźcie, idźcie...

Berta po raz pierwszy od wielu dni pomyślała o swoim mieszkaniu, nie miała pojęcia, co tam się dzieje. Czy jej dom był jeszcze domem?

Kochasz, to walcz

W tym domu, czyli w mieszkaniu na Pradze, panowała cisza, pokoje wydawały się puste jak pudełka po prezentach. Maciek dokładnie posprzątał, wyniósł część swoich rzeczy do matki, u niej nocował. Zaglądał jednak do mieszkania, podlewał kwiaty, pakował kolejne rzeczy albo po prostu siadał na tapczanie i wyzywał się od durniów, tumanów, idiotów i pojebów. Strzępy obrazów Berty poskładał do walizy, ale nie wyrzucał niczego. Zaglądał do komputera, do folderu ze zdjęciami i nie mógł nadziwić się własnej umiejętności niszczenia tego, co mu się w życiu zdarzyło najlepszego. Zaglądał do mieszkania jeszcze z jednego powodu: według jego wyliczeń Berta mogła wrócić każdego dnia. Nie miał teraz z nią kontaktu, ale musieli już kończyć grę. Gdzie miała pójść? Trapiło go to bardzo. Z fazy buntu i zacierzenia, z fazy potwornego poczucia winy przeszedł teraz w etap dojrzały: myślał o niej więcej niż o sobie. Co ona czuje, czy cierpi? Czy może trochę przygasło w niej poczucie krzywdy, może jednak jeszcze pamięta o ich dawnym życiu? Był tu również tego fatalnego czerwcowego dnia, kiedy w biurówcu na piątym piętrze rozegrała się tragedia Wiesia, a Kacper niszczył swoje studio. Kupił po drodze kwiaty, był sezon na piwonie, pachniały mocno. Berty nie było, posiedział więc tylko chwilę, umieścił bukiet w wazonie, westchnął i wyszedł. Zamknął drzwi na klucz. „Może jak wróci – pomyślał – i zobaczy to mieszkanie takie smutne, ale z kwiatami, wysprzątane, za duże – może za nim zatęskni. A może już skończyli tę grę, ale nie przysła tutaj, tylko pojechała do Krukowa?”.

– Raczej nie – orzekła matka, gdy ją o to zapytał. – Anna wraca z kliniki na początku lipca, sądzę, że Berta nie pojechałaby do domu prosto z pracy. Zresztą jak chcesz, mogę do nich zadzwonić.

Chciał. Zadzwoniła, porozmawiała z Jerzym Kaliną przyjemnie. Był w dobrym humorze, Anna miała dużo lepsze wyniki krwi, nie mógł się jej doczekać. Berta? Tak, Berta dzwoniła, z pracy, owszem, jeszcze wczoraj, podobno kończą... Co u naszych dzieci? Ty pewnie wiesz lepiej, Jolu, gruchają gołąbki?

Maciej westchnął.

– Nawet nie wiesz tego, mamó – powiedział – jak mi ciężko. Z ojcem rozmawiała, z matką na pewno, z tobą by pewnie nawet rozmawiała, a mnie skasowała. Ze wszystkich komunikatorów. Z pamięci też?

Jola Znikomska patrzyła z niepokojem na syna, jego podkrążone oczy, na włosy już tak długie, że związał je w kucyk, na brodę drwala, która zagościła na jego twarzy. Dodawała mu wieku, ale zapewne o tym nie myślał. Nie chciało mu się ani golić, ani strzyc, zaniedbał treningi. Martwiło ją to bardzo. Siedziała teraz w fotelu, pod ścianą, na której widniały zdjęcia jej męża, myślała, że powinna odpowiedzieć swojemu przyjacielowi Rysiu Faszemu na pewne ważne pytanie, że powinna opowiedzieć synowi na jego niemniej ważne pytanie, i że nie wie, co odpowiedzieć jednemu i drugiemu. Nie polubiła Berty bardziej przez ostatnie zdarzenia, ale nie o to chodziło. Odłożyła książkę, jej mąż na zdjęciu uśmiechał się jak zawsze, cokolwiek się działo.

– Maciej – powiedziała – może powiesz mi nareszcie, o co się pokłóciliście?

– Moja wina – odparł niechętnie – niestety. Trochę... przesadziłem w treningu jednej babki. Za daleko się posunęliśmy w saunie, tamta napisała, Berta przeczytała... słabo wyszło.

– O... – powiedziała tylko – chcesz powiedzieć, że zdradziłeś Bertę?

– Nieee, tak, właściwie i tak, i nie. Nie, no właśnie nie chcę powiedzieć. Nie chcę już o tym mówić, nie chcę tego pamiętać. Powiedz, kobiety nie wybaczą takich rzeczy, prawda?

Jola przymknęła oczy. Prawie trzydzieści lat temu była młodą żoną i bardzo zasadniczą kobietą. Kochała swojego męża bardzo. Tęskniła, kiedy wychodził na dłużej niż dwie godziny, lubiła wszędzie z nim być, pod rękę, zawsze blisko, opleciona wokół niego jak jemiola. Donos koleżanki zabolął ją potwornie. Jej mąż, Bogdan, miał romans. Zażądała rozwodu, klęknął przed nią. Pamiętała dobrze te uczucia: gniew, upokorzenie, jakby ją ktoś uderzył, a także, ku swojemu zdziwieniu, silniejsze niż kiedykolwiek pożądanie. Poczucie winy, że może była zbyt sztywna i mało zmysłowa. Ulgę, że ta druga kobieta to nie miłość, tylko wybryk, banalny skok w bok. Jak u wielu ludzi, ale przecież nie u niej. Jej nie mogło się to zdarzyć, więc zaskoczenie. No i pragnienie, by wszystko wróciło do poprzedniego stanu. Słyszała tylko jedno: że on kocha, że przeprosza, że nigdy więcej. Wybaczyła. Maciej pojawił się dziewięć miesięcy później, był dorodnym owocem tych przeprosin. A kiedy

potem jej mąż zmarł, wołałaby, żeby miał i dziesięć kochanek, ale żeby żył. Niestety umarł na raka, a ona bała się już zaufać jakimkolwiek mężczyźnie. Otworzyła oczy, Maciej siedział nieruchomo. Wiedziała już, co odpowie Rysiowi, a kobieca intuicja kazała jej powiedzieć głośno:

– Synu, wybaczą. To nie do uwierzenia, ale i kobiety, i mężczyźni wybaczą takie rzeczy, i czasem bywa potem między nimi jeszcze lepiej, chociaż zaufanie nie wraca nigdy.

– To co mam robić, mam? – rozczulił ją. Patrzyła, jak wyłamuje palce tym samym gestem co przed laty, kiedy zwierzał się jej z kłopotów jako chłopiec. Tyle że teraz był mężczyzną, zdobywał bojowe szlify i też wyłamywał sobie palce...

– Nie rób tego – powiedziała karcąco. – Stawy popsujesz. A ona, Berta, co może teraz robić?

– Właśnie nie wiem. Mam złe przecucia. Boję się o nią. Sama mówiłaś o tym syndromie zamknięcia. I tyle spadło na nią ostatnio. Matka, ta chrestna szeptucha i ja... Rety, musiałem się dołożyć, jeszcze jej dokopać, zamiast być blisko. Tęsknię za nią, mam.

– Powiem ci tylko jedno: jak tak czujesz, to o nią walcz.

Popatrzył zdziwiony, wiedział, że matka niezbyt przepada za Bertą. Spodziewał się, że weźmie jego stronę, powie coś w rodzaju: „To nic takiego, synku, zdarza się, ona też nie anioł”. Wtedy oburzyłby się i właśnie walczyłby o jej dobre imię. Z matką. A tak to z kim?

Jola Znikomska podniosła się z fotela, Maciek też się podniósł. Był dużo wyższy, ale to ona objęła syna, przytuliła mocno i powiedziała z pełnym przekonaniem:

– Jak kochasz, to walcz z całej siły. Nie wiem, co tu jeszcze robisz. Ruszaj tam, rozwal ten biurowiec i przyprowadź mi tu moją synową, bo chcę wreszcie omówić szczegóły ślubu!

*

Łatwo powiedzieć: „Rozwal biurowiec”. Na razie nie mógł nawet do niego wejść. Próbował legalnie, przez portiernię.

– Panie – powiedział mu ochroniarz – tu normalnie, żeby się dostać, to trzeba mieć identyfikator gościa, albo ktoś schodzi po pana. A teraz to

w ogóle... Tak się porobiło, panie, policja, morderstwa, nadużycia, panie, to bunkier, twierdza!

– Jakie nadużycia? Jakie morderstwa?

– To nie wie pan? Oho, już u nas jak w Ameryce, panie. Chłopaka zabili na piątym. A grał w kasynie w podziemiach, policja zamknęła lokal, a tam szulernia, śledztwo, że ho!

– Na piątym? Na piątym? – jękał Maciej. – To ja tam właśnie idę. Siedziba Game Stars, tam pracuje moja dziewczyna...

– Nie wiem, czy dziewczyna, ale na pewno nie pracuje – powiedział stanowczo ochroniarz. Patrzył współczująco na Maćka. – Nikt tam teraz nie pracuje, rozpędzili wszystkich do domu po tym, jak ich szef rozwalił pół biura. Dostał szau, łomem walił w komputery, ponoć i w ludzi.

Maciej zbiegał na twarzy. Jak to nikogo nie ma? Jak to, Kacper Borg wpadł w szau? Czyżby Berta w międzyczasie pojechała do domu? Przybył tu prosto od matki z Żoliborza, więc mogło tak być... Zakręcił się na pięcie i pobiegł do przystanku autobusu czterysta trzy. Pędził po schodach bloku, drzwi były zamknięte, otworzył, marząc, że może zmęczona śpi pod kocem albo kąpie się. Będzie ją dotąd błagał, aż mu przebaczy tę głupotę. Ale przywitała go ta sama pusta cisza. Berty nie było w ich mieszkaniu na Pradze. Nie było jej też w Krukowie ani na piątym piętrze biurowca. Gdzie zatem była? Zawrócił na Służewiec.

*

Sama dokładnie nie orientowała się, gdzie jest. Na pewno w pomieszczeniu, do którego nie dochodziło słońce. Pamiętała jeszcze, jak chłopcy, Liszka i Gutek, uspokoili Kacpra, nie wołali pogotowia, posprzątali i wszyscy się rozeszli. Dźwięk tłuczonych ekranów wciąż brzmiał w jej uszach. Potem Marcin podał jej sok z cytrusów, potem razem gdzieś wyszli. I była tutaj, w pokoju małym jak sarkofag, nieznanym, nie sama. Pochylał się nad nią ktoś o ciemnych oczach.

– Budzisz się, Wasylio? – zapytał. Rozpoznała głos Marcina.

– Nie wygłupiaj się, Marcin – powiedziała z lękiem. – Gdzie ja jestem? Co tu robimy?

– Jestem tutaj, księżniczko – usłyszała w odpowiedzi. Usta i nieprzytomne

oczy Marcina zawisły nad jej twarzą. Zabrałem cię do zamku, pamiętasz? Rodzinna siedziba, zameczek za Alpami... W tej komnacie jest nasza sypialnia.

Pocałował ją delikatnie w brwi, chciała go odepchnąć, ale ręce miała związane. Skąd wziął takie sznurki, z sex shopu, czy co? Czują, jak zaczyna ją ogarniać ślepa panika. Marcin pocałował ją jeszcze raz, teraz w górną wargę, zaczepił zębami płatek ucha.

„Jestem w rękach szaleńca – pomyślała – zwariował, lepiej mu się nie sprzeciwiać. Opanowała drżenie, uśmiechnęła się i lekko pocałowała go w skroń”.

Marcin ucieszył się z tego muśnięcia jak dziecko. Pragnął od niej pieszczoty, chciał, żeby przygarneła jego głowę, chciał wtulić się w nią, między jej piersi, ale nie spodziewał się zgody, aż tak szalony nie był. A tu, proszę, Berta sama go całuje i to jak, delikatnie, miękko.

– Rozwiąż mnie – powiedziała cicho – nie ma fanu, kiedy jedna ze stron nie chce.

– Od dawna cię pragnę – rzekł, sięgając przegubów rąk. – Chciałbym się z tobą kochać.

– Nie mówię nie – powiedziała ostrożnie – ale nie mogę być związana.

Rozglądała się po pomieszczeniu, oczy przywykły już do mroku. Mały, ciasny pokój, prawie pusty, leżeli na chudym materacu przy ścianie. „Czego by tu użyć? Może jakiś kij od szczotki albo młotek – myślała coraz bardziej wściekła. – Będę się bronić”.

– Wasyljo – szepnął Marcin, bawiąc się znowu jej włosami. – Możemy stworzyć sobie świat z dala od wojen i religii. Będiesz panią mojej posiadłości i życia.

– Proszę cię – pokazała mu ręce – bez tego nie będę żadną panią, tylko niewolnicą.

– Proszę cię... – powtórzył za nią. Zaczął powoli rozwiązywać sznurek, kiedy nagle dopadło go olśnienie. – Kłamiesz, więdźmo – sapnął – chcesz się wyzwolić, żeby uciec. Stąd nie ma ucieczki.

– Gdzie jesteśmy, Marcin? – zapytała. – W biurówcu? Czy ty pięś? Brałeś coś? Przeszedłeś korytarzem ewakuacyjnym, tym, którego nie ma?

Roześmiał się chorym śmiechem.

– Dobry numer, co? Jest, jest. Tunel przeciwpożarowy, wzdłuż szybu windy, nim szliśmy. Kacper nie wie wszystkiego, taki z niego bóg... Wiesz, gdzie jesteśmy? Na trzynastym piętrze.

– Bzdura – odpowiedziała, starając się utrzymać spokojny głos bez drżenia, bez strachu. – Ten biurowiec nie ma trzynastego piętra.

– Nie ma? To gdzie jesteśmy? Zawsze jest jakieś trzynaste piętro...

– Marcin – powiedziała stanowczo – skończ te wygłupy. Jesteś chory albo pijany. Skończyliśmy grę, wracamy do świata. Do banalnego życia.

– Dlaczego nie chcesz zostać ze mną? – zapytał ze smutkiem. – Dlaczego?

Rozpiął jej bluzkę, zapatrzył się zachwycony, nie miała stanika. Sięgnął do swoich spodni.

„Zgwałci mnie” – błysnęło w przerażonej głowie Berty. Cofnęła się gwałtownie do ściany. Marcin przysunął się i mocno ją objął. Czowała od niego alkohol. Czowała, że jest ciężki, że jedną ręką ścisną boleśnie jej pierś, a drugą ściąga z niej spodnie.

– Więc taka jesteś gładka? – szeptał, głaszcząc ręką kolana Berty. Zaczęła krzyczeć, mimo że nie miała nadziei, by ktoś ją usłyszał. Szybko zasłonił jej usta dłonią. Szamotała się, ale zrozumiała, że jest bez szans, był dużo silniejszy. Ten szaleniec naprawdę zamierzał ją zniewolić? Spotkała jego obłąkane spojrzenie, jakby nie był Marcinem, lecz kimś obcym. Poczwała, że na nią napiera, ale też jakby tracił siły, jakby ogarniała go jakaś niemoc. I wtedy coś się stało. Uleciał w górę, oderwany od niej niespodziewaną siłą, zwiędły, przegrany. Czyjeś ręce, twarde i zręczne od boksovania worka treningowego, uniosły Marcina jak płachtę i rzuciły nim o ścianę. Upadł, ale nie na długo. Ta sama siła poderwała go na nogi i silny cios rozdarł mu skórę na skroni, a następny ogłuszył. Maciek zostawił swoją ofiarę pod ścianą i przyskoczył do Berty. Nie mogła złapać tchu, dusiła się od spazmów i starała się okryć szczątkami swoich podartych ubrań. Ktoś jeszcze pojawił się za Mackiem, podszedł do leżącego Marcina.

– Berta! – krzyknął Maciek. – Berta, kochanie, skrzywdził cię? Zabiję go jak glistę... – Ale na razie wziął ją na rękę.

– Nie, w ten sposób nie, nic mi nie zrobił – szeptała chaotycznie – Maciek. Jesteś, skąd? Maciek. – Tuliła się do niego, po raz pierwszy odkąd go poznała, poczuła, że jest silny, jakby starszy, chciała, żeby został i nigdzie nie odchodził.

– Zabierz mnie stąd.

– Berta. Musimy zawołać policję. – Dobiegł ich głos Kacpra pochylonego nad Marcinem. – Teraz jest otumaniony, ale...

– Błagam, nie chcę policji. – Wzdrygnęła się na samą myśl o tym, że

miałaby opowiadać, co się stało. – On jest chory, nagle dostał jakiejś jazdy, pomieszał wódkę i dopalacze. Chyba w końcu nic by nie zrobił, osłabł jakoś, ale... Boże, Maciej. – Znow nie mogła złapać tchu.

Marcin poruszył się pod ścianą. Usiadł, Kacper wykręcił mu rękę, a Maciek przyskoczył do nich i już był gotów do następnego ciosu.

– Przestań – powiedział ponuro Marcin. Wyglądał teraz przytomnie, otrzeźwiał – wygrałeś. Wszystko stracone. Chciałem uratować tamten świat. Berta, nie gniewaj się. Kacper, pomożesz mi?

Kacper porozumiał się wzrokiem z Maćkiem, pomógł Marcinowi wstać, lekko go popchnął. Rycerz wyszedł chwiejnym krokiem. Berta wpadła teraz w histeryczny szloch. Maciej znow usiadł obok, przytulił ją i pozwolił się wypłakać.

– Wybaczysz mi teraz, Berto? – zapytał. – Kocham cię nad życie. Tak się bałem.

Uspokojona, słaba, ale szczęśliwa, powiedziała:

– Zabierz mnie wreszcie do naszego domu. Weź cholerną taksówkę, jedźmy. Po drodze opowiesz, jak mnie znalazłeś...

*

Tulił ją w taksówce i w windzie, w domu prosto od drzwi ruszyła do łazienki. Szorowała się pod prysznicem, jakby można było zmyć wspomnienie i dotyk Marcina na skórze, dostrzegła siniak na udzie, szorowała go gąbką, nie chciał zejść. W końcu wyszła z łazienki. Maciek czekał na nią z gorącą herbatą, umościł się w miękkim łóżku i dopiero opowiedział, jak do niej dotarł.

Musiał cofnąć się do chwili, gdy po raz drugi dojechał do biurowca. Tym razem nawet nie próbował rozmawiać z ochroną. Przyczał się przy wjeździe do garaży, wślizgnął się pod bramą, gdy wyjeżdżała z niej jakaś ładna blondyna w czarnym audi. Obiegł dookoła poziom minus dwa. Zamknięte sale kasyna, windy, do których nie dało się wejść bez identyfikatora. Pozostała mu drabinka przeciwpożarowa. Skorzystał i tak dotarł do zamkniętego wjazdu. Klatka bez wyjścia. Ale Maciej także grywał w gry i wiedział, że to tylko kolejne zadanie, że trzeba rozejrzeć się za pomocnym przedmiotem. W końcu był w garażach, może jakiś lewarek? W garażach zawsze znajdzie się jakiś łom albo klucz francuski. Znalazł łopatę. Podważył wjazd, kłapa dość łatwo

ustąpiła. Osiągnął następny poziom, pusty lokal, właśnie remontowany. Wyrzwał przez okno, drabinka prowadziła po zewnętrznej ścianie w górę, do otwartego okna, klatki schodowej. W ten sposób udało mu się pokonać dwa piętra, potem przeszedł tunelem, tym, którym Marcin prowadził niegdyś Bertę, aż osiągnął piątę – zamknięte, opustoszałe, jakby wymarłe. Zrezygnowany, padł na fotel pod palmami na półpiętrze. Chciał już odejść, zrozumiał, że tu nie ma Berty i w ogóle nikogo. Pewnie nawet nie chce, by jej szukał. Skończyłoby się to pewnie rezygnacją, gdyby nie sygnał telefonu Maćka. Poczta głosowa informowała, że ktoś się nagrał.

– Berta – pomyślał, szybko nacisnął odtwarzanie. Głos kobiety nie był głosem Berty, ale znał ten niski, przyciszony ton, nieco śpiewny, wschodni.

– Maciej – szeptała Wiera w transie. – Beata Irena ciebie potrzebuje. Ona w niebezpieczeństwie. Słyszę jej krzyk. Ty jej nie opuść. Ty ją ratuj. Mężczyzna, mocny, szalony, ciemne oczy. Próbuję zabrać mu siły, ale za daleko. Biegnij. Szukaj jej w sieni. W sieni.

– Czy nowoczesny biurowiec z dwudziestego pierwszego wieku ma coś takiego jak sień? – zadał to pytanie głośno, do siebie, ale nieoczekiwanie otrzymał odpowiedź.

– Sień to może nie, ale schowki gospodarcze jak najbardziej. – Kacper Brog wrócił na chwilę do firmy obejrzeć swoją pakamerę po pogromie i zabrać ocalały laptop. – Czego pan tu szuka? Albo kogo?

– Berty Kaliniani – opowiedział Maciek. Domyślił się, z kim rozmawia, rozpoznał w nim szefa, oczekiwał sojusznika. – Maciej Znikomski, jej narzeczony. Nie wróciła jeszcze do domu.

– Jak to nie wróciła? Sam zamykałem lokal, nikogo nie było, nikogo... Słabo jej było. Wyprowadził ją przecież Marcin, coś jej dał... O kurwa, rzeczywiście za pakamerą jest przejście i schowek gospodarczy, Marcin mógł się tam zamknąć... z boku, od tajnego przejścia! Biegiem, panie Maćku, biegiem.

Schowek w odróżnieniu od sieni miał porządne drzwi. Ustąpiły jednak przed argumentem ponadczasowym: mocnym kopniakiem sportowca Macieja Znikomskiego, wyćwiczonego również we wschodnich sztukach walk. Drzwi puściły z trzaskiem i Maciek wpadł do ciemnego pokoiku w ostatniej chwili, by wyszarpnąć w górę napastnika znad swojej dziewczyny. Co było dalej, Berta już pamiętała. Co będzie, mogła tylko planować. Zasnęła spokojnie, wtulona w Maćka, ogarnięta jego ramionami, za poduszkę mając jego klatkę

piersiową, słysząc bicie jego serca. Maciej nie zasnął wcale tej nocy, bał się poruszyć, by nie zburzyć tej szczęśliwej chwili, znów trzymał Bertę w ramionach, tak samo jak przedtem, a jednak inaczej, mocniej, chociaż delikatnie. Co chwilę całował jej włosy, przyciskał do siebie, przeżywał ponownie strach na myśl, co się mogło stać, i nie tylko o zagrożenie ze strony Marcina mu chodziło. Snuł też słodkie plany na przyszłość, a nad ranem wysłał Joli SMS: „Dziękuję ci, mamó”.

Zakończenie

Leżeli na tapczanie i całowali się jak przystało na nowożeńców. Berta czuła się szczęśliwa, zdecydowanie na swoim miejscu i w tych w ramionach, co trzeba. Wybaczyła, bo chciała wybaczyć. Nabrała teraz do niego jakiegoś respektu i tym bardziej go teraz pragnęła. Miał rację Maciek, że wszystko pasowało, jakby byli dla siebie stworzeni. Chyba właśnie chciał udowodnić to po raz kolejny, bo pocałunki stały się bardziej gwałtowne, objęcia silniejsze. Nad nimi wisiał nowy obraz Beaty, wielkomiejski pejzaż, zimowe, szare miasto, które mimo wszystko nastrojało optymistycznie... Obok tapczanu na ziemi leżała kolorowa gazeta, ze zdjęciami z życia wielkich i nieosiągalnych gwiazd, polityków, aktorów, rekinów finansowych. Wśród nich reportaż z wystawnej uroczystości ślubnej rosyjskiego przedsiębiorcy Michaiła Aleksandrowicza Boryłowa z piękną dyplomatką Leną Swietłową. Panna młoda miała szczęście na twarzy, suknię jak marzenie i welon z trenem, który niosło sześć dziewczynek. Berta uśmiechnęła się. Ona sama nie przywdziała welonu, wpięła we włosy białe kwiaty i tyle. Udało się w końcu przekonać rodzinę, by ślub i przyjęcie było skromniejsze, w Krukowie, w ogrodzie przy rodzinnym domu. Anna po chorobie, szczęśliwa, ale wciąż nie dość silna, więc przyjęcie przygotowała właściwie Wiera, chrzestna matka Berty. Knajpa Myszanka wprawdzie nie zarobiła, nie było fleszy i reportażu w lokalnej prasie, ale grono najbliższych naprawdę wzruszone. Maciej przejęty ogromnie i zdenerwowany, jego matka za rękę z narzeczonym Rysiem, wciąż myślący się w imionach gości Jerzy Kalina... Błogosławieństwo chrzestnych przedziwne: ci od Macieja – tradycyjni, garniturek, suknia, kapelusz, bajeczna koperta. I Wiera – bez kapelusza, z różą w czarnych włosach, z nagłą mgłą w dziwnych oczach, szepcząca tylko sobie znane słowa, przyciskająca oboje do serca. Goście z miasta byli nieco zdumieni, gdy podczas błogosławieństwa otworzyła klatkę z dzikim gołębiem i wypuściła go na wolność. W prezencie dała im zabytkowy samowar, lecz Berta czuła, że prawdziwy dar chrzestnej matki wiązał się z wolnością tego ptaka i oznaczał ulgę zapomnienia tego, co złe, otwarcie nowego traktu wśród kosmicznych dróg. Wiera roześmiała się serdecznie, patrząc pod słońce za gołębiem. To był sierpień, oczywiście,

według zaleceń chrzestnej. Proboszcz nie miał terminów, ale Wiera porozmawiała z nim, upierając się, że para z dwunastego sierpnia, on z Moglinki, ona z Krukowa, odwoła ślub. Zniecierpliwiony, zgodził się wpisać ich na ten termin rezerwowo i nie mógł wyjść ze zdziwienia, kiedy otrzymał telefon z Moglinki, z przeprosinami i rezygnacją z terminu. Lecz tylko on był zdziwiony, bo nawet Maciej postanowił uznać Wierę za wyjątek potwierdzający tę twardą regułę, że wszystko da się logicznie wyjaśnić. Cieszył się z daty sierpniowej, nie chciał już czekać. Bardzo dojrzał przez ostatnie miesiące, spoważniał, ale niecierpliwość mu pozostała. Miał ją nareszcie, na stałe, na pewno, chociaż kiedy składał przysięgę, dziwnie brzmiało mu to imię: Beata. Ale jego młoda żona przyjęła nazwisko męża i chciała pozostać od tej pory Beatą Znikomską. Prosiła księdza, by wymienił tylko pierwsze imię. Biorę ciebie, Beato... Irena musiała zasnąć gdzieś w obłokach. Maćkowi było wszystko jedno.

Przywarł teraz cały do jej pleców. Uśmiechnęła się wzruszona i pozwalała całować w szyję i podsuwała mu kark, ale zerknęła na zdjęcia z kolorowego magazynu. Nie było jej smutno z powodu ślubu Miszy. Nie zamierzała nigdy o nim opowiedzieć Maćkowi, nie dlatego, że czuła się specjalnie winna. Ostatecznie stało się to w przerwie ich związku, a Maciej miał na sumieniu swoje sprawy z sauny. Pragnęła zachować wspomnienie Nocy Kupały jako własną opowieść o dorastaniu. Kiedy to było? Gra, biurowiec i ta szalona praca w zamknięciu. Nie miała dawno wieści od Game Starsów, wiedziała tylko, że wysłali grę w świat i zaczynają nowy projekt. Nie chciała tam wracać, do czasów Berty. Kacper dzwonił kilkakrotnie, oferował jej podwyżkę, przysięgał, że Marcin wyjechał, kasyno zlikwidowano, że on sam nikogo już nie podgląda poza swoją żoną... Mimo wszystko nie. Potrzebowali zmian. Może pomysł teściowej z wyjazdem do Anglii nie był zły? Jolanta, wkrótce pani Faszke, odkopała jakieś rodzinne kontakty w Londynie: i trener, i graficzka znaleźliby pracę. Beata, nowa pani Znikomska, odwróciła się do męża, objęła go i lekkim ukąszeniem w szyję odpowiedziała na jego czułości, gdy zadzwieczał domofon.

– O nie – jęknął Maciej zły, ale podszedł do słuchawki. – Kurier – powiedział zdziwiony. – Zamawiałaś coś?

Zaprzeczyła. Zaciekawieni otworzyli drzwi, kurier wręczył im paczkę.

– To prezent ślubny od Game Starsów! – zawołała zadowolona. – Zobacz, gra dla dwojga i gogle VR... List tradycyjny dołączyli, życzenia... O, piszą, że

Skarb Wenetów odnosi międzynarodowy sukces. Cieszę się ze względu na Kacpra i Gośkę... Że znów się zamykają, znów crunch, o panie! Chodź, Maciek, zobaczmy ten cooperative dla dwojga. Ale tytuł: *Bagnisko demonów* i: *Uwaga! Wciąga!*

Maciej podszedł zaciekawiony, uruchomili sprzęt. Znaleźli się w zaczarowanym nierealnym świecie, zatopili w nim, zapominając, że mieli się kochać, że to świat niebezpieczny, i nigdy nie wiadomo, dokąd zaprowadzi graczy.

Bohaterowie znaleźli się pośrodku ciemnego lasu, chociaż bynajmniej nie w połowie życia. Trzymają się za ręce. Ona chce wybrać trakt ku polanie, on ścieżkę w głąb młodnika. Wichura rozdziela ich i teraz...

– Game is over – szepnęła Beata. – Game is over.

-
- 1 Gamedev (ang.) – branża zajmująca się tworzeniem gier komputerowych.
 - 2 Crunch (ang.) – moment krytyczny, tutaj: okres skondensowanej, wielogodzinnej pracy, skupienia na grze przed jej oddaniem do wydawcy.
 - 3 VR, virtual reality (ang.) – wirtualna rzeczywistość, nazywana też potocznie vijarem. Rodzaj multimedialnej gry, w której gracz za pomocą okularów i odpowiedniego sprzętu znajduje się w wykreowanej komputerowo przestrzeni. Specyfika VR polega na tym, że odcina zmysły gracza od świata realnego i zanurza go w przestrzeni cyfrowej.
 - 4 Lypsych – dopasowanie animacji mowy postaci (kształtu ust) do konkretnych głosek w wypowiedzi.
 - 5 Crash (ang.) – zawiesić.
 - 6 Cosplay (ang.) – zabawa w przebieranie, zwykle w kostiumy na określony temat: manga, filmy, baśnie.